

WYPISY POLSKIE.

UŁOŻYŁ

Jan Łukomski,

b. nauczyciel szkół publicznych.



CZĘŚĆ WSTĘPNA.

Wydanie cztertnaste.



WARSZAWA.

Skład główny w mieszkaniu nakładcy przy ulicy Elektorálnej № 41.

—
1886.



Дозволено Цензурою.
Варшава 11 Декабря 1885 г.

II 374.793

Warszawa. W drukarni Alexandra Ginsa. Nowozielna № 47.

SPIS RZECZY.

P R O Z A.

	Strona		Strona
Pismo święte.		Przypowieści.	
1. Potop	1	1. Rezeda	45
2. Nowy świat po potopie	2	2. Strumyk	46
3. Ocalenie Mojżesza	—	3. Kręte ścieżki	—
4. Manna na puszczy	3	4. Dwie jabłonie	47
5. Samson	4	5. Drzewa i dzieci	48
6. Sąd Salomona	—	6. Pochyłe kłosa	49
7. Nauki Tobiasza	5	7. Cierpliwość	—
8. Młodzieńcy w piecu	6	8. Ojciec i dzieci	50
9. Bracia Machabejscy	7	9. Echo	—
10. Świątynia Salomona	8	10. Rzeka i potok	51
		11. Natura i sztuka	—
Obrazki i powiastki moralne.		12. Podkowa	52
1. Kto z Bogiem z tym Bóg	10	Anekdoty moralne.	
2. Grzeczne dzieci	—	1. Franuś	53
3. Miłość uczni ku nauczycielowi	11	2. Dowód przywiązania	54
4. Sumiennosc	12	3. Tytuł i stopień	—
5. Mężny Michaś	13	4. Gucio	55
6. Marynia	—	5. Dar mały, lecz prawdziwy	—
7. Dobrze dzieci	14	Historia literatury.	
8. Chory Kasperek	15	1. Mikołaj Kopernik	56
9. Na co się przyda nauka?	16	2. Przygoda Macieja Strykowski	—
10. Kłamstwo zawsze się wyda	20	3. Urszula Kochanowska	59
11. Kupno na jarmarku	21	4. Piotr Skarga	62
12. Miło jest wspierać ubogich	23	5. Ignacy Krasicki	63
13. Mały samolub	26	6. Krasicki w Skierniewicach	—
14. Imieniny Basi	30	7. Fryderyk Wielki i Krasicki	66
15. Balik dziecinny	31	8. Stanisław Staszyc	—
16. Nie suknia nas zdobi	35	9. Stanisław Trembecki	67
17. Lekarstwo domowe	37	10. Kazimierz Brodziński	68
18. Ofiara Romanka	38	11. Jan Paweł Woronicz	69
19. Łakoma Andzia	40	12. Ludwik Dmuszewski	74
20. Dobry Leos	41	13. Śmierć Addisona	77
21. Dobroczynny Władzio	42		
22. Uczciwa rodzina	43		
23. Szkoła	—		

14. Łagodność Newtona . .	77
15. Otwartość Malerba . .	78

Obrazki, opowiadania i anekdoty historyczne.

1. Solon i Krezus . . .	78
2. Dyjogenes	80
3. Bolesław Krzywousty .	82
4. Trzebnica	83
5. Święta Kunegunda . .	—
6. Chrzęśniak królewski .	84
7. Założenie państwa Rosyjskiego	88
8. Charakter cnotliwy . .	89
9. Królowa Jadwiga . . .	91
10. Krupa	92
11. Filip z Konopi	—
12. Alfons V	93
13. Jędrzej Górka	—
14. Stefana Batorego portret	94
15. Piotr W. założyciel Petersburga	—
16. Cecylija Renata . . .	95
17. Róże cudowne	—
18. Szabelka Piotra Wielkiego	97
19. Uległość Piotra Wielkiego prawu	98
20. Maryja Leszczyńska . .	—
21. Przykłady nadzwyczajnej siły	100
22. Wróżba	101
23. Szkoda czasu i atlasu .	102
24. Śmierć Cooka	—
25. Jan Gutenberg	105
26. Drukowanie książek . .	106
27. Benijamin Franklin . .	107
28. Towary kolonijalne . .	—
29. Wojna 1812 roku . . .	108
30. Miłość ludu ku monarsze	109
31. Mała przejażdżka . . .	—
32. Dobroczynność Pijusa IX	110
33. Podarek ślubny	111

Legendy i podania bajeczne.

1. Chléb, obrócony w kamień	111
2. Orły Herburtów . . .	113
3. Piotr z Janiszowa . . .	—
4. Co to jest mitologija? .	114
5. Pączek drzewa oliwnego	115

	Strona		Strona
3. Lew Godfreda	160	2. Czarnoksiężnik	178
4. Pudel przemysłny	161	3. Kolęda	181
5. Troskliwość żmii	162		
6. Wierny pies	—		

Obrazy z życia społecznego.

1. Dwór wiejski	164
2. Domek mojego dziadka	165
3. Modny pałac	166

Listy.

1. Listy Krasieńskiego dosy- nów	167
2. List Mickiewicza do cór- ki Maryi	168

Powiastrki z życia społecznego.

1. Tajemnica	170
------------------------	-----

Anekdoty.

1. Roztropny chłopak	188
2. Przytomna odpowiedź	189
3. Przytomność umysłu	190
4. Zamek Tumen	191
5. Oblakany	—
6. Troskliwość zbyteczna	192
7. Mądre głupstwo	193
8. Igraszka słów mimowol- na	—
9. Pastuch	194

Komedyjki.

1. Obchód urodzin	194
-----------------------------	-----

POEZYZJE.

Poezyje liryczne.

1. Do Boga	1
2. Modlitwa	—
3. Pieśń poranna	—
4. Podczas pracy w polu	2
5. Do chłopczyka w dzień imienin	—
6. Pastuszek	—
7. Do sikorki	3
8. Skowronek	4
9. Domek	—
10. Sięrota	5

Bajki.

1. Słońce	6
2. Dąb i agrest	—
3. Kotek	7
4. Dwie beczki	—
5. Chłopczyk ukarany	8
6. Kot i myszka	—
7. Kwoka i kurczęta	9
8. Ojciec łakomy, syn roz- rzutny	10
9. Osieł i wół	—
10. Talar i czerwony złoty	11
11. Wino i woda	—
12. Paweł i Gaweł	—

13. Pan i pies	12
14. Furman i motyl	—
15. Żółw i mysz	—
16. Mądry i głupi	13
17. Strzelec	—
18. Kruk i lis	—
19. Osieł i flet	—
20. Osieł i cielę	14
21. Kolaska	—
22. Skapy	15
23. Dwa pługi	—
24. Dwa pługi	—
25. Wół i rolnik	16
26. Dwa zające	—
27. Sknera	—
28. Osieł i lew	17
29. Skarb ukryty	—
30. Kotek, piesek, myszka i ptaszek	18
31. Pieniądz fałszywy	—
32. Kruk i lis	19
33. Wróbel	—
34. Chciwość osła	20
35. Kmiotek i wiewiórka	—
36. Przepiórka	—
37. Paweł i Jan	—
38. Lis i osieł	21
39. Woły krnąbrne	22

IV

	Strona		Strona
40. Żydek	22	65. Zajączek	45
41. Mysz i kot	23	66. Kot	—
42. Piotr i Jan	—	67. Talar i bankocetel	47
43. Dudek, czyżyk i słowik	—	68. Franuś i echo	—
44. Myszka, kot i kogut	24	69. Ptaszek i rybka	48
45. Wilk i baranek	25	70. Przyjaciele	—
46. Owieczka	26	71. Lew i zwierzęta	50
47. Żółw' i zając	27	72. Chłop i cielę	—
48. Gil i słowik	28	73. Zając	—
49. Lis i koziół	—	74. Czapla, ryby i rak	51
50. Małpa i jej dzieci	29	75. Zając i żaba	52
51. Myszka narada	30		
52. Dwie myszki	31	Inne rodzaje poezji epicznej.	
53. Osieł i pies	33	1. Siérota	53
54. Chłop i żmija	34	2. Walka myszy i szczurów	
55. Bocian i liszka	35	z kotami	54
56. Żołądź i dynia	37	3. Wychowaniec	57
57. Lew i mysz	38	4. Niewinny żarcik	—
58. Jałmużna	39	5. Chléb	58
59. Gołębnik	40	6. Lato	60
60. Pies i pszczoły	41	7. Wiosna	61
61. Drabinka	42	8. Jesień	62
62. Mrówka i pszczoła	—	9. Ogród	—
63. Zając i niedźwiedź	43	10. Ptastwo domowe	63
64. Konik polny i mrówka	45		

I. PISMO ŚWIĘTE.

A. OPOWIADANIA.

1. P o t o p.

Bóg ukarał potopem znikczemniały ród ludzki. Wszystko, co tylko żyło na ziemi, pochłonęła woda. Znajdował się wszakże mąż prawy, nazwiskiem Noe, którego Pan ocalić postanowił wraz z żoną, synami i ich żonami.

Z rozkazu Bożego Noe wybudował wielki statek, nazwany arką, umieścił w nim rodzinę swoją i zwierzęta, które miały pozostać przy życiu, i pływał na powierzchni powodzi, tak, iż wraz ze wszystkiém, co miał przy sobie, został ocalony.

Od czasu do czasu Noe wypuszczał ptastwo z arki, chcąc jakąkolwiek o stanie ziemi powziąć wiadomość. Naprzód wypuścił kruka, lecz ten nie powrócił. Następnie puścił gołębia; ten trwożliwie trzepotał koło arki; ulitował się więc nad nim Noe i wpuścił go napowrót do statku. W trzy dni znowu go wysłał; wieczorem dopiero gołąb' powrócił, niosąc w dziobku zieloną gałązkę oliwną.

Uspokoiła się burza na ziemi, ustały ulewcy, wichry już nie huczały, uśmierzyło się bicie bałwanów, nastąpiła zupełna cisza i spokojność.

Z téjto przyczyny gałązka oliwna stała się godłem pokoju, a kolor zielony—barwą nadziei.

Nakoniec Noe dostrzegł, że ziemia już obeschła i z rozkazu Boga wraz z rodziną i wszystkiemi zwierzętami opuścił arkę.

Klem. z Tań. Hoffmanowa.

2. Nowy świat po potopie.

Z ósmiu osób, pozostałych po potopie, to jest: z Noego z trzema synami i ich żon, rozkrzewił się i rozmnożył nowo rodzaj ludzki. Noe zaczął znowu ziemię uprawiać i zasadził winnicę. Nie znając jeszcze mocy wina, napił się go zawiele, i, odurzony, leżał w namiocie swoim nie przykryty.

Cham, widząc swego ojca tak leżącym, ze śmiechem opowiedział to swoim dwóm braciom. To pokazało zły jego sposób myślenia; bezbożne jest to dziecię, które się naśmiewa z ojca swego. Sem i Jafet byli lepsi: z odwróconemi w tył oczyma poszli i okryli ojca płaszczem. Ta wstydlivość i dziecinne uszanowanie były piękne, chwalebne i szlachetne.

Noe, ocknąwszy się, gdy się dowiedział o płochym postępku Chama, rozgniewany, rzucił na niego przekleństwo, Semowi zaś i Jafetowi pobłogosławił i przepowiedział, że im się bardzo dobrze i szczęśliwie powodzić będzie. Podoba się to Bogu, kiedy dziecię ma zawsze rodziców swoich w poszanowaniu, a błędy i ułomności ich cierpliwie znosi.

Z potomków Noego z czasem powstał wielki naród i coraz dalej rozszerzał się na ziemi; jedni z nich udali się w jedną, a drudzy w inną stronę. Potomkowie Sema pozostali w Azyi; pochodzący od Chama po większej części udali się do Afryki, a—od Jafeta—do Europy.

Ł. i W. 1859 r.

3. Ocalenie Mojżesza.

Lud Izraelski, sprowadzony do Egiptu przez Józefa, mnożąc się coraz liczniej, stał się groźnym dla Faraonów. Rząd przeto Egipski uciskał żydów, pędząc ich do robót ciężkich, do budowy miast i przybytków dla króla. Ale im bardziej ich uciskano, tém więcej się mnożyli i rośli. Wtedy rozkazał Faraon ludowi swemu, aby każde dziecię płci męskiej, u Hebrajczyków urodzone, wrzucano do rzeki. Stało

się, że właśnie wtenczas przyszedł na świat Mojżesz, wielki potem prawodawca i wódz ludu Izraelskiego. Matka jego, nie mogąc zataić urodzenia chłopięcia, wzięła pleciankę z sitowia, namazała ją kléjem, włożyła w nią dzieciątko i postawiła między rogożą na brzegu rzeki. A siostra malutkiego Mojżesza, Maryja, stała zdaleka, czekając, co się stanie. Alić oto córka królewska przyszła się kąpać, a ujrawszy pleciankę między rogożą, posłała jedną ze służebnic swoich, by ją przyniosła. Kiedy zaś ujrzała dzieciątko płaczące, zmiłowała się nad niem, myśląc, że to pewnie Hebrajskie dziecko. Wtém zjawia się Maryja, siostra kwilącego malca, i rzecze do królowny: „Chcesz, pani, a pójdę i zawołam niewiasty Hebrajskiej, którać by mogła chować dziecko.“ Królowna odpowiedziała: „idź.“ Poszła dziewczeczka i zawołała rodzoną matkę Mojżesza. Córka Faraona oddała zatem chłopczyka niewieście Hebrajskiej i przyrzekła jej zapłatę. Kiedy się Mojżesz odchowwał, wróciła go matka na dwór królewski, gdzie, wychowany i w całej mądrości Egipskiej wyćwiczony, dojrzał na roztropnego męża i zbawcę swojego narodu. Nazwano go Mojżeszem, co znaczy: „wyjęty z wody.“

Frańciszek Krupiński. 1865.

4. Manna na puszczy.

Synowie Izraela przeszli morze Czerwone i w puszczy obozem stanęli. Była to pustynia niezmierna, głucha i okropna; ani pola uprawnego, ani chaty, ani człowieka nie było w niej widać. Ledwo nie wszyscy mniemali, że z głodu poginą.

Bóg czynił dotąd dla nich cuda nadzwyczajne. Izraelici przecież sarkali, oskarżając Mojżesza i Aarona, i mówili: „Obyśmy byli pomarli z ręki Pańskiej w ziemi Egipskiej! Tam siedzieliśmy nad misami, pełnemi mięsa, i jedliśmy chleb do sytości. Czemuście nas wywiedli na te pustynie, aby tak wielkie mnóstwo ludu pomarło?“

Bóg chciał im przecież dać jeszcze niesłychany dowód swjej miłości i rzekł do Mojżesza: „Oto spuszczę wam chléb z nieba. Niech lud wychodzi przed namioty, a zbiera tyle, aby dość było na każdy dzień, a doświadczycie, iż jestem wasz Pan i Bóg.“

Nazajutrz rano cała ziemia błyszczała rosą; potem rosa opadła, a ziemia pustyni stała się białą, jak śnieg, i jakoby szronem okrytą: były to białe okrągłe ziarnka. Skoro Izraelici ten dar nieba spostrzegli, „Cóż to jest?“ wołali zdziwieni. „Jest to chléb,“ rzekł Mojżesz, „który Pan wam zsyła.“

Bóg żywił Izraelitów tym chlébem, nazwanym *manną*, dopóki byli na puszczy, to jest przez lat 40.

Kazimierz Brodziński.

5. Samson.

Samson wyrósł w błogosławieństwie Pańskiem. Duch Boży obdarzył go odwagą i siłą cudowną, której zadziwiające okazał dowody.

Dnia jednego szedł Samson z ojcem swoim i matką; wtem młody lew, rycząc, wypadł przeciw młodzieńcowi, który się był w drodze od rodziców oddalił. Duch Pański wstał w Samsona, iż tenże, nic w ręku nie mając, rozdarł lwa, jak koźlę; poczem pobiegł za ojcem i matką, ale im nic o tym wypadku nie wspomniął.

Bóg tym, którzy w Niego ufają, cudownej siły udziela. Obok téj siły zdobyła Samsona druga, moralna, iż się sam ze zwycięztwa przed rodzicami nie chlubił.

Kazimierz Brodziński.

6. Sąd Salomona.

Razu jednego stanęły przed królem Salomonem dwie niewiasty, z których jedna tak mówiła: „Ja i ta niewiasta

mieszkałyśmy w jednym domu. I dał mi Pan Bóg syna, a trzeciego dnia potem ta oto niewiasta miała także syna. I byliśmy pospół, a oprócz nas nie było nikogo w domu. I umarł syn téj niewiasty w nocy, bo go, śpiąc, przydusiła. I wstawszy o północy, wzięła syna od mego boku i położyła go przy sobie, a syna swego, który był umarł, położyła przy mnie. A gdym wstała rano, chcąc nakarmić syna mego, znalazłam go umarłym, któremu przypatrując się pilnie w jasny dzień, poznałam, że nie był mój.“ I odpowiedziała druga niewiasta: „Nie tak jest, jako powiadasz, ale twój syn umarł, a mój żyje.“

Nie było świadków, coby prawdę wyjaśnić mogli; same tylko niewiasty obwiniały się wzajemnie. Powstał Salomon na stolicy swojej i rzekł: „Przynieście miecz;“ a gdy kat przyszedł, dodał: „Rozdzielcie dziecię żywe na dwie części i dajcie połowę jednej, a połowę drugiej.“

Na ten wyrok jedna z niewiast w uniesieniu serca zawołała: „Proszę, panie, dajcie jój dziecię żywe, a nie zabijajcie go.“ Przeciwnie, druga w zapalczywości twierdziła: „Niech nie będzie ani mnie, ani tobie, ale niech je rozdzieli.“

Rzekł tedy król: „Dajcie piérwszój dziecię żywe, a nie zabijajcie go, bo ta jest matką jego.“

I uszłyszal wszystkich lud Izraelski sąd, jaki król uczynił, i bali się króla, widząc, że mądrość Boża była w nim ku czynieniu sądu.

Antoni Tyc.

7. Nauki Tobijasza.

Miedzy Izraelitami, żyjącymi w Assyryjskiej niewoli, był człowiek bardzo pobożny, nazwiskiem Tobijasza. Sądząc, że już blizkim jest śmierci, wezwał do siebie syna swego, Tobijasza, i rzekł:

„Synu mój, szanuj matkę twoję po wszystkie dni jój życia i pamiętaj na wszystko, co cierpiała dla ciebie. A gdy wypełni czas życia swego, pogrzeb ją obok mnie.

Miej zawsze Boga w pamięci, a chroń się wszelkiej myśli i czynów, przeciwnych rozkazom Jego.

Nie odwracaj się od ubogich, aby Bóg nie odwrócił się od ciebie. Mając wiele, daj wiele; mając mało, daj z serca, co możesz.

Chroń się pychy w mowie i myśli. Bądź rzetelny. Nie czynń tego drugiemu, co tobie nie miło. Szukaj rady u mądrych.

Nadewszystko miej ufność w Bogu; nędzne życie wprowadzie wiemy, ale wiele dobrego mieć będziemy, bojąc się Boga i dobrze czyniąc.“

Kazimierz Brodziński.

8. Młodzieńcy w piecu.

(Pomiędzy Izraelitami, uprowadzonymi w Babilońską niewolę, było wielu, pochodzących z krwi królów i książąt. Nabuchodonozor tedy, król Babiloński, rozkazał najzdatniejszych z pomiędzy nich wybrać i w służbie swojej umieścić.

Stało się po jakimś czasie, iż król kazał ułać wielkiego bałwana ze złota, którego na polu postawił, i wezwał wszystkich książąt, panów i urzędników królestwa, aby się zeszli na jego poświęcenie.

Gdy się wszyscy zebrali, woźny głośno obwołał rozkaz następujący: „W chwili, w której usłyszycie głos trąby, piszczałki, cytry i fletni, padłszy, pokłonicie się bałwanowi, który król Nabuchodonozor wystawił. A kto by tego nie uczynił, ten téj godziny wrzucony będzie w piec ognia palającego.“

Na głos trąby padli wszyscy na ziemię i pokłonili się onemu bałwanowi, ale uczynić tego nie chcieli trzej młodzieńcy Izraelscy: Ananiasz, Mizaël i Azaryjasz. Natychmiast więc oskarżeni zostali przed królem.

Król, rozgniewany, kazał im stanąć przed sobą i rzekł: „Prawdaż to, iż nie chcecie czcić bogów moich i kłaniać się bałwanowi złotemu? Tą razą jeszcze, za pierwszym odgłosem

trąby, padnijcie na ziemię i cześć mu oddajcie; inaczej w ogień palący rzuceni będziecie. Ujrzycie wtedy, czy który Bóg mocen będzie z rąk moich was wybawić.“

Trzej młodzieńcy rzekli: „Wybór jest łatwy. Bóg, któremu cześć oddajemy, łatwo może wybawić nas z ognistego pieca i z rąk twoich. A chociażby tego uczynić nie chciał, my jednak twoim bałwanom kłaniać się nie będziemy.“

Tak gotowi byli raczej zginąć, niż wiary prawdziwej odstąpić. Król, taką odpowiedzią bardzo rozgniewany, kazał piec siedemkroć mocniej, niż zwykle, rozpalić i wybrał najsilniejszych żołnierzy, ażeby, młodzieńców onych związawszy, w tenże piec wrzucili.

Rozkaz wykonano natychmiast. Nikt bez drżenia nie mógł znieść tego widoku. Płomienie gwałtownie buchały z otworów pieca; żołnierze, zbliżywszy się do pieca, dla wrzucenia ofiar, tak opaleni zostali, iż natychmiast umarli. Młodzieńcy tedy wrzuceni zostali w ogień, ale anioł z nieba zstąpił w pośród nich i odgarniał płomienie. I dał im się uczuć miły powiew, jakoby wiatru wieczornego po rosie. Ogień nie dotknął się ich wcale, lecz sprawił tylko, iż z nich łańcuchy opadły. Zatem wszyscy, jakoby jednym głosem, zaczęli śpiewać cześć Bogu pośród płomieni.

Kazimierz Brodziński.

9. Bracia Machabejscy.

(Antyjoch, król Syryi, zdobył szturmem Jerozolimę, zabrał z kościoła święte naczynia i cały naród Żydowski chciał zmusić do oddawania pokłonów bałwanom, do zaparcia się prawdziwego Boga i do opuszczenia świętych praw ojczystych. Wszystkich, sprzeciwiających się temu rozkazowi, kazał więzić, katować, albo okrutnym sposobem mordować.

Miedzy wieloma, prześladowanemi w ten sposób, znajdowała się jedna matka z siedmioma synami. Ci pamiętali

na jedyne go Boga i na prawa ojczyste, nie dali się nakłonić groźbami do przestąpienia przykazań Boskich, ale śmiało wyrzekli: „Bóg nasz zakazuje nam, a więc nie wolno i nie możemy tego uczynić.“

Antyjoch kazał więc smagać ich różgami. Wtedy odezwał się najstarszy z nich do króla: „Raczej wolimy umrzeć, niżeli co uczynić przeciw prawu Boskiemu, przeciw prawu naszych ojców.“ Król rozgniewany o to, kazał mu język wyrwać, skórę zdjąć, ręce i nogi odciąć; potem położono go na ruszt rozpalony i żywcem pieczono. Drudzy bracia i matka musieli się na te męczarnie patrzeć.—Umarł wytrwale.

Potem wyprowadzono drugiego na męki, dalej trzeciego, czwartego.... i tak jednego dnia umarli wszyscy siedmiu w srogich mękach, które odważnie znosili.

Wezwawszy na pomoc Boga, stały się owe dzieci nieustraszonemi i jeszcze wśród mąk śpiewały wesoło na chwałę Boga o życiu wiecznem. Po tych świętych synach poszła i matka na męki; ofiarowała odważnie swoje życie Bogu i w chwili śmierci cieszyła się, że wychowała dzieci, które za Boga i wiarę ojców tak wesoło śmierć poniosły.

E. i W. 1859.

E. OPISANIE.

10. Świątynia Salomona.

Przez całe siedem lat budowano sławny kościół Salomona. Przepych jego, piękność i kunsztowne roboty tak były zadziwiające, że sława tego gmachu rozeszła się po całym świecie. Kościół ten miał postać czworobocznego podługznego grodu, który zawierał w sobie trzy podobnegoż kształtu, a coraz mniejsze obwody. Pierwszy obwód otwarty był nawet dla obcych, drugi—tylko dla Izraelitów, do trzeciego—sami kapłani i Lewici przystęp mieli, bo też w środku jego wznosił się sam kościół, także czworoboczny

i podłużny. Kościół ten, oparty od wnijscia na dwóch słupach z miedzi, dzielił się na dwie części: na *Święte* i na *Święte-Świątych*. W pierwszém, dokąd tylko kapłani wchodzić mogli, stał ołtarz kadzideł, stół na chleby ofiarne i dziesięć świeczników, wszystkie z szczerego złota. W drugiem, — przedzieloném od pierwszego złotolitą zasłoną, był ołtarz, *wyrocznicą* zwany, i dwaj cherubini ze szczerego złota, a pod ich rozłożonemi skrzydłami postawić miano arkę przymierza ze wszystkimi starożytnemi jój świętościami. Do tego miejsca raz tylko na rok sam wielki kapłan mógł wchodzić; całe było blachami złotemi wybite, równie jak *Święte*, a światło dzienne oknami z góry wchodziło. Ze trzech stron kościoła były zabudowania, dochodzące do połowy jego wysokości; tam, w izbach wspaniałych, złożono wszystkie skarby kościelne. Przed drzwiami i przed wspomnionemi słupami, w obwodzie, dozwołonym dla samych tylko kapłanów i Lewitów, stał ołtarz całopalenia i wielka umywalnia, *morzem miedzianém* zwana, w której kapłani oczyszczali się przed przystąpieniem do spełnienia obrzędów; stały tam i inne sprzęty i naczynia z wodą. Ten obwód, zwany *sienią kapłanów*, równie jak dwa inne większe: *Izraela* i *obcych*, miał czworo drzwi, po jednych z każdego boku, i różne zabudowania, jako to: izby, przedsionki, krużganki, w których mieszkali kapłani i Lewici, gdzie ustawiano zbywające sprzęty i naczynia, gdzie wreszcie przechadzały się i modliły osoby, przychodzące do kościoła, a kapłani odbywali sprawy swego urzędu. Cały ten święty gród, w najmniejszych szczegółach i ozdobach swoich, tak był bogaty i starannie wykończony, iż, o ile dzieło ręki ludzkiej godném być może, o tyle on był godnym Boga, którego imieniu był poświęcony.

II. MORALNOŚĆ.

A. OBRAZKI I POWIĄSKKI.

1. Kto z Bogiem, z tym Bóg.

Była w Krakowie jedna biedna kobieta; Piotrową zwa-
li ją sąsiedzi. Ta, owdowiawszy, bez żadnego sposobu do
życia została, a córka jedna i parę złotych były całym jéj
majątkiem. Pobożna i pracowita, ręk nie opuściła i uszła
nędzy. Z tą parą złotych umyśliła wziąć się do handlu.
W dniu, w którym go rozpocząć miała, weszła do kościoła
Dominikanów, a padłszy na kolana, błagała o pomoc Boga
wdów i sierot i ślubowała, że, jeżeli, za łaską Jego i pracę
swoją, dojdzie do chleba i majątku, dzielić się nim bę-
dzie z potrzebniejszymi od siebie i zniszczoną w tym koście-
le kaplicę Matki Zbawiciela do szczytu odbuduje. Zdawna
„najmilszą Bogu się zdała pracującej ręki chwała,“ wysłu-
chał więc modlitw, pobłogosławił zabiegom czynnej niewia-
sty. Piotrowa, ranném wstawaniem, niezmęczoną pracą, nie-
poszlakowaną uczciwością, w przeciągu lat kilkunastu do-
robiła się majątku, wyposażyła córkę, odnowiła kaplicę
i jeszcze się jej została częśćka dla potrzebnych; jeszcze ta
ręka, odpędziwszy nędzę od siebie, i drugim oczy ocięrać
umiała. Już od lat kilku ta pocziwa kobieta nie żyje; w ka-
plicy, przez nią odnowionej, jest prosty jéj nagrobek;
w wielu sercach została jéj pamięć.

Klem. z Tań. Hoffmanowa. 1827 r.

2. Grzeczne dzieci.

Powróciwszy z przechadzki, usiedliśmy w cieniu lip
na podwórzu, gdzie, według zwyczaju, około szóstej, zgro-

madzała się cała familija. Przyniesiono mleko; jedliśmy wszyscy społem. Gdyśmy się dostatecznie ochłodzili, resztę mléka rozdano chłopskim dzieciom, które nas otaczały. Wdzięk wieku tego, niewinność ich zabaw i igraszek bawiły mię, a to dziwiło, iż, w podziale danego im mleka, nie pokazywały zbytecznego łakomstwa i porywczosci, ale, obrawszy z pomiędzy siebie jednego, każdy w przystawkę *) brał, co mu tamten na porcję naznaczył; ów zaś, kontent z dystynkcyi **), poważną postać na siebie przywdział i, bojąc się może, żeby go ta dystynkcyja za drugim razem nie chybiła, tak dobrze drugich dzielił, iż mu się samemu nic nie dostało. Postrzegła to pani Podstolina i, pochwaliwszy wstrzemięźliwość, w nagrodę, kazała mu świeżego mléka przynieść i dała garść orzechów. Zatem nastąpiły między niemi gry różne, któremi nas zabawiały dość długo. Rozeszli się inni; myśmy się zostali pod lipami, a gdym zadziwienie moje ze wstrzemięźliwości tych dzieci wyraził panu Podstolemu, odpowiedział, iż to jest skutkiem dobrej edukacyi ***).

Ignacy Krasicki. 1778 r.

3. Miłość uczni ku nauczycielowi.

Dnia 30 Lipca 1814 roku o drugiej po północy wybuchnął pożar w pałacu Kazimiérowskim i w jednej chwili, prawie w okamgnieniu, objął wszystkie zabudowania. Mieszkańcy ratować nie mogli sprzętów swoich i chudoby; zaledwie uciekli z życiem. W tym pożarze spaliło się 17 większych pawilonów, 15 mniejszych i stajnie. W jednym z palących się pawilonów mieszkał Jakób Fryderyk Hoffman, uczony mineralog, profesor szkoły lekarskiej. Miał on piękne zbiory dla swojej nauki. Pojąćże tu teraz rozpacz czcigodnego śtarca, kiedy zobaczył, że zbiory jego zmarnie-

*) W miseczkę. **) Z odznaczenia go przed innemi, czyli z zaszczytu. ***) Wychowania.

ją ze stratą uczniów i z krzywdą nauki. Ale uczniowie rzucili się w płomienie, wynieśli z domu profesora wszystko, co tylko mu drogiego było, i umieścili na oddalonym miejscu, gdzie nie dosięgała siła okropnego żywiołu. Całą noc, jeden po drugim, zaciągali tu na wartę i jedni pilnowali minerałów profesora, kiedy drudzy nieśli pomoc mieszkańcom. I rzecz dziwna! nic nie uroniono ze zbiorów naukowych Hofmana, w takim pośpiechu, wśród takiego przerażenia.

Julian Bartoszewicz.

4. Sumienność.

Na podwórzu, przed domem ojca, Ignas bawił się w piłkę, gdy któryś z sąsiadów, przechodząc, prosił go, aby wybiegł na pagórek i, gdy zobaczy nadchodzącą pocztę, uwiadomił go zaraz. Ignas, uprzejme i grzeczne dziecko, przyrzekł sąsiadowi, że mu zrobi tę usługę. Jakoż zaraz wybiegł na wzgórek, z kądem widok sięgał daleko na gościniec. Już tam czekał kawał czasu, gdy przyszedł doń inny chłopczyk i namawiał go, aby poszli łowić ryby na wędkę. Lecz Ignas, choć bardzo lubił tę rozrywkę, tą razą musiał odmówić, ponieważ dał słowo sąsiadowi.

— I dopókiż tu będziesz stał na słońcu? — mówił nowoprzybyły chłopczyk.

— Dopóki poczta nie nadejdzie, — odrzekł Ignas.

— Pójdź ze mną lepij; wszak dosyć długo tu czekasz.

Ale Ignas nie dał się namówić, pamiętając na słowa, które mu ojciec często powtarzał, że uczciwy człowiek powinien zawsze słowa dotrzymać. Dlatego też, choć długo jeszcze czekał, choć mu upał słoneczny dokuczał, nie ruszył się z miejsca i prawdziwą uczuł radość, gdy mógł uwiadomić sąsiada o zbliżaniu się poczty.

Z Godz. czyt. Lucyjana Siemińskiego. 1860 r.

5. Mężny Michaś.

Często są między dziećmi przykłady owego prawdziwego męztwa, które najwięcej na tém zawisło, żeby cierpienia znosić z łagodnością w milczeniu. Z takich dzieci zwykli wyrastać dzielni mężowie i zacne niewiasty. Raz, w obecności ojca, bardzo skłonnego do gniewu, służący, niosąc ogromną tacę ze srebrem, samym rogiem ugodził w głowę siedmioletniego Michasia. Chłopczyzna zbladł z wielkiego bólu, ale nie wyrzekł i słowa, ani puścił łyzy jednéj; owszem jeszcze, widząc trwogę służącego, gniew powstający ojca, zaczął mu całować ręce i kolana, prosząc, by nie karał winowajcy, i zaręczając, że go prawie nic nie boli.

Klem. z Tań. Hoffmanowa.

6. Marynia.

Stryj sześćioletniej Maryni, wyjeżdżając do Karlsbadu, obiecał jéj przywieźć ztamtąd cały sprzęt do śniadania ze szkła czeskiego. Dwa miesiące naprzód cieszyła się i oczekiwała niecierpliwie tych cacek. Nakoniec stryj przyjeżdża, sprzęt szklanny przywozi i jeszcze zapakowany oddaje szczęśliwéj Maryni. Odwija go ostrożnie; za każdą dobytą miseczką, za każdym kubeczkim wydaje okrzyk nowy; ustawia wszystko na szklannéj tacy i nie posiada się z radości. Wtém babunia Maryni, w drugim pokoju będąca, woła na nią, żeby jéj te piękne rzeczy przyniosła pokazać. Dziewczynka bierze tackę, idzie pomału i tak pomału, że babunia wymawia jéj tę przesadzoną powolność, a, wychodząc naprzeciw niéj, chce odebrać z jéj rąk sprzęt cały, ale przez prędkość go wytrąca. Pada na ziemię piękna tacka i wszystkie miseczki, kubeczki, imbryczki, na drobne kawałki się tłuką. Marynia ani krzyknęła, ani zapłakała, tylko, zarumieniwszy się mocno, pocałowała babunię w rękę i te słowa wyrzekła: „A widzi babunia, że to dobrze czasem być po-



wolną.“ Po chwili babunia, zmartwiona, wyszła z pokoju, chcąc zapewne wynaleźć dar jaki dla wynagrodzenia Maryni; ta zaś zbierała, smutna, szczątki swego skarbu, rozrzucone po podłodze, przymierzając je do drugich, kiedy wszedł stryj. Zobaczywszy z zadziwieniem podarunek swój już potłuczonym, zaczął łajać dziewczynkę za taką nieostrożność. Ta serdecznie się rozpłakała, lecz nie powiedziała i słówka na swoje usprawiedliwienie. Dopiero za powrotem babuni cała rzecz się wydała, a Marynia w uściśnieniach i pochwałach zacnej matki i krewnych, w uczuciu własnego serca, znalazła postępku swego wynagrodzenie.

Klem. z Tań. Hoffmanowa.

7. Dobre dzieci.

Państwu Wiernickim Bóg dał dwoje dzieci: dziewczynkę Marynię i chłopczyka Adasia. Były to prawdziwe z nieba aniołki, takie ładne, czerstwe, hoże, gotowe każdemu się przysłużyć. Czy to przeprowadzić niewidomą kalękę przez drogę, czy podnieść małe niemowlę z ziemi, czy podać kijek drżącemu od starości dziadkowi, zawsze oni byli gotowi, nie dając się nigdy wyprzedzić nikomu. Niech tylko Marynia widziała płaczącą wiejską dziewczynkę, to i u niej zaraz łezki w oczach, a czyto jabłuszko, czy cukierek, czy jaką miała zabawkę, chętnie ją oddawała, byle tylko pocieszyć, byle w płaczu utulić. Widać, że pięcioletniej Maryni serduszek żywo było zagrane miłością bliźniego.

A i dziesięcioletni Adaś godzien był swojej siostrzyczki. Wiele od niej starszy, większą też możność czynienia dobrze posiadał. Miał wyznaczone pieniądze miesięczne, któremi według woli mógł rozporządzać. Nie widziano, aby je wydał kiedy na niepotrzebne fraszki, ale czyto trzewiki dla jakiejś biednej sieroty, czy czapkę dla ubogiego starca, czy książeczkę dla wiejskiego chłopczyka, Adaś chętnie kupował, skoro tylko nadszedł dzień odbierania pensyi. Z serca

tęż kochali włóscianie swego przyszłego dziedzica, powtarzając nieraz: „Niedaleko pada jabłko od jabłoni; jaka matka, taka córka; jaki ojciec, taki syn.“ A kiedy widzieli w dni świąteczne Adasia i Marynię, klęczących obok rodziców ze złożonymi rękami, ze spuszczoną główką, ze łąz w oczkach, z gorącą na ustach modlitwą, to z rozrzewnieniem obracali dzieci swoje ku nim, aby, jak powiadali, przykład brali z paniątek. Oh! bo tęż przykład wiele może; z przykładu powstaje moralność, wznosi się oświata, postępują nauki, rozszerza dobro ogólne, gruntuje pobożność, święta pobożność, mająca tak dzielny wpływ na nasze szczęście.

Józefa Prusiecka.

8. Chory Kasperek.

Raz Kasperek był chory, więc zakazali mu, iżby tego dnia nie jadł żadnych owoców. Taki zakaz bardzo był nie miły Kasperkowi, bo nadzwyczaj lubił owoce, ale przyrzekł matce, że ich tego dnia w usta nie weźmie, i postanowił słowa dotrzymać.

Tymczasem ciotka z drugiego końca wsi, nic nie wiedząc o chorobie Kasperka, przysłała mu półkopy śliwek i gruszek, i wszystko to, kiedy w izbie nikogo nie było, położył cioteczny braciszek przed Kasperkiem. Chory chłopiec mógł wziąć parę gruszek, albo śliwek, i zjeść je pokryjomu, ale dobry chłopczyzna obiecał matce, że tego dnia nawet nie skosztuje owocu, nie zjadł więc ani jednej gruszki, ani śliwki.

Wszyscy, co się dowiedzieli o takim postępku Kasperka, pochwalili go, że był wiernym w dotrzymaniu słowa, a nadewszystko, że źle nie zrobił, choć nikt na niego nie patrzył. Matka znowu prawdziwój z tego doznała pociechy i wyciąowała Kasperka.

Oj! naprawdę, z takiego chłopca będzie zuch człowiek, bo to słowne, wytrwałe i pocziwe. <

9. Na co się przyda nauka?

W naszój wiosce nauczycielem w szkółce wiejskiej jest stary żołnierz, Mateusz Grudka, już człowiek letni, kaléka, bez nogi, chudy, szczupły, że, jak idzie, to zdaje się, iż go wiatr przewróci. Jednak, Bogu dzięki, trzyma się krzepko, a choć do ciężkiej pracy nieprzydatny, to przecie darmo chleba nie zjada, bo, nauczwszy się w wojsku pisanja, czytania i rachunków, uczy teraz dzieci i opowiada im różne ciekawe rzeczy, które wyczytał w książkach.

Jednej niedzieli Mateusz siedział przed szkółką, a gromadka dzieci wiejskich stała tuż przy nim, słuchając z wielką ciekawością tego, co opowiadał. Gdy skończył, rzekł:

— A cóż dzieci, spodobało się wam to, co opowiedziałem?

— Spodobało, bardzo spodobało, — odrzekły dziatki i nuż dziękować Mateuszowi, a prosić o więcej.

-- Dobrze, moje dzieci, — odrzekł stary żołnierz, — opowiem wam jeszcze nie jedną rzecz bardzo ciekawą, ale powiedzcie mi..... i przy tych słowach rzucił okiem ku starój wierzbie, pod którą siedział Benedykt, młody gospodarz, chłop smagły i silny, jak dąb, ale jakiś ponury, jakby zły, albo zadąsany. Mateusz dojrzaawszy to, pokręcił wężą i mówił dalej: — Powiedzcie mi teraz, jak się wam zdaje, na co się przyda nauka człowiekowi? . . .

— Żeby człowiek wiedział i to i owo, — odrzekł na to Franuś, chłopaczek żywy jak iskra, a Marysia dodała: — I żebyśmy się tak nauczyli opowiadać różne ciekawości, jak nam opowiada pan Mateusz.

— Ale cóż przyjdzie z tego człowiekowi, że będzie wiedział i to i owo? — zapytał Mateusz.

— Jak się wyuczy, — odrzekł Franuś, — to będzie sobie potem umiał radzić w każdej rzeczy.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze — odpowiedział na

to Mateusz, — a ja wam dodam, że nauka robi człowieka lepszym i poczciwszym, uczy go kochać i bać się Boga, szanować wszystkich ludzi, a uciekać od sprośności i wszelkiej niegodziwości. Jak się więc was kto spyta, na co się nauka przyda człowiekowi, to odpowiadajcie: dwojako się przyda: żeby człowiek poprawił się w swojej złości i żeby nie znał biedy.

— Albo to prawda, — odezwał się na to Benedykt, siedzący na uboczu, który żadnym sposobem nie chciał przystać na to, żeby syn jego, Pawełek, chodził z drugimi dziećmi do szkoły, i dlatego z takim kwasem patrzył na uczące się dziatki i nauczyciela. Mateusz robił mu często wymówki, ale Benedykt nie zważał na to i tylko mruczał pod nosem, a dzieciakowi żadnym sposobem nie chciał dać na naukę pozwolenia. Mateusz więc, zobaczywszy, że uparte go nie przeprze, dał pokój wszelkim namowom, ale, gdy go spostrzegł siedzącego niedaleko swój chałupy, umyślnie rozmowę tak nakierował, aby w niej pokazać, że naukę należy szanować i że, jak bez rąk nic człowiek nie może zrobić, tak bez nauki nic nie robi dokładnie, tylko zawsze we wszystkiém musi być jakaś wada. Kiedy więc Benedykt rzekł: „Albo to prawda?“, tak potem powstał z siedzenia i, podszedłszy do Mateusza, dodał z przygryzką: „Nauka to tylko mitręga i niepotrzebne bałamuctwo.“

Dzieci, usłyszawszy to, nic nie odrzekły, tylko spojrzały na Mateusza, a ten dźwignął się z ciężkością z siedzenia, posztykował się na kuli do izby, wyniósł z niej dwie laski, któremi czasem uczył dzieci mustry żołnierskiej, i, pomuskawszy wąsa, rzekł:

— Odsuńcie się dzieci na stronę, a wy, Benedykcie, przysuńcie się i stańcie naprzeciw mnie.

Benedykt mruknął na to, a Mateusz mówił dalej:

— Spójrzycie no, Benedykcie, na mnie. Prawda, że wy i ja, to jakby wół i mucha: wy jesteście silni, zdrowi,
CZĘŚĆ WSTĘPNA.

młodzi, a ja stary, wyniszczony trudami i kaléka; stańcież naprzeciw mnie z tą oto laską i przyłóżcie starunku, żebyście mi kijem wymłócili plecy, bo, jak tego nie zrobicie, to ja wam taki sprawię basarunek, że go długo nie zapomnicie.

— Co! wy mi sprawicie basarunek? — zawołał Benedykt ze śmiechem i z gniewem zarazem. — Czy nie dobrze w głowie macie, czy co? Wy taki chuchrak i wiekowy człowiek i na mnie będziecie się porywać? A toć ja was jednym palcem mógłbym zdusić, jak wróbla...

— Dajcie pokój chwaleń się, — odezwał się Mateusz, a lepiej spróbujcie przysunąć się do mnie, bo, gdy kto chce kogo zdusić, jak wróbla, to go musi wziąć za kark. Weźcie mnie więc, weźcie.

Benedykt, na takie wezwanie, żywo ruszył kilka kroków wprost na Mateusza, ale ten tak zręcznie wywinął laską młynka, że w powietrzu tylko zaśmuchało i zawarczało, jakby stado wron i kruków, albo dzikich gęsi, przeleciało powietrzem po nad głowami. Benedykt więc podniósł kij w górę i machnął nim przed sobą, ale w téj samej chwili Mateusz podbił kij w górę, i trzepnął go w lewą rękę przy łokciu, że Benedykt aż syknął z bólu i jak jendor się zaczerwienił. Dzieci, zobaczywszy to, rozśmiały się cichaczem, bo wiedziały, że ze starszych nie wypada żartować. Benedykt, z bólu i ze wstydu, z wielką złością, śmiało postąpił naprzód, zamierzył się i, kiedy chciał z całą siłą pałać przez ramię Mateusza, tak, że byłby mu pewno kość przetrącił, stary żołnierz wykręcił laską, furknął nią, jak w kołowrotku, i w téj samej chwili kij Benedykta wyleciał w górę, jak kamyk, aż nad wierzchołek staréj wierzby. Chwycił się Benedykt za rękę z bólu, aż przykucnął, wykrzywił się i zaczął z jękiem wołać, jakby go kto ze skóry obdzierał:

— Oj! ręka, ręka! Aj! daliście mi chleba, dali, pewnoście mi rękę przetrącili. Oj! ręka, ręka...

Na taki ból ludzki, dzieci ogromnie się przeraziły, a dziewczynki nawet chciały płakać, bo się z ludzkiej biedy

nigdy nie należy naśmiewać, ale prędko się uspokoiły, zobaczywszy, że Mateusz spokojnie pokręca wąsa i troszkę uśmiecha się, czegoby nie zrobił, gdyby wiedział, że Benedyktowi zrobił jaką na zdrowiu krzywdę. Po chwili przybliżył się do Benedykta i, klepiąc go po ramieniu, rzekł:

— Nie bójcie się, Benedykcie, nic wam nie będzie, bo, widzicie, ja wiem, jak uderzyć, żeby z tego nie było jakiego wypadku. Troszkę was poboli, to prawda, ale woda zimna na to poradzi. A wy się z tego przekonajcie, że nauka we wszystkim człowiekowi jest potrzebną, bo żebyście się byli uczyli tak laską wykręcać, jak ja się uczyłem robić w wojsku pałaszem, to przy waszój młodości i sile byłibyście mnie starego sponiewierali. Ale że ja umiem, a wy nie umiecie, więc się wam dostało pamiętne, a mnie i włos nie spadł z głowy. Nauczcie się więc z tego, że nauka we wszystkim człowiekowi jest potrzebną. Człowiek z nauką zawsze i wszędzie umie sobie radzić w każdej rzeczy; wie, gdzie prawda, a gdzie fałsz; wie, jak robotę prowadzić, żeby było śpiesznie i dobrze i z ulżeniem. Nauka daje człowiekowi poszanowanie między ludźmi, miłość Boga wszechmogącego, duszy ludzkiej radość i wesele, a ciału zdrowie, bo przez naukę człowiek dopiero poznaje, co mu jest prawdziwie pożyteczne, a co szkodliwe, co mu przynosi szczęście, a co smutek i nieszczęście. Jeżeli, Benedykcie, jeszczeście tego dobrze nie zmiarkowali, na co się nauka przyda człowiekowi, to stańcie jeszcze raz, tylko weźmiemy kije grubsze....

Benedykt spojrział na Mateusza, jak wilk, natulił czapkę na uszy, bolącą rękę ostrożnie włożył za kamizelę, i, mrucząc, sapiąc i krzywiąc się, jak po jakim wielkim kwasie, poszedł ku domowi. Kiedy już odszedł kawał drogi, Mateusz rozśmiał się i rzekł do dzieci:

— Jak miarkujecie, moje dzieci, czy Benedykt będzie teraz wiedział, na co się nauka przyda człowiekowi?

— Oj! będzie wiedział, będzie wiedział, — odrzekły

z wielką wesołością.—Ale nas pan Mateusz nauczy takiego kręcenia kijem? Prosimy, bardzo prosimy!

Mateusz przyrzekł im to zrobić.

Gdy w kilka dni dzieci zeszły się do szkoły, przyszedł także i Pawełek, ów syn Benedykta, któremu żadnym sposobem ojciec nie chciał dać pozwolenia na naukę.

Mateusz, zobaczywszy go, pogłaskał go po główce i buzi i zapytał z łagodnością:

— To tatuś pozwolili ci chodzić na naukę?

— Pozwolili, proszę pana Mateusza, bośmy nijak o to z matusią nie dali tatusiowi spokojności, i dziś, choć z niechęcią, ale rzekli: „A niech ta idzie,“ i przyszedłem.

— A jakże ręka ojca?

— O! okrutnie narzekali, ale już lepiej tatusiowi, bo wczoraj sam drew narąbali i mówili, że ich nie tak boli.

Mateusz uśmiechnął się nieznacznie, a dzieci, choć miały ochotę do śmiania się, ale zasznurowały usta, bo wiedziały, że Mateusz nie pozwala i nie lubi tego, kiedy dzieci, podczas nauki, bawią się w chichotki, albo, broń Boże! naśmiewają się ze starszych.

Jan Kanty Gregorowicz. 1862 r.

10. Kłamstwo zawsze się wyda.

Przy parkanie w ogrodzie rosły śliczne morele i nawet już dojrzewać zaczynały, kiedy ojciec, ciesząc się ich pięknnością, przez ciekawość policzył, wiele ich być mogło. Nazajutrz, przechodząc tą samą ścieżką, spostrzegł, że na jednej gałązce przerzedziły się owoce; przeliczył wszystkie morele; brakowało trzech.

Ojciec potrząsnął głową; wiedział już, kogo mógł posądząć, bo nieraz synek jego, Antoś, zrywał owoce pokryjomu. Przyszedłszy jednak do domu, odmienił zdanie; Antoś siedział przy matce, a na zapytanie, którędy chodził do szkoły, ulicą czy ogrodem, odpowiedział, że — ulicą.

— Nie zerwałeś téż czasem trzech moreli? — spytał ojciec.

— Jużem ich od dwóch dni nie widział, — odrzekł śmiało chłopczyk, — bo nie miałem czasu wyjść do ogrodu.

Skończyła się na tém rozmowa; obiad szedł spokojnie, a po obiedzie, ponieważ bardzo było gorąco, Antoś, idąc do szkoły, zdjął sukienny surducik i włożył lżejszy. Matka, wiedząc, że kieszenie studenta częściej potrzebują naprawy, zaraz po odejściu syna wzięła jego surducik, chcąc się przekonać, czy gdzie niéma dziury, a, przeglądając go bacznie, w bocznej kieszeni znalazła trzy świeżo wyjęte morelowe pestki.

Za powrotem Antosia, ojciec spytał go surowo:

— Dla czego kłamałeś? Dla czego, dopuściwszy się łakomstwa, nie przyznałeś się do winy?

Chłopczyk chciał się zapierać, lecz ojciec i matka rzekli:

— Mamy świadków.

— Świadków?

— Tak jest; sięgnij ręką do téj kieszeni.

Antoś zapuścił rękę w surducik i, zapłoniony, wydobyl nieszczęsne pestki, które w zapomnieniu sam schował w kieszeń.

— Niech cię to nauczy, — rzekli rodzice, — że nietylko przed Bogiem, lecz nawet i przed ludźmi nigdy się prawda nie ukryje, lecz prędzej, czy później zawsze się wyda. Staraj się zatem zawsze dobrze czynić, a nigdy nie kłamać.

Paulina Kraków.

11. Kupno na jarmarku.

W pewnym miasteczku odbywał się jarmark. Józio i Cesia prosili rodziców, aby im pozwolili jechać tam z ciocią, bo sobie za ubierane pieniądze chcieli nakupić zabawek i przypatrzeć się zgromadzeniu tylu ludzi. Otrzymawszy pozwolenie i przeliczywszy swoje pieniądze, wyjechały uszczęśliwione dzieci. Cóż to za radość, gdy stanęły

w miasteczku! Ludzi—pełno, kramów—mnóstwo, a w nich takie śliczne rzeczy!

Józio, prędko, żywy, co tylko zobaczył, to chciał kupować; tu mu się podobał konik skórzany, tu—blaszany pałaszik, tu—trąbka, w ślimak skrecona. Kupował jedno po drugim, póki mu pieniędzy starczyło, a, gdy już nic nie było w woreczku, nie chcąc dalej patrzeć na to, czego mieć nie mógł, rzekł do siostry:

— No! śpiesz się, Cesi, ze swemi sprawunkami, bo to już czas do domu.

— Zaraz, zaraz, — odrzekła Cesia; — widzisz, kupiłam już grzebień dla Marysi, wstążkę do czépka dla Tomaszowej i grzechotkę dla jój chłopczyka, boć i im trzeba przywieźć gościniec z jarmarku, ale jeszcze nic nie mam dla siebie. Poradźże mi Józiu, co mam kupić, czy laleczkę, czy gospodarstwo, czy jeszcze co innego.

— Kup lalkę; zrobisz jój amazonkę, ja jój czasem pożyczę konika; zobaczysz jak ślicznie jeździć będzie. . . .

Kiedy tak rozmawiali, mały chłopczyna, ubogo ubrany, przeciskał się przez natłok, aż tu wieśniak jakiś, obracając się nagle, wytrącił mu łokciem flaszczykę, którą niósł w ręku. Głośno i rzewnie zapłakał chłopczyna, a załamując ręce, wyrzekał głośno.

Obstąpili go ludzie, wypytując ciekawie, coby za szkodę poniósł.

— O! wielką, wielką! Niosłem flaszkę z lekarstwem dla biednej matki mojej i ta się stłukła.

— No! cóż robić, — mówili ludzie, — to idź do aptekarza, niech ci da drugą.

— A za cóż? pieniędzy nie mam.

— Wróć po nie do domu.

— Milę drogi, mój Boże! kiedyż to będzie! a doktor tak się śpieszyć kazał i. . . — dodał ciszej, — ktoś wie, czy tam w domu są jeszcze pieniądze na drugą flaszkę!

Cesia słuchała wszystkiego w milczeniu; teraz zbliżyła się do chłopczyka i spytała:

— Wieleż to lekarstwo kosztowało?

— Trzy złote i groszy dwadzieścia, panienko, — odpowiedział chłopiec.

Cesia sięgnęła do woreczka, odliczyła pieniądze i, wsunawszy je w rękę biédaka, zawróciła się ku kramom, by nie słyszeć, jak jój dziękował. Za resztę pieniędzy kupiła sobie igieł i paczkę pierników i, wesola, szczęśliwa, wróciła do ciotki.

Za przybyciem do domu, Józio porozstawiał zabawki swoje na stole, a matka, oglądając każdą, pytała o cenę i w końcu rzekła:

— Znać, żeś prędko: o połowę przepłaciłeś wszystko. A Cesia?

Dziewczynka pokazała swoje małe sprawunki, a matka dziwiła się, że tak tanio kupić je umiała.

— Ale,—rzekła,—cóż kupiłeś dla siebie? Czy nic więcej nad te pierniczki?

Cesia spuściła oczy i zarumieniła się, ale Józio zawołał:

— O! kupiła jeszcze flaszkę lekarstwa.

— Cóż to znaczy?

Tu Józio powiedział wszystko, a matka, z rozczczeniem całując dziewczynkę, rzekła:

— Tak czyń zawsze, Celino, bo zabawka przemienie, ale błogosławieństwo Boskie i ludzkie na całe życie zostanie, a to tylko dobrymi czyni kupić sobie można.

Paulińa Kraków.

12. Miło jest wspierać ubogich.

W połowie Września, pewnego dnia po obiedzie, gdy bardzo piękna była pogoda, pan Przygodzki i Maurycy, syn jego, udali się na przechadzkę. Wyszedszy z Krakowa (mieszkali bowiem w tém mieście), uszli blisko pół mili,

rozmawiając o rozmaitych rzeczach i dostali się na wzgórze, okryte piękną murawą i owocowymi drzewami. Z tego miejsca widzieli i wspaniałą Wisłę i piękne okolice Krakowa. Z żalem usłyszał Maurycy, gdy ojciec powiedział, że czas powracać do domu.

Nagle zebrały się chmury i deszcz rzęśisty padać zaczął. — „Cóż poczniemy, ojcze,“ rzekł Maurycy; „nigdzie domu nie widać.“ — „To prawda,“ odpowiedział pan Przygodzki, „i trzeba pośpieszać, bo nieza długo się zmiérchnie.“

Maurycy, trzymając się ojca za rękę, przez czas niejaki znosił cierpliwie nawałnicę, ale, nienazwyczajony do niewygód powietrza i nie mając żadnego wyobrażenia, ile cierpią nieszczęśliwi, pozbawieni przytułku, płakać zaczął, jak gdyby go największe zło spotkało.

„Smuci mię to,“ rzekł pan Przygodzki, „że nie możesz znieść odważnie tak małej przykrości. Wiesz, że, kiedy powrócimy do domu, rozgrzejesz się przy kominie i odmienisz suknie. Porównaj swój stan ze stanem drugich. Wieleż to ludzi musi pracować pod gołym niebem, na deszczu i zimnie, a nie mają wygodnego i ciepłego łóżka, gdzieby spocząć mogli. Nikt nie poradzi sobie płaczem i narzekaniem; trzeba cierpliwie znosić przykrości, a razem starać się, aby ich uniknąć.“

Tak mówiąc, weszli do biednej chaty, na pół rozwalonej. Zapukali — i otworzyło im dziecię, w tych samych latach, co i Maurycy, ale jego ubranie oznaczało niezmierną nędzę. „Czy pozwolicie nam,“ rzekł pan Przygodzki, „abyśmy u was na kilka chwil schronili się przed deszczem?“ — „Och! wejdźcie, wejdźcie, proszę,“ odpowiedziało dziecię. Weszli więc do izby i zobaczyli w niej nędzne łóżko, okryte łachmanami, i stół prosty. Na łóżku leżał człowiek, jak się zdawało, bardzo chory; dzieci, w brudnych koszulach, bawiły się na podłodze, a kobieta, już nie młoda, gotowała kartofle. Ukłoniła się panu Przygodzkiemu i rzekła, iż

bardzo żałuje, że nie ma stołków, ale, jeżeli zechcą, mogą usiąść na stole.

„Wielka jest u was bięda, moja gospodyni,“ rzekł do niej pan Przygodzki.

„Ach! nieszczęśliwi ludzie jesteśmy, wielmożny panie,“ odpowiedziała kobięta. „Mąż mój jest wyrobnikiem i ciężko pracuje na wyżywienie nasze. Od kwartału zachorował na piersi; wyprzedaliśmy się ze wszystkiego i przyjdzie nam z głodu umrzeć. Ale, paniczu,“ rzekła do Maurycego, „przemokłeś i drżysz od zimna, przysuń się do komina. Antosiu, przyrzuc gałązek na ogień.“

Ponieważ deszcz padał ciągle, pan Przygodzki posłał najstarszego chłopaka do miasta po swój powóz. Gdy czekał na jego przyjazd, biędny wyrobnik chciał usiąść na łóżku; z jego wybladłej i wynędzniałej twarzy widać było, jak wiele cierpi. Bolesnie spojrzał na swoje dzieci, lzy puściły mu się z oczu i padł znowu na łóżko. Pan Przygodzki, ulitowawszy się nad jego nieszczęściem, wyjął z kieszeni dziesięć złotych, gdyż więcej nie miał przy sobie, i dał je biednej kobięcie, mówiąc, że nazajutrz powróci i zobaczy, czy jęj nie będzie mógł dopomódz. Podziękowała mu jak najmocniej za jego łaskę i mówiła, że już oddawna nie miała razem tyle pieniędzy. „Moje kochane dzieci!“ zawołała z płaczem, „dostaniecie chleba.“

Zajechał powóz, a pan Przygodzki rzekł do syna, gdy powracali do miasta: „A cóż, Maurycy, któż jest nieszczęśliwszy? Czyli ty, że zmokłeś i zziąbłeś, czyli ci biędni ludzie, pozbawieni wszystkiego?“

Maurycy zawstydził się, ale odpowiedział natychmiast: „Oczywiście, że ci ludzie, mój ojcz.“

„Pamiętajże więc, mój synu, aby cię najmniejsza dolegliwość nie gnięwała i nie smuciła; myśl nie tylko o sobie, ale i o drugich. Pogardzamy takim człowiekiem, który nie jest panem siebie, a ten, kto nie ma litości dla bliźniego, pozbawia się najmiłszęj rozkoszy. Cóż może być miłszém

dla człowieka, jak to, kiedy udzieli posiłku zgłodniałym, zapewni przytułek tym, którzy go nie mają, przyniesie wsparcie i lekarstwo chorym, leżącym na barłogu?”

Poznał Maurycy, że ojciec jego prawdę mówi. Naza-jutrz wstał bardzo rano, a ubrawszy się, pobiegł do owęj chatki. Całą rodzinę zastał w innym zupełnie stanie. Dzieci jadły chleb z mléką, ojciec zaś, siedząc na łóżku, pił rosół. Maurycy wyjął z kieszeni sześć dukatów i podał je kobiecie, mówiąc, aby użyła tych pieniędzy na wyléczenie swego męża. Dukaty te przez rok cały zbierał sobie Maurycy z tego, co dostawał w podarunku od rodziców i krewnych. Chciał być, uzbiérawszy sobie drugie tyle, kupić piękny zégarek. Wyrobnik, na widok tak niespodziewanego skarbu, podniósł oczy do nieba i modlił się w milczeniu, a dzieci, otoczywszy Maurycego, całowały go w ręce.

W téj chwili pan Przygodzki wszedł do chaty. Z radośnej twarzy swojego syna dorozumiał się jego postępkowi. Uściskał go i ucałował, a Maurycy nigdy nie był tak szczęśliwym. Aż dotąd skąpił był pieniądze dla biédnych, a rozrzucał je na fraszki, ale, gdy zobaczył, że wyrobnik przyszedł do zdrowia, że dzieci i żona jego opatrzyły się we wszystko, czego im na zimę było potrzeba, poznał wtenczas, że dobroczynność największą przynosi nam rozkosz.

Od téj chwili zmienił zupełnie swoje postępowanie; nie był to już ten chłopiec, który tylko myślał o sobie samym, ale zważał na nieszczęścia drugich i starał się przynieść im ulgę; a, kiedy już doszedł wieku dojrzałego, nie zapomniał nigdy o téj chwili, kiedy pierwszy raz wszedł do chatki nędzarza, i dziękował Opatrzności, że mu dała poznać, jak okropną jest nędza i opuszczenie od wszystkich.

Frań. Salezy Dmóchowski. 1859 r.

13. Mały samolub.

— Dla czego, Edwardzie, nie dałeś młodszemu bratu piłki, o którą cię prosił?—zapytała się matka swego syna, Edwarda.

— Bo to moja,—odpowiedział chłopiec,—a spojrzawszy w ziemię, zamilkł.

— Ty, widzę, nigdy nie poprawisz się,—odpowiedziała matka. I cóż znaczy że to jest twoja piłka? Wszakże Antos wczoraj pożyczył ci swoich maleńkich kregli i niemi bawiłeś się przez rekreację? Jak to brzydko być takim nieużytym! Powtarzałam ci tyle razy, że, jeżeli chcesz, żeby drudzy byli dla ciebie usługni, żeby ci pozwalali bawić się z sobą, powinienes i ty dla nich być usługnym i uprzejmym. Zobaczysz, że ci to bardzo wiele przykrości narobi.

To powiedziawszy, odeszła matka Edwarda, a on sam został.

— Co mi tam! — pomyślał sobie,—albo to ja sam nie potrafię grać w piłkę?—Rzucił ją więc i łapał, ale po jakim czasie znudziła go samotna zabawa.

— Pójdź, Antosiu! — zawołał na brata, — baw się ze mną.

— Baw się sam,—odpowiedział Antos, — ja pójdę pokazać siostrze obrazki, które dostałem od papy.

— Dostałeś! — rzekł Edward, — pokażże mi je, pokaż.

— To są moje,—odpowiedział Antos;—nie chciałeś mi dać piłki, nie zobaczysz obrazków.... A co, czyli ci miło?—rzekł, uśmiechając się, ale z jego oczu widać było, że dobry Antos żartuje tylko i że nie chce bratu swemu złem za złe odpłacić, i gdyby go był Edward raz jeszcze poprosił, natychmiast byłaby nastąpiła zgoda pomiędzy nimi.

Ale Edward nietylko był nieużytym, lecz i upartym jeszcze. Rozgniewał się, wyszedł z pokoju i cały czas chodził sam po ogrodzie, nie kontent ani z siebie, ani z drugich. Jednakże nie poprawiło go to jeszcze. Im był starszy, tém bardziej wzrastał w nim ten niedobry nałóg. Rodzice oddali go do szkół publicznych, razem z Antosiem. Antos, grzeczny i przyjacielski, każdemu pragnął dopomagać w czém tylko mógł, powtarzał lekcye z tymi, którzy ich dobrze nie umieli, a ponieważ uczył się pilnie i był pierw-

szym w swojej klasie, nieraz wstawiał się za tymi, którzy co przewinili, i wyprosił ich od naznaczonej kary. Kochali go też wszyscy uczniowie.

Przeciwnie, nikt nie lubił Edwarda, a jeżeli go cierpieli w towarzystwie, to tylko przez wzgląd na młodszego brata. Ale nareszcie, znudzeni jego samolubstwem, spółuczniowie zmówili się przeciw niemu, aby go należycie za to umartwić.

Na wiosnę, w święto, gdy była piękna pogoda, poszły wszystkie dzieci na cały dzień na rekreacyją, ze swoim nauczycielem. Umówiono się, że wyjdą bardzo rano; że każdy uczeń przyniesie co z domu do jedzenia; że będą zbierać kwiaty i owady w pobliskim lasku; że potem każą sobie dać mleka, masła, chleba wiejskiego, złożą razem swoje małe zapasy, a po takim prostym obiedzie, w różne gry bawić się będą aż do wieczora.

Edward lubił także biegać i bawić się w gry rozmaite. Nie uważał zrazu na to, że, gdy szli na miejsce, które było celem ich przechadzki, wszyscy uczniowie stronili od niego, szeptali między sobą i żaden do niego nie zagadał ani słowa. Ale, gdy już przyszedli do lasku, odezwał się jeden z nich, który po Antosiu najlepiej uczył się w klasie, że, kiedy Edward przez rok cały nie chciał ani powtarzać lekcyj z niemi razem, ani też żadnemu z nich w niczem dopomódz, bawić się teraz z nim nie będą; że wolno mu było pójść na przechadzkę razem z drugimi, ale może sobie teraz sam chodzić po gaju, sam w swoją piłkę grać i sam zjeść to, co przyniósł z sobą.

Zdziwił się nauczyciel, usłyszawszy to niespodziewane oświadczenie, ale, sądząc, iż ten przypadek może poprawić Edwarda, rzekł, że dziś na rekreacyi wolno jest dzieciom bawić się, jak zechcą, on zaś tego tylko doglądać będzie, ażeby sobie nic złego nie zrobiły, a więc, chociaż żałuje Edwarda, nie może nakazać dzieciom, aby go do swoich zabaw przypuściły. Zmieszał się Edward i zawstydził; za-

czął płakać, przepraszać swoich spółuczniów, ale wszystko to nic nie pomogło.

— Baw się sam, masz swoją piłkę, swój obiad,—powtarzały dzieci. Odmówiłeś nam tyle razy; przyszła teraz kolej i na nas.

Napróżno dobry Antos wstawiał się za bratem, a widząc, że ich nakłonić nie może, rzekł:

— Kiedy tak, to i ja zostanę się przy bracie; nie porzucę go samego.

Na takie słowa Antosia, dzieci zaczęły się wachać i już byłyby przypuściły Edwarda do swojego towarzystwa, byleby tylko ich ulubiony Antos bawił się z niemi, ale nauczyciel odezwał się, iż każdy powinien to otrzymać, na co zasłużył, i kazał Antosowi, aby poszedł z drugimi, a zostawił brata.

Z żalem usłuchał Antos tego rozkazu. Oddaliły się dzieci z wesołemi okrzykami, a biedny Edward został się sam pod drzewem, przejęty i wstydem i żalem. Byłby chętnie powrócił do domu, ale nie śmiał, bał się i nie wiedział, co powie rodzicom, gdy się go o przyczynę zapytają. Zaczął zatem rozmyślać nad postępowaniem swoim, poznał, jak to nie dobrze być nieużytem i samolubem, jak potrzeba zarabiać sobie na przyjaźń drugich. Ze łzami zjadł swój posiłek, i postanowił inaczej na przyszłość postępować. Pokuta jego prędkiej skończyła się, aniżeli miał nadzieję. Po obiedzie spółuczniowie, prześlęgani prośbami Antosia, powrócili do Edwarda, podali mu rękę, uściskali go; on wzajemnie przyrzekł im, że inaczej postępować będzie, a tak reszta rekreacyi zakończyła się w powszechnej wesołości i zgodzie.

Odtąd Edward starał się tyle sobie zobowiązywać wszystkich, ile dawniej o nikogo nie dbał. Wszyscy go też polubili i sam poznał, że człowiek nie może być szczęśliwym, jeżeli się nie stara o życzliwość i przyjaźń drugich.

14. Imieniny Basi.

Czwartego Grudnia, w dzień świętj Barbary, większy był ruch w domu pani P*, bo to były imieniny najstarszj córeczki, dobrj, pilnjej, potulnej Basi. Zaledwie otworzyła oczy i wzniosła je do nieba, by podziękować Bogu, że ją przez noc od przypadku uchronił, ujrzała na ścianie złoty krzyżyk z takimże łańcuszkiem; był to dar ojca. Od matki dostała salopkę z futerkiem i pudełko rozmaitych zabawek. Siostra za swoje pieniądze kupiła dla Basi lalkę, a braciszek podarował jej kanarka w klatce. Nawet służące, winszując Basi imienin, złożyły jej bukiet z białych, żółtych i lilijowych nieśmiertelników, wśród których umieściły śliczną miesięczną różę, starannie w doniczkę wypielegnowaną. Po śniadaniu Basia poszła z matką do kościoła, pomodliła się i, wróciwszy do domu, zastała kilka powinszowań od małych swoich przyjaciółek.

Rodzice Basi pozwolili jej zaprosić kilkoro dzieci na wieczór; kupiono ciast, gruszek, jabłek; wujaszek przyniósł paczkę cukierków, a stryjaszek, który zapomniał był o imieninach Basi, dał jej pięć złotych, mówiąc:

— Każde za to kupić Hiszpańskich winogron, będziesz miała na wety dla swoich gości.

Przyjęła pieniądze Basia, lecz nie posłała po winne grona, tylko po obiedzie spytała matki:

— Wszak te pieniądze już są moją własnością?

— Tak, moje dziecko.

— Mogę z niemi zrobić, co mi się podoba?

— Możesz.

— Pozwól mi więc, mamuniu, wyprawić za nie podwieczorek dla biednych dzieci z ochrony.

Matka chętnie zezwoliła na żądanie Basi, a dziewczynka zajęła się szczerze wykonaniem pięknego zamiaru. Kazała kupić mleka i kosz białych bułeczek, ubrała się ciepło i poszła do ochrony małych dzieci, ze starą służącą. Dziecieczki siedziały jeszcze na ławkach, lecz, że już się wieczór

zbliżał, dziewczynki składały swoje robótki, chłopczyki zawieszali na ścianie tablice, a nauczyciel, stojąc na środku sali, patrzył na nich z zajęciem i obmyślał nowe zatrudnienie, bo w ochronie dzieci ani na chwilę nie są bez zajęcia.

Gdy Basia weszła, powitały ją wszystkie uprzejmie; kilkoro z nich powiedziało ładne bajeczki, a, kiedy Basia własną ręką rozdzieliła mléko i bułeczki, dzieci smacznie je zjadały, bez łakomstwa i pośpiechu, a nawet niejedno połowę swojej bułki dla matki, lub ojca, w kieszonkę schowało.

Po podwieczorku podziękowały Basi i odmówiły wieczorną modlitwę, a dziewczynka, szczęśliwa i wesoła, wróciła do domu, bawiła się ochoczo przez cały wieczór z zaproszonymi gośćmi, ale, idąc spać i dziękując matce za przyjemności, których z jej łaski w ciągu całego dnia doznała, rzekła:

— Najmilszą jednak była mi godzina, w ochronie spędzona, i tę najdłużej pamiętać będę.

Paulina Kraków.

15. Balik dziecinny.

Już zimny Luty dochodził do połowy; już za tydzień skończyć się miały zapusty; bieleły się zdaleka rogi Warszawskich ulic, okryte uwiadomieniami o widowiskach i balach; toczyły się pojazdy, snuły się tłumnie sanki; sklepy były pełne kupujących. Wszystko było w ruchu; prawie o niczym nie mówiono, tylko o tańcach i strojach.

Dzieci pani Niesińskię jeszcze na żadnym baliku nie były; obiecała im wprawdzie matka, że przed ostatkami wytańczą się raz do woli; wyglądały więc z niecierpliwością spełnienia tej obietnicy. Dzieci te bardzo były grzeczne; uczyły się dobrze, słuchały starszych i nie kłóciły się nigdy. Było ich troje: Władys, Helenka i Cesia. Władys skończył rok dziesiąty. Chociaż przewyższał siostry i siłą i wiekiem,

nigdy im nie dokuczał, nigdy się im nie sprzeciwiał. Kochały go też obie serdecznie i wszelkimi sposobami starały się okazać, że go kochają. Gdy Władys dostał pieniędzy od matki, mógł osobno miódz, osobno srebro chować, bo każda z siostr śliczny mu podarowała woreczek. Władys miał swój własny pokóik. Żywy, roztrzepany, często poszedł ze starym Jakóbm do szkoły, a wszystkie swoje rzeczy, książki, papiery porozrzucanemi zostawił. Łajała go surowo matka, skoro podobną niedbałość ujrziała. Spostrzegły to wkrótce dziewczynki: chodziły więc cichuteńko do brata pokoju, gdy wyszedł, i układały starannie wszystko, co zostawił w nieporządku. Władys ze swój strony umiał być wdzięcznym; jak już mówiłam, nie dokuczał siostróm nigdy, różne gry im wymyślał, ustępował w zabawach, robił im często kanapki, stoliczki dla lalek, nauczył się nawet plść koszyki, i raz w sekrecie, na imieniny Helenki, zrobił dla dziecka jój lalki przesliczną kolébkę.

Cieszyła matkę zgoda, w której żyły jój dzieci; każdy nowy dowód ich wzajemnej miłości radował ją więcej, niż nowe ich postępy w naukach, bo każda dobra matka cnoty swoich dziattek nad ich umiejętność przekłada i każde dziecię wiedzieć powinno, iż lepiej daleko być dobrym, niż uczonym.

Przyszła nakoniec pora, w której pani Niesińska dotrzymać mogła dawniej obietnicy swojej. Właśnie w Tłustą Środę oświadczyła dzieciom, iż będą nazajutrz u babuni na małym baliku. Miało tam być wiele dziewczynek i chłopczyków, a, jak to zwyczajnie u babuni bywa, łakotek jeszcze więcej: kawa, herbata, pączki, cukierki, ciasta różne. Pani Niesińska umyślnie na ten balik sprawiła dzieciom nowe ubiory. Władys miał mieć śliczne ubranie granatowe z srebrnemi guzikami, a dziewczynki — białe muslinowe sukienki, różowemi wstążkami obszywane. Szewc przyniósł im różowe atłasowe trzewiczki. Władys i jego siostry tak były kontente, tak wesołe, że zdawało się, iż im nic nie braknie

do zupełnego szczęścia. Ledwie o dziesiątej godzinie spać się położyły i całą noc śniły im się mazurki, walce, pączki i nowe sukienki. Obudziły się dziewczynki raniiej, niż zazwyczaj; wstały natychmiast i cieszyły się, że pierwszy raz w życiu zawstydzą brata wcześniejszem wstaniem. Zmówiły paciérz, a Władysia jeszcze widać nie było. Chciały matce powiedzieć dzień dobry, ale nie zastały jój w sypialnym pokoju. Zdziwione, pytają się, dokądby tak rano poszła? Powiadają im, że poszła do Władzia. Biegną prędko do jego pokoiku, otwierają drzwi; stary Jakób kiwa na nie, żeby się sprawiały cicho; spojrzą na łóżko Władysia, a on leży cierpiący i matka głowę chustką mu wiąże. Skoro je zobaczył, rzekł im słabym głosem: „Dzień dobry wam, kochane siostry; dobrze przynajmniej, żeście wy zdrowe; pojedziecie na bal i wytańczycie się za mnie. Ja nie będę. Całą noc miałem gorączkę; Jakób powiada, że nawet majaczył, a teraz czuję mocne pragnienie i ból głowy niesłychany.“

Twarze obudwóch dziewczynek odmieniały się przez ten czas po kilka razy: to były blade, to rumiane; widać w nich było wielkie wzruszenie. Nareszcie spojrzały na siebie i razem te słowa wyrzekły: „Nie, my nie chcemy być na balu, kiedy ty nie będziesz; tyś chory, jakżebyśmy tańcować mogły? Zostaniemy z tobą w domu.“ Władys nie chciał przyjąć tego dowodu przywiązania. Matka, w duszy uradowana, namawiała dziewczynki, żeby pojechały na bal. „Już posyłałam po lekarza,“ powiedziała im, „bom się bała, czy to nie jaka szkodliwa gorączka; był przed chwilą u Władysia, zaręczył, że mu nic nie będzie, kazał tylko, żeby się ciepło trzymał i nie jadł wiele.“ Dobre siostry nie dały się nakłonić. Poświęciły z ochotą bratu i ukontentowanie ubrania się w nowe sukienki i nadzieję tańców, zabawy i przysmaczków. Uszczęśliwiły tém matkę, uradowały Władysia. Uściskała je pani Niesińska serdecznie, pochwaliła przywiązanie do brata i dodała, że wszyscy

CZĘŚĆ WSTĘPNA.

kochać je będą, jeżeli się przyzwyczają z młodu myśleć piérwój o przyjemności drugih, niżeli o własnój.

Ponieważ to się działo w Tłusty Czwartek i Władys był słaby, nie miały dziewczynki żadnych lekcyj. Przepędziły więc ranek i dzień cały w pokoiku brata, starały się go zabawić, opowiadały mu różne historyjki, powieści i bajki, a wdzięczny Władys ścisnął siostry za ręce i dziękował im serdecznie. Wieczorem pani Niesińska musiała pojechać na bal, oznajmić babuni, dla czego wnuki u niój nie będą. Gdy przyszła żegnać się z dziećmi, jak ją zobaczyły dziewczynki pięknie ubraną, westchnęły, ale w tém spojrzwały na uśmiechającego się do nich Władysia i wnet zapomniały żalu.

Cały wieczór zeszedł im nad wyraz przyjemnie. Helenka i Cesia więcój doznawały ukontentowania, niż gdyby były na największym balu, bo w sercu słodką czuły radość, a w oczach brata najwyższą widziały wdzięczność. Władysia jeszcze głowa bolała, ale nie śmiał narzekać, żeby siostr nie martwić; słuchał ich opowiadań, starał się bawić i zapominał często o swojém cierpieniu.

Pani Niesińska niebawnie wróciła; opowiedziawszy gościom, jakie dobre miała dzieci, tęsknić do nich zaczęła. Przywiozła dziewczynkom ciasteczek i cukierków, które babunia dla nich dała; zjadły wszystko, gdy od brata odeszły, bo jemu lekarz zakazał podobnych łakotek. Parę dni słaby był jeszcze Władys; siostry ciągle go pilnowały, dopóki zupełnie nie wyzdrowiał.

Postępek Helenki i Cesi tak się ich babuni podobał, że im oznajmiła, iż w Ostatni Wtorek da umyślnie osobny dla nich balik, świetniejszy od piérwszego. Nadszedł ten dzień pożądaný; Władys był zdrów; Helenka i Cesia, ubrane w owe ładne sukienki i trzewiczki, tańcowały bardzo wiele. Niektóre matki, uwiadomione o ich dobrém sercu, pokazywały je swoim córkom, a Władys chodził do wszystkich chłopczyków, swoich znajomych, chwalił się przed niemi i mówił im: „Może wy nie wiecie jakie ja mam dobre

siostry?“ Słyszac to, rumieniły się obie i mówiły do siebie: „Nie zasłużyłyśmy na tyle pochwał; każdy na naszym miejscu to samo byłby uczynił.“

Tańczyli wszyscy ochoczo, a Władys bardzo mało. Niezmiernie był zajęty, biegał, wychodził co moment; dopytywał się bezustannie babuni, kiedy będzie kolacja, a gdy dano znać, że już na stole, przerwał niedawno zaczętego mazurka i śpiesznie siostry do sali jadalnej zaprowadził. Zobaczyły stół, okryty różnemi przysmaczkami, a w środku wielką piramidę z przezroczystego papieru. Ponieważ była dobrze oświetlona wewnątrz, każdy mógł przeczytać te słowa na trzech jej stronach: „Dobrym siostronom wdzięczny Władys.“ Na ten widok obie rzuciły się na szyję bratu; zgadły od razu, że to było jego pomysłem. W samej rzeczy, Władys, skoro wyzdrowiał, zaraz nad tą piramidą pracować zaczął, sam ją skleił i napis położył, bo chciał się wywdzięczyc siostronom. Kto tylko na balu był obecny, lub posłyszał o przywiązaniu sióstr i o wdzięczności brata, nie mógł się ich odchwalić. Wszystkie przytomne dzieci przekonały się, że pięknie być dobrym, bo każdy dobry postępek dwoiście jest nagrodzony: przez własne ukontentowanie i przez wdzięczność i pochwały drugich.

Klem. z Tań. Hoffmanowa.

16. Nie suknia nas zdo bi.

Źle to z ubioru jest sądzić, moje dzieci, bo dawne nie sie przysłowie: „Nie suknia zdo bi człowieka, ale człowiek suknię.“ Marcin ek nieraz o tém słyszał, a jednak trudno mu się było o téj prawdzie przekonać: zawsze rozmawiał niechętnie, a nawet niegrzecznie z temi, co skromne suknie nosili. „Ja poznam każdego, czém jest, abym tylko spojrział na niego,“ mawiał do swoich kolegów, a chociaż nieraz mu odpowiadano, że może się pomylić, nie chciał temu wierzyć. Jednakże miał on jedną zaletę: uczył się dobrze i bardzo cenił ludzi, którzy mieli naukę. Razu jednego, przed połu-

dniem siedział przy lekcyi, kiedy usłyszał, że ktoś zadzwonił. Służącego nie było w pokoju i Marcinek sam drzwi otworzył. Młody jakiś człowiek, strojnie ubrany, wszedł do przedpokoju, uklonił się z ręcznie i zapytał: „Czy jest pan B* w domu?“ „Niéma taty,“ odpowiedział Marcinek, „ale niech pan dobrodziej zatrzyma się w salonie.“ I powiedziawszy to, wprowadził go do salonu, prosząc koniecznie, aby usiadł na kanapie. W téj chwili znów ktoś zadzwonił. Marcinek otworzył. Wszedł jakiś człowiek średniego wieku, miłej twarzy; ale suknia jego nie była piękna: miał surdut długi, z ciemno szaraczkowego sukna.

— Czy jest pan B*? — zapytał się, zamykając drzwi za sobą.

— Niéma.

— A kiedy powróci?

— Nie wiem, a jaki pan ma interes?

— Chciałem się z nim widzieć.

— To niech się pan tu zatrzyma.—I Marcinek wskazał miejsce na szlabanie pod oknem.

Nieznajomy uśmiechnął się, skłonił i już wychodził, kiedy na progu zobaczył pana B*.

— A! jak się masz, jak się masz? — zawołali obadwaj i zaczęli się serdecznie całować. Marcinek stanął w osłupieniu.

— Kiedyżeś powrócił, jak dawno tu jesteś? — mówił uradowany pan B*. — Marcinku; — zawołał, — ucałuj ręce tego pana; on dla mnie tak wiele uczynił dobrego, kiedy byłem w potrzebie.

Marcinek, nie śmiejąc oczu podnieść, zbliżył się do nieznajomego, a nieznajomy nawzajem czule uściśnął chłopczyka.

— O! teraz będziesz się cieszyć, Marcinku, bo ten pan jestto profesor nauk przyrodzonych, był kilka lat za granicą, powraca znowu do kraju, może nas wiele rzeczy nauczyć.

Marcinek ciągle był zmięszany, a chcąc przyjść do siebie, powiedział: „A jeszcze tam tatko ma jednego gościa.“ Pan B* wszedł do salonu, spojrział na młodego człowieka i zapytał: „Co mi powiesz, Jakóbie?“

„Mój kolektor mię przysłał, żeby panu przypomnieć o wykupieniu biletu, bo jutro ciągnięcie loteryi.“

Marcinek na nowo został zdziwiony; zarówno żałował swojej niegrzeczności dla profesora i przyjaciela ojca, jak zbytniej grzeczności dla komisanta kolektora. Przyznał się ojcu do błędu, który popełnił, i odtąd, nie uważając na suknie, dla każdego był w miarę grzecznym i uprzejmym.

Józefa Prusiecka. 1861.

17. Lekarstwa domowe.

Rodzice Henryka byli bardzo bogaci; skupowali mu i dawali wszystko, czego zażądał, dogadzali najmniejszemu jego kaprysowi, słowem, pieścili go i psuli pod każdym względem. Ale zbyt wczesnie Bóg zabrał ich do siebie, a młody sierota pojechał na wieś, do swego stryja, który objął nad nim opiekę.

Z początku Henryś nie mógł się przyzwyczaić do wiejskiego życia. U rodziców rzadko się czém zajmował; dzień po dniu upływał mu na zabawie, lub próżnowaniu, tu zaś większą połowę dnia musiał się uczyć, a dopiero nad wieczorem wolno mu było się bawić. W mieście jadł najwyszukańsze potrawy, kładł się spać późno, nie wczesnie wstawał; na wsi musiał nawykać do pokarmów prostych, kłaść się spać najpóźniej o dziewiątej, wstawać prawie ze wschodem słońca.

Jednakże, choć mu się ten rodzaj życia przykrzył, choć z początku nie mógł się z nim oswoić, powoli zaczął do niego nawykać i pojmować zbawienne skutki pracy i umiarkowania. Henryś w domu rodziców był zawsze blady, cierpiący; nie było tygodnia, aby mu doktor nie przepisał jakiego lekarstwa; tymczasem na wsi zdrowie jego zupełnie się polepszyło: nabrał mocy, jak młody dąb, policzki zakwitły

mu rumieńcem, jak listki świeżej róży, i ani razu nie trzeba było wzywać pomocy lekarza. Dlatego téż Henryś często powtarzał:

„Wujaszek ma wielką słuszość, mówiąc, że domowe lékarstwa, to jest: praca, świeże powietrze i wstrzemięźliwe życie, są najskuteczniejszymi środkami do zachowania zdrowia i dobrego humoru.“

Gdy z gnuśności ciało chore,
Nie pomogą sztuczne leki;
Pracuj w porę, spocznij w porę,
A nie zajrzysz do apteki.

Jan Chęciński. 1865 r.

18. Ofiara Romanka.

Już Romankowi kończyło się lat dwanaście; ojciec uznał konieczną potrzebę oddania go do szkół i, po długich zabiegach, dostał od rektora konwiktury księży Pijarów w Warszawie obietnicę, że do grona uczniów przyjętym będzie. Romanek, przyzwyczajony do słodczych rodzicielskiego domu, kochany od matki i ojca, pieszczony od babuni, nie smakując bardzo w nauce, drżał na samo wspomnienie szkoły. Rodzice i babunia pocieszali go jak mogli; powtarzali mu często, że u księży Pijarów prawie tak dobrze, jak w domu; że młodemu koniecznie uczyć się trzeba; chłopiec bał się jednak i żadnej nie miał ochoty, a prośbami swemi, jak mógł, tak dzień wyjazdu odwlekał. Aliści, w pierwszych dniach Września, odbiera ojciec jego list od księdza rektora, w którym mu ten oznajmia, iż, mając do konwiktury wielu kandydatów, jedynie do pewnego dnia czekać na jego syna może, a, jeżeli na dzień oznaczony nie przyjedzie, miejsce jemu obiecane, z żalem komu innemu dać będzie musiał. Ojciec natychmiast wszystko do podróży przygotować kazał i chciał sam odwiedzić syna do Warszawy. Romanek, rad nie rad, wybierać się zaczął; wieczorem pożegnał z płaczem wszystkich domowych, bo nazajutrz, skoro świt, wyjechać

mieli. Babunia, życząc mu dobrej nocy, wsunęła w rękę dukata, żeby sobie co pięknego kupić w Warszawie. Romanek, cokolwiek tym darem pocieszony, z mniejszym smutkiem się położył i spał smacznie. Rano, nim słońce weszło, obudzono go. Wstaje prędko, ubiera się, wychodzi z pośpiechem na dziedziniec. Już pojazd zaszedł, ludzie rzeczy pakowali, ale ojca nie było widać. Pyta się o niego; powiadają mu, że zachorował nagle w nocy i nie pojedzie do Warszawy, lecz zastąpi go wierny i poczciwy sługa. Romanek, przełęczniony, biegnie do ojca pokoju, prosi go na klęczkach, żeby i on mógł nie pojechać, ale ojciec, bojąc się pozbawić syna dobrego miejsca, jechać natychmiast mu każe. Słucha go biedny Romanek, żegna się ze wszystkimi raz jeszcze, jedzie i przez całą drogę płacze. Trzeciego dnia rano, około dziewiątej godziny, wypada im przejeżdżać przez Kalwaryjską Górę. Kiedy przed karczmą konie wydychały, dzwonić zaczęto. Romanek prosił starego sługi, żeby z nim poszedł do kościoła; ten nie odmówił jego żądaniu i poszli obaj. Idąc, chłopczyna był nieswój; widać było, że chciał coś mówić, a nie śmiał. Nareszcie, wzięwszy przewodnika swego za rękę, tak mu powiedział: „Babunia dała mi dukata, żebym sobie co ładnego w Warszawie kupić; dla mnie nic w świecie całym nie ma ładnego, kiedy tata chory!... Mam nawet jakieś przeczucie,“ dodał, zalévając się łzami, „że w téj chwili najmocniej jest słaby; pójdźmy więc do kustosa tutejszego klasztoru, niech dziś jeszcze za tego dukata każe odprawić mszy kilka, ażeby tata ozdrowiał.“ Stary sługa na to chętnie zezwolił; kustosz obiecał dopełnić żądania dobrego syna; natychmiast wyszła msza jedna, której Romanek z jak największą pobożnością wysłuchał. Płakał, łącząc prośby swoje z prośbami kapłana; jak Zbawiciel za wszystkich ludzi się ofiarował, tak on błagał Boga, żeby jego życie za ojcowskie przyjąć raczył. Po ukończeniu nabożeństwa, niepojętęj doznał ulgi; choć jeszcze smutny, stokroć był spokojniejszy. W kilka godzin stanął w Warszawie, właśnie na dzień na-

znaczony. Ksiądz rektor przyjął go mile; otoczyli go szkolni towarzysze; znalazł kilku z okolic swoich, ale nic mu przyjemnem nie było, póki o ojcu nic pewnego się nie dowiedział. Nareszcie odebrał list od matki; donosiła mu z radością, że ojciec daleko zdrowszy, że trzeciego dnia po jego wyjeździe z domu, rano, koło godziny dziewiątej, bardzo było źle, ale przesiliła się gorączka, i że od téj chwili coraz się ma lepiej. Podskoczył Romanek z ukontentowania i podziękował Bogu, że raczył przyjąć jego ofiarę. Wkrótce naocznie się przekonał o zupełném zdrowiu ojca; w kilka bowiem tygodni tenże przyjechał do Warszawy i z rozkoszą serca uściskał syna. Romanek jest jeszcze dotąd w szkołach. Zachęcony do nauki światłem, słodyczą, gorliwością mistrzów swoich i przykładem spółuczniów, obiecuje, że zalety rozumu jego wyrównają kiedyś serca przymiotom.

Klem. z Tań. Hoffmanowa.

19. Łakoma Andzia.

Andzia była bardzo dobra dziewczynka, grzeczna, uprzejma, miła, uczyła się pilnie, ale miała jedną bardzo brzydką wadę... oto była bardzo łakoma. Nic nie uszło jój baczności: wszystko spostrzegła, wynalazła, co tylko było do jedzenia, a, choć nie mogła zjeść, to przynajmniej skosztowała, polizała trochę. Mama bardzo to ganiła, łajała Andzię, nawet niekiedy musiała ją ukarać, ale to wszystko nie pomagało.

Raz posłała mama Andzię do drugiego pokoju, żeby jój przyniosła ze stolika nożyczki. Andzia poszła, ale jój długo nie było widać. Mama czeka, nareszcie woła, ale Andzia się nie odzywa. Pewna że Andzi niéma w tym pokoju, idzie już sama; wtém słyszy krzyk przytłumiony, jak gdyby kto kogo dusił. Wbiega do drugiego pokoju i widzi, że jój córeczka, czerwona, łzami zalana, chce wołać, ale głos jój się tłumi; chce usta otworzyć, ale nie może, bo zęby ma tak skłójone, że ich niepodobna rozerwać. Mama Andzi, prze-

lękniona, zawołała sługi i ledwie, z pomocą noża, otworzono zęby biédacze. A wiecie, co się stało? Oto Andzia, wysunawszy szufladkę, aby wyjąć nożyczki, zaczęła zaraz, podług swego zwyczaju, szpérać, czy niéma czego do zjedzenia. Uradowana, spostrzegła papiérek, w którym, jak się jój zdawało, była tabliczka czekolady. Nie przyglądając się lepij, chciała tylko ugryźć i pobiedz do mamy, gdy wtém... ząbki się zlepiły i ani rusz..., bo wiecie, co było? Maść dyjachilum.

Biédna Andzia płakała bardzo po tém zdarzeniu; wstyd jój było sług, ale mama nie żałowała tego wcale, bo odtąd Andzia przestała być łakomą.

Józefa Prusiecka. 1861 r.

20. Dobry Leoś.

Leoś był zarówno kochany przez rodziców i nauczycieli, jak i przez wszystkich domowników. Powiem wam zaraz, jakim sposobem na to sobie zasłużył. Najgłówniejszém staraniem jego było, aby wszelkie rozkazy i życzenia rodziców wypełniać, aby im w każdój chwili nowe dowody przywiązania okazywać. Nic go więcj nie bolało, jak kiedy, choć przypadkiem, rodzicom swoim najmniejszą nieprzyjemność sprawił. Jeżeli które z nich zachorowało, więcj tém był dotknięty, niż żeby go samego choroba złożyła. Jeżeli zapomniał czasem zrobić to, co mu polecili, natenczas mawiał z żalem: „Ach! jakżebym chętnie poniósł wszelką karę i oddał wszystko, co mam, aby tylko moi kochani rodzice nie gniewali się na mnie.“ Jeżeli spostrzegł co złego w postępkach swoich braci i sióstr, albo téż służących, powiedział o tém ojcu wtedy tylko, kiedy to były rzeczy ważne i do wiedzenia potrzebne; mniéj znaczące wykroczenia ściślém pokrywał milczeniem. Nauczyciele nigdy nie mieli potrzeby naganiać go do książki: sam wstawał jak najráníj i z ochotą śpieszył do nauk.

Nigdy nie był ani nadto wesoły i swawolny, ani posępny. Pożytecznym zatrudnieniom najwięcej czasu poświęcał. Kiedy ojciec, lub matka, obdarzyli go choć najmniejszym podarunkiem, z niewymowną wdzięcznością im dziękował; często nawet innym dzieciom opowiadał, jak wiele rodzice czynią mu dobrego. Nic mu nie było miłszego, jak sprawić im jakąkolwiek przyjemność. Kiedy jego rodzice kazali innemu dziecku przynieść co potrzebnego z drugiego pokoju, Leoś starał się wszystkich w przyniesieniu wyprzedzić. Małe nieprzyjemności, jakich nieraz od swych braci lub rówieśników doznawał, wolał nieraz znieść cierpliwie, aniżeli wszczynać kłótnie, któreby mogły zmartwić rodziców.

Z tych więc przyczyn wszyscy go kochali: rodzice najwięcej mieli dla niego czułości; nauczyciele dawali mu pierwszeństwo przed innemi dziećmi, a służący posługiwali mu z największą ochotą.

21. Dobroczynny Władzio.

Władys, będąc raz na przechadzce, spotkał małego kałękę, chodzącego na kulach, którego odzież dowodziła wielkiego ubóstwa.

Uderzony tym smutnym widokiem, zapytał się biednego chłopca, kto są jego rodzice.

— Rodzice moi już oddawna umarli, — odpowiedział ubogi chłopiec.

— Któż cię więc utrzymuje? — znów zadał mu pytanie Władys.

— Ojciec Niebieski, — odrzekł chłopczyk; — On o mnie ma staranie, On zsyła ludzi litościwych, którzy udzielają mi nieco z tego, co mają nad potrzeby własne.

Te słowa, równie jak stan nieszczęśliwego kałęki, żywo wzruszyły czułe serce Władysia. Dał mu wszystkie pieniądze, które miał przy sobie, i, jeszcze tém nie zadowolony, zaprowadził go z sobą do domu i prosił matki, aby mu stałe wsparcie co tydzień dawała.

Ubogich chłopczyk dziękował z rozrzewnieniem dobroczynnemu Władysławowi, a, kto tylko usłyszał o tak pięknym postępku młodzieńca, nie mógł się go dosyć nachwalić. Serce matki jeszcze większą radość uczuło, bo z tego czynu syna powzięła wróżbę, iż wyrośnie na zanego i cnotliwego człowieka i nie pożałuje nigdy żadnych trudów dla wspomnienia bliźniego.

22. Uczciwa rodzina.

Marcin[•] był to uczciwy wieśniak. Nie można go było nazwać bogatym, gdyż mu brakowało wielu rzeczy, które stanowią bogactwo; miał on tylko małą chatkę i mały kawałek pola, który zaledwie wystarczał na wyżywienie licznej rodziny. Lecz Marcin był bogaty w cnoty: bogobojność i uczciwość. Czyste sumienie było jego nieodstępnym towarzyszem pracy i czyniło mu ją lżejszą. Praca przynosiła mu zawsze więcej korzyści, niż sąsiadom, a bojaźń Boża ułatwiała ciężar wszelkich przeciwności życia.

Marcin miał godną siebie żonę, która podobnie, jak on, myślała i czyniła. Była to gospodyni pilna, pracowita; ochędóztwem nadawała swęj ubogięj chatce miły i przyzwoity pozór.

Dzieci tych dobrych ludzi nie miały za co chodzić do szkoły, lecz za to pracowały pilnie w gospodarstwie; dziewczęta szczególnież zawsze coś sobie potrafiły kądziałą zarobić. Nauczyły się przecież czytać i obeznały się dobrze z religiją i nauką chrześcijańską, gdyż ją rodzice nietylko słowami, lecz i przykładem wpajali w ich serca i umysły.

Frańciszek Kowalski.

23. S z k o ł a.

— Głupstwo ta szkoła!—zawołał Jaś rozgniewany;— nic się z nięj niema tylko trudy i przykrości! Zamiast, żeby teraz sobie można skakać po świeżem powietrzu i chodzić

do zielonego boru, trzeba siedzieć w klasie i uczyć się i uważać. A potem, gdy się na koniec skończy, znowu trzeba siedzieć w domu i pracować, chociażby się wolało pójść do ogrodu, lub gdzieindziej! Chciałbym, żeby wcale szkoły nie było, albo żebym przynajmniej ja nie potrzebował do niej chodzić.

— Dobrze,—powiedział ojciec Jasia,—to życzenie, mój syru, jakkolwiek niezmiernie niedorzeczne, jednak zostanie spełnioném. Pozwalam ci póty nie uczęszczać do szkoły, póki zechcesz. Nikt cię nie będzie przymuszać, żebyś koniecznie tam chodził.

— Ach! ojciec tylko żartuje,—rzekł Jaś.

— Nie, bynajmniej, mówię zupełnie na prawdę,—odpowiedział ojciec. — Owszem, nie chodź do szkoły; już ja z twoim nauczycielem całą rzecz odrobię.

Pełen radości, pobiegł Jaś do swoich kolegów i zdaleka już krzyczał z tryumfem:

— Już nie będę potrzebował chodzić do szkoły, jeśli nie zechcę, a ma się rozumieć, że nie chcę! Ha! to dopiero będzie wesołe życie! Już ani pióra, ani ołówka nie wezmę do ręki, a co książki, to niech je tam sobie szczury zjedzą.

Wszyscy koleżkowie zazdrościli bardzo Jasiowi, wzdychali potajemnie i mówili:

— O! żebym i ja takiego miał ojca!

Jaś nie posiadał się z radości. Pierwszego dnia biegał sobie wesoło po lesie i ledwo w domu się pokazał; drugi dzień przepędził w ogrodzie; trzeciego dnia spacerował po polach i murawach; ale czwartego — już nie wiedział, co ma począć. Dosyć się już naużywał lasu, ogrodu, pola i murawy, i zaczął czuć pewną próżnię, pewne znudzenie. „Gdyby to jeszcze kilku innych tu było chłopców!“ mówił z westchnieniem. Pobiegł do boru, do ogrodu, w pole; wszystko już mu się nudném wydawało. Nawpół ze wstrętem wziął do ręki książkę, aby z niej co przeczytać, ale ojciec zawołał:

— Stój! Kto nie chce chodzić do szkoły, ten i książkom niech da pokój. Biegać sobie możesz, ile chcesz, ale czytać nie; czytać ci nie wolno!

Jaś schował książkę i zaczął myśleć o szkole. Właśnie była to rekreacja, w której chłopcy zwykli wesoło z sobą się bawić. „Ach! żebym to i ja był z niemi!“ znowu rzekł z westchnieniem. Nazajutrz jeszcze więcej było nudów. Następnego dnia znowu nudy. Siódmego dnia nakoniec już dłużej nie mógł wytrzymać.

— Ojczulku! — rzekł smutnie i z pokorą, — pozwól mi znów pójść do szkoły; póki życia już nie powiem, że wołałbym, aby szkoły wcale nie było.

— Aha! więc tak prędko spostrzegłeś, ile życzenie twoje było niedorzeczném? Wiedziałem ja, że wkrótce na to wyjdzie. Każdy człowiek koniecznie powinien mieć zajęcie pożyteczne, jeżeli nie chce sprzykrzyć się samemu sobie i drugim! Idź, idź, a na drugi raz zastanów się wprzód dobrze, nim się wyrwiesz z podobném życzeniem.

B. PRZYPowieści.

1. Rezed a.

Wesoła, ale uważna Felunia zapytała matki:

— Dla czego kochana mama najlepiej lubi stawiać na oknach te niskie zielone krzaczki, zasadzone w takich ozdobnych doniczkach? Wszakże w naszym ogrodzie mamy mnóstwo piękniejszych kwiatów. Radabym bardzo wiedzieć, z jakiej przyczyny ta niepozorna roślina otrzymuje pierwszeństwo?

— Prawda, — odpowie matka, — ta skromna roślina, zwana rezedą, nie jaśnieje ani szkarłatem wspaniałej róży, ani białością lilii, ani rozmaitością kolorów tulipana, ale te

kwiatki, z pozoru niepowabne, obdarzone są miłym zapachem, przyjemniejszym nawet od woni róży. Aż do końca jesieni, a nawet w zimie, kiedy wszystkie inne kwiaty dawno powiędną, rezeda napęnia jeszcze mieszkanie swoim wdzięcznym zapachem. Dlatego też ten kwiatek jest wyobrażeniem cnoty cichéj i skromnéj, która jedynie posiada prawdziwą wartość. Taka cnota przetrwa wszelkie czyny głośne, które, im żywiej dopominają się chwały, tym prędzej tracą powab i zupełnie idą w zapomnienie.

Jan Chęciński. 1863 r.

2. S t r u m y k.

W gorącym dniu Sierpniowym, mała Zosia, szukając ochłody, usiadła z matką nad brzegiem czystego strumyka. Patrzyła z upodobaniem na kamyczki, leżące na dnie, na niebo, drzewa i kwiaty, odbijające się w spokojnéj i przezroczystéj wodzie. Wtém wiatr powstał, zmieszał wodę i znikły miłe obrazy. Zasmuciła się Zosia. „Niech ci ten widok nauką będzie,” powiedziała jéj matka; „swoj obraz niechący widziałś. Pókiś czysta i spokojna, póty czytać w sercu twojém można, póty w niém samo niebo się odbija, lecz, skoro namiętności, gniew, zazdrość, upór, powstaną w twój duszy, zmiesza się spokojność twoja, przestaniesz być czystą, nadobną i miłą.“

Kłem. z Tań. Hoffmanowa.

3. Kręte ścieżki.

„Dla czego, ojcze, wszystkie prawie ścieżki, tu wydeptane są, kręte?“ mówił syn do ojca, chodząc z nim po górach i polach; „mnie się zdaje, że prosta droga — najkrótsza.“ — „Mój synu,“ odpowiedział ojciec, „jedni tak wydeptali te ścieżki dla wygody, przez lenistwo, chcąc kamień, rów,

wzgórek ominąć; drudzy tak uczynili przez nieuwagę, nie patrząc na cel, do którego dążyć powinni, szli to w lewo to w prawo, i tych zapewne najwięcej się trafiło; ich torem reszta poszła. Tak i ludzie w wędrówce swojej do szczęścia czynić zwykli. Jedni przeszkód i trudów, na prostej drodze będących, nie chcą pracą i stałością przewyciężyć; wolą je przebiegami, dowcipem ominąć i krętami idą ścieżkami. Drudzy, nierozmyślni, udają się, gdzie ich oczy prowadzą, i tak z prostej zbaczają drogi. Synu mój, nie idź wydeptanym od nich śladem, strzeż się manowców, trzymaj się drogi prostej, a najprędzej dojdiesz do celu.“

Klem. z Tań. Hoffmanowa.

4. Dwie jabłonie.

(Jeden ogrodnik miał dwóch synów; rok tylko między niemi było różnicy. W Maju darował obudwóm po śliczném drzewie, jabłoni. Jednego wzrostu, jednego gatunku, jednéj czerstwości były oba te drzewa i, lubo stały na dwóch końcach przeciwnych ogrodu, oba zarówno okryte były kwiatem. „Synowie moi,“ rzekł do nich, „daje wam piękne i jednakowe dary; od was zależeć będzie piękność ich w jednakowym utrzymać stanie, ale ostrzegam, że bez pracy i starania tu się nie obejdzie.“ Starszy, uważny i pilny, szczęśliwy z podarunku ojca, umiał się z nim obchodzić: obrał drzewo z robactwa, przywiązał je do pala, skopał wkoło ziemię, żeby wilgoć łatwiej do korzeni dochodziła, słowem prawdziwym był opiekunem jego. Młodszy, płochy i niedbały, zapomniał zupełnie o swojej jabłoni i dopiero w Październiku, gdy w całym ogrodzie do zbierania owoców się wzięto, przypomniał ją sobie; pobiegł do drzewa, ale ani jednego jabłka nie zastał: liszki część owocu jeszcze w zawiązkach zjadły, resztę wiatr strącił. Zasmucony, poszedł obejrzyć jabłoń brata i zdumiał się na jój widok: drzewo znacznie się rozrosło, a jabłka piękne i duże zdaleka się

czerwieniły. Rozgniewany i zazdrością zdjęty, pobiegł z żalem do ojca. „Tato!“ zawołał, „jak mogłeś dać memu bratu tak śliczne i rodzajne drzewo, a mnie — brzydkie i niepiłdne.“

„Jednakowo was udarowałem,“ odpowiedział ojciec, „ale twój brat utrzymał i ulepszył dar mój staraniem, a tyś go zniweczył niedbalstwem. Jaka praca, taki zysk.“

Ileż to razy podobne w życiu trafiają się zdarzenia! Rodzice dadzą dzieciom jednakie wychowanie, jednaki majątek, a dzieci nie jednakowy użytek z tych darów czynią. Lecz czyjaż w tém wina?

Klem. z Tań. Hoffmanowa.

5. Drzewa i dzieci.

Wiosna wróciła, a sypiąc obficie ozdoby swoje, mała liściem lasy i gaje, okrywała kwiatem krzewy i owocowe drzewa. Pan L* z młodą żoną przechadzał się po swoim ogrodzie. Przed kilkoma laty był to kawał nieurodzajnego gruntu; dziś, dzięki ciągłym staraniom, zamienił się w sad przyjemny. Drzewa, które pan L* sam szczepił i pielęgnował, obsypane kwiatem, już gdzieniegdzie zawiązek owocu nosiły. „Patrz, luba żono,“ mówił, „jak uwieńczona praca nasza; nie żał mi moich zabiegów; ten widok sownie wszystkie trudy nagradza.“ Usłyszały te słowa dzieci, idące zwolna za rodzicami. „Tato,“ zawołał syn najstarszy, „i z nas będziesz miał kiedyś podobną pociechę. Równie, jak te drzewa, hodujesz nas i strzeżesz, i my się tobie równie wypłacimy!“ Pan L* uściśkał syna i z upodobaniem to na drzewa, to na dzieci, spoglądał.

Klem. z Tań. Hoffmanowa.

6. Pochyłę kłosy.

Tomasz wyszedł ze swoim synem Michałkiem w pole, aby zobaczyć, jak prędko będzie można rozpocząć żniwo.

„Mój ojczy,“ zagadnął Michaś, „dla czego niektóre łodygi z kłosami są pochylone ku ziemi, a niektóre trzymają się zupełnie prosto? Zapewne proste są najlepsze, a pochylone — nic nie warte.“

Na to rolnik zerwał dwa kłosy, a pokazawszy je synowi, rzekł:

„Przypatrz się, moje dziecię: ten kłos, skromnie pochylony ku ziemi, pełen jest najpiękniejszego ziarna, ten zaś, który z taką dumą trzyma się prosto, jest zupełnie pusty. Tak samo — i między ludźmi: rozumni są zwykle skromni, głupcy zaś jak najwyżej zadzierają swoje puste głowy.“

Jan Chęciński. 1860 r.

7. Cierpliwość.

Młody kmiotek po raz pierwszy zasiał swą rolę, a licząc wielkie w myśli nadzieje, wychodził co rano oglądać, jak zasiew wschodzi. Ale rola jego zdała mu się leniwą: zielone ździebelka ledwo co się wydobywały. Zniecierpliwiony, winił naturę i chciał swoją pracą jej opieszałość nagrodzić. Schylając się przez dzień cały aż do znoju, z ziemi ździebelka na wierzch wyciągał, a gdy był wieczór, radował się, że roli swojej dał popęd, nie myśląc o tém, że, wyciągając ździebelka, ponadrywał korzonków. Kiedy więc rano przyszedł dzieło swoje zobaczyć, ujrzał cały plon zwiędłym.

Pracuj roztropnie, a w tém, czego skutek od Boga zawisł, ufnie i cierpliwie zostaw Mu resztę.

Kazimiérz Brodziński.

8. Ojciec i dzieci.

Ojciec jeden miał kilkoro dzieci. Widząc się blizkim zgonu, wezwał wszystkie do siebie, a wzięwszy kilka prętów, związał je w pęczek i dał starszemu do złamania. Ten, natężywszy wszystkie swe siły, dokazać tego nie mógł. Podał go więc drugiemu, ten trzeciemu i tak dalej, ale żaden nie złamał. Potém starzec, rozwiązawszy pęczek, dał każdemu po jednym pręcie i kazał złamać. Co gdy z łatwością wykonali, „moje dzieci,“ rzekł do nich ojciec, „bierzcie ztąd przykład. Po mojej śmierci, póki będziecie zgodni, dopóty nic was pokonać nie zdoła, ale, skoro się poróżnicie, najmniejsza siła zdolna was będzie zwyciężyć.“

Klem. z Tań. Hoffmanowa.

9. E c h o.

Pawełek nie wiedział, co to jest echo, czyli odgłos. Biegając raz po dworze, krzyknął, potrzaskując biczkiem: „Hej! Hej!“ i usłyszał, jak ze starych murów coś zawołało: „Hej! Hej!“

Chłopak się zdziwił i zawołał: „Kto tam gada?“ I głos odpowiedział: „Kto tam gada?“

„Co ci do tego?“ Głos odpowiedział: „Co ci do tego?“

„Głupis!“ Głos odpowiedział: „Głupis.“

„Ty sam.“ Głos znowu: „Ty sam.“

Pawełek, wpadając w gniew, coraz grubiej lajał i również niegrzeczne odbierał odpowiedzi. W końcu, nie mogąc wytrzymać, pobiegł do starych murów i szukał owego hardego chłopca, który śmiał ząb za ząb klócić się z nim, i chciał go wybić, lecz ani żywój duszy tam nie było. Czując obrazę swoją, Pawełek napół z płaczem pobiegł poskarżyć się matce, że jakiś chłopiec, w starych murach ukryty, przezywał go grubemi wyrazami.

„Rozumiem cię, mój synu,“ odpowiedziała matka, „zdradzasz się, bo sam przychodzisz ze skargą na siebie samego. Dowiedz się, żeś tylko swoje własne słowa słyszał, bo takie stare mury i sklepienia zwykle powtarzają każdy głos, lub huk. Gdybyś był krzyczał co grzecznego i przyzwoitego, odebrałbyś był odpowiedź grzeczną i przyzwoitą.“

Tak samo bywa w życiu z ludźmi. Kto z bliźnim obchodzi się z dobrocią i uprzejmością, ten takiego samego doznaje obejścia, przeciwnie zaś, postępując po grubijańsku, grubijaństw tylko spodziewać się może.

Z Godz. czyt. Lucyjana Siemieńskiego. 1860 r.

10. Rzeka i potok.

Dwoje dzieci, wychowanych w górach, nawykłe były do szumu i łoskotu strumieni i potoków; gdy więc razu jednego zawieźli je rodzice do stolicy, cieszyły się bardzo, że Wisłę zobaczą, i wystawiały sobie w swoim umyśle, że z niezmiernym hałasem płynąć musi. Stanąwszy nad jej brzegami w piękny dzień pogodny, dziwiły się spokojności jej biegu. „Tak wielka, tak wspaniała, tak użyteczna i tak cicha!“ zawołały. „Niech ten widok was nauczy,“ wyrzekli tu rodzice, „iż często, gdzie szumu wiele, tam zasługi mało, i że nieraz, kto wiele czyni, ten i milczy wiele.“

Klem. z Tań. Hoffmanowa.

11. Natura i sztuka.

Julek, przechadzając się z matką po ogrodzie, ujrzał ogrodnika, który obcinał, oskrobywał i szczepił drzewa.

— Mamo, — rzekł Julek, — dla czego ogrodnik zadaje sobie tyle pracy? Widziałem przecież w lesie tyle drzew rosnących swobodnie, a nikt ich ani nie obcina, ani nie szczepi, ani nie oskrobuje, ani też podlęwa.

— Prawda, mój synu, — odpowiedziała matka, — jednakże między łąsnemi, a ogrodowemi drzewami, wielka jest różnica.

— Jakaż to różnica?—zagadnął Julek.

Matka, zamiast odpowiedzi, urwała kwiatek z klombu i owoc z drzewa i podała oboje synowi. Julek skosztował owocu i powiedział, że jest słodki; powąchał kwiatek i przyznał mu woń przyjemną. Potém poprowadziła Julka do blizkiego lasu, zerwała kwiat polny i podjęła owoc, leżący pod dziką jabłonką. Julek powąchał kwiat, lecz nie znalazł w nim woni; skosztował owocu i zaraz cisnął, powiadając, że cierpki i twardy.

— Teraz przekonaj się, mój synu, — rzekła matka, — i pamiętaj, że człowiek, bez wychowania i nauki, jest, jak dzikie drzewo, jak kwiat polny. Kwiatek ten, lubo piękny, woni nie ma; drzewo daje owoc, ale cierpki. Dobrze wychowany człowiek jest podobny do szczepionego drzewa, które słodki i smaczny wydaje owoc.

Z Godz. czyt. Lucyjana Siemieńskiego. 1860 r.

12. P o d k o w a.

Pewien kmiotek, idąc ze swoim synem na jarmark do miasteczka, ujrzał leżącą na drodze złamaną podkowę i pokazał synowi, mówiąc, żeby ją podniósł i schował.

„To nie warto, tatulu, aby się po to schylać,“ odpowiedział leniwy Piotrek.

Ojciec sam podjął podkowę i schował do kieszeni, a w najbliższej wiosce sprzedał ją kowalowi za cztery grosze, za które kupił wiśni, tak, aby syn to widział. W dalszej drodze, że upał był wielki i słońce dogrzewało, uczuł Piotrek mocne pragnienie, a że nie było w pobliżu ani studni, ani strumienia, gdzieby je mógł ugasić, omdléwał więc z gorąca. Ojciec, to widząc, upuścił jedną wiśnię, niby przypadkiem; wnet podniósł ją Piotrek i zjadł z chciwością. Po-

tem upuścił ojciec drugą, po którą syn schylił się również skwapliwie; toż zrobił z trzecią, czwartą i tak dalej, aż do ostatniej, a Piotrek schylał się bez szemrania po każdą z osobna, którą mu ojciec upuszczał.

Gdy się już wiśnie wyczerpały, wtedy ojciec obrócił się do syna i tak doń przemówił:

— Widzisz, Piotrze, do czego cię lenistwo przywiodło: gdybyś się był schylił wprzód raz jeden tylko dla podniesienia podkowy, nie schylałbyś się potem kilkadziesiąt razy po wiśnie. Niechaj drobne to zdarzenie będzie dla ciebie nauką na dalsze życie: lekceważenie i zaniedbanie małej na pozór rzeczy częstokroć pozbawia nas znacznych korzyści w przyszłości, lub zmusza do podjęcia wielkich trudów, aby zyskać to, co w swojej porze z łatwością nam przyjść mogło.

1858 r.

C. ANEKDOTY.

1. F r a n u ś.

Franuś niezmiernie grzecznym jest chłopczykiem i przedziwnie się uczy. Kochają go za to bardzo rodzice, kocha go i nauczyciel, pan K*, a on im najczulszą wzajemnością się wypłaca. Jednego razu zasłabł i matka mu powiedziała: „Wiész co, Franusiu, słaby jesteś, uczyć się nie możesz; dam znać panu K*, żeby napróżno dziś nie przychodził.“ „O! mamó,“ zawołał chłopczyzna, „nie posyłaj; niech przyjdzie, niech go się przynajmniej napatrzę.“

Jakże te wyrazy malują wymownie przywiązanie ucznia, jaką są pochwałą nauczyciela, który podobne przywiązanie wzbudzić umiał.

2. Dowód przywiązania.

Pięcioletni Zenonek Ł* chował się u troskliwej babuni. Ta, przez dzień cały go pielęgnując, nie zapominała o nim i w chwili spoczynku: kiedy się już położył, przychodziła do niego i zalecała, żeby leżał wyciągnięty i prosto, bo tym sposobem duży wyrośnie. Zenonek, jak we wszystkiém, tak i w tém słuchał babuni. Raz, niewiadomo z kąd, przyszło mu się zapytać: „Czy i babunia umrze?“ — „Umrę, moje dziecię!“ odpowiedziała mu. — „A kiedy babunia umrze?“ ponowił Zenonek ze smutkiem. — „O! już ty wtenczas dużym urośniesz.“ Chłopczyna nic na te słowa nie odpowiedział, ale, gdy w wieczór, wedle zwyczaju, babunia przyszła do jego łóżeczka, zastała go skurczonym, i chłopczyk, zawsze posłuszny, dziś na jój wezwanie żadnym sposobem wyciągnąć się nie chciał. „Cóż ci się stało?“ mówiła mu, „poczekaj, kiedy nie słuchasz, nie urośniesz.“ — „To dobrze,“ odpowiedział ze łzami Zenonek, „ja nie chcę urość, żeby babunia prędzej nie umarła.“

Klem. z Tań. Hoffmanowa.

3. Tytuł i stopień.

Dwaj mali bracia w dzień Nowego Roku nową grę sobie wymyślili. Brali po jednemu, bez wyboru, bilety, przysłane rodzicom, i, jakby kartami, który wyższej godności osobę wyciągnął, ten zabijał bilet drugiego. Długo ta gra szła bardzo dobrze; bił wojewoda szambelana, prezes asesora, mecenas patrona, ale nareszcie jeden wyciągnął bilet hrabiego, drugi — pułkownika. Wszczęła się rozprawa wielka, który z nich ma starszą figurę. Zapytany ojciec tak im odpowiedział: „Hrabia jest to tytuł, który urodzenie przynosi, pułkownik — stopień, którego dosłużyć się trzeba.“ Ledwie tych słów dokończył, kiedy chłopczyna, trzymający bilet hrabiego sam pułkownikowi się poddał.

Klem. z Tań. Hoffmanowa.

4. G u c i o.

Pięcioletni Gucio miał mamę młodą i ładną, a babunię dosyć już starą; obiedwie kochał bardzo i obie jego nawzajem. Przypadły urodziny babuni. Gucio odmawiał swój paciérz poranny i piastunka mu powiedziała: „Módl się, żeby Bóg pobłogosławił babuni i dał jój wszystko dobre, a módl się także i za mamę, żeby doczekała lat sędziwych i była kiedyś tak starą, jak babunia!“ — „O! co o to, to nie będę się modlił,“ zawołał Gucio; „ja daleko lepiej wolę Boga prosić, żeby babunia była tak młodą, jak mama.“

Klem. z Tań. Hoffmanowa.

5. Dar mały, lecz prawdziwy.

Pani P* była słaba i wychodzić z domu nie mogła, zawołała więc raniuteńko do siebie pięcioletniego synka i tak do niego rzekła:

„Zygmusiu! weź ten koszyk jabłek, pójdź i ofiaruj go babuni, bo dziś są jój imieniny. Ładnie jój powinszuj, a to jabłko zjédz sam na śniadanie.“

To mówiąc, dała mu śliczne czerwone jabłko. Zygmus pocałował matkę w rękę, wziął koszyk, włożył jabłko do kieszeni i ze starym służącym poszedł do babuni.

„Babuniu! babuniu!“ zawołał wchodząc, „winszuję ci imienin.“ I podając jój koszyk owoców, powiedział: „To od mamy,“ wyjmując zaś z nieśmiałością swoje jabłko z kieszeni, dodał: „a to od Zygmusia.“

Klem. z Tań. Hoffmanowa.

III. HISTORYJA LITERATURY.

ŻYCIORYSY, OBRAZKI Z ŻYCIA PIŚARZY I ANEKDOTY.

1. Mikołaj Kopernik.

Mikołaj Kopernik urodził się w Toruniu r. 1473 dnia 12 Lutego, za panowania Kazimiérza Jagiellończyka. Wyśłany do akademii Krakowskiej, doskonalił się w matematyce, w starożytnych językach i w medycynie; szczególnie jednak oddawał się z zamiłowaniem astronomii pod Wojciechem z Brudzewa. Mając lat 23, uczuł chęć niezbędną szukania dalej wiadomości, od mistrza wskazanych, i powziął myśl udania się do Włoch. Po powrocie do ojczyzny zapisany został w poczet akademików*) Krakowskich roku 1504, z kąd wkrótce udał się do Torunia, gdzie wuj jego, biskup Warmiński, zapewnił mu życie swobodniejsze, do rodzaju prac jego stosowne. Tam przeszło 30 lat zajmował się ciągle w cichości dostrzeganym przez siebie układem świata. Dzieło jego, owoc tylu trudów i cichych starań, które taką zmianę w nauce o budowie świata zrobiło, wyszło właśnie w roku jego śmierci, która nastąpiła dnia 11 Czerwca 1543 roku, gdy miał lat 71.

Kazimierz Brodziński.

2. Przygoda Macieja Strykowskiego.

Maciej Strykowski, sławny niegdyś kronikarz Polski, urodził się w Osostowie, w Łęczyckim, 1547 roku. Ledwie

*) Akademikami zwali się uczący.

odrósł cokolwiek od ziemi, o własnej puścił się mocy i głosem przemówił dziecinnym, już wesołością, rozumem, cieszył rodziców, dziwił czeladkę. Świeży, jak wiosna, żywy, jak iskra, obraz swobody i zdrowia, całem był szczęściem rodziców, całą ich życia przyszłością.

Właśnie rok piąty był zaczął, gdy raz, w Sierpniowy wieczór, rodzice jego, pod modrzewiowym siedząc dworkiem, lubą i słodką o synku swoim prowadzili rozmowę. W ciągu dnia dał on dowody nadzwyczajnego dowcipu; potem na czwórkatnym podwórku zręczne wyprawiał skoki i pąsy; teraz, jak hetman, pobiegł do sadu, na czele dzieci czeladki. Tam je do boju zwykle szykował; tam z nimi igrał wesoło.

Wtém odgłos przeraźliwego krzyku obija się o uszy rodziców. Był tam szczególniej krzyk jeden, co matki serce wskroś przeszył; powstaje, drżąc cała, bieży. Ojciec, zawsze od niej silniejszy, dziś jój wyścignąć nie może.... Jedynak bawił się w sadzie; tam jest głęboka sadzawka, tam dążą, ku miejscu temu zbłąkane zwracają oczy. widzą rozbiegłą dziatek gromadę, jakby przed wilkiem owieczek trzodę. Jedno za drzewem stawą, drugie w wysoką trawę się kryje, trzecie, co zdążyć może, ucieka, a wszystkie płaczą i krzyczą: „Panicz utonął, utonął!“ Już prawie bez tchu rodzice dwoją swój krok, stają nareszcie nad brzegiem wody; zrazu nic na powierzchni nie widzą, lecz wkrótce, już bez oporu, ciało ich syna wypływa.

Zanurza się ojciec w wodę, nieszczęsnej matce stać przykazuje, wyciąga dziecko, na brzeg je kładzie. Porywa matka mokre dzieciątko, woła na nie; nie słyszy; tuli do łona; nie czuje; bierze je ojciec; toż samo! Niosą je pędem do domu, a krew w ich żyłach — zimniejsza od zimnej wody, co po nich ścieka. Zbiega się wierna czeladka, przybywa pleban z lekarzem, przychodzą zewsząd stare niewiasty; każdy coś rai, wskazuje; każdego ojciec i matka słucha; co tylko radzą, to robią, próbują, a dziecko zawsze, jakby nie-

żywe. Sine, odęte i zimne, leży zmartwiałe ciało chłopczy-
ny; każdy go sobie podaje, każdy go cuci, trząsa, naciera,
a dziecię zawsze nieżywe. Rodzice rwą włosy i łamią ręce,
świętych wzywają pomocy, lecz niebo głuchem się zdaje
i dziecię leży nieżywe. „Próżne te nasze mozoly; odbiegłej
duszy już nic nie wróci,” tak mówią cicho pleban i lekarz,
tak cicho mówi czeladka.

Słońce zachodzi, noc cała mija, dzień cały drugi spły-
wa okropny. Już w sercu ojca nadzieja kona, już mdleje
w duszy zbolałej matki. Widząc spełnione srogie nieszczę-
ście, troskliwy pleban z lekarzem ciągną rodziców do dru-
giej izby; cichaczem trumnę przynoszą.

Płacząc, sędziwa piastunka obleka dziecię w białą ko-
szulkę, zeschłe włosy gładko czesze, równianką z kwiatów
je stroi, kładzie w ostatnią ludzi łożnicę. „Tak cię ja kła-
dłam w kołyskę,” mówi do niego, zalana łzami; „tak ty
mnie w trumnę położyć miałeś!” W tej chwili wpada strwo-
żona matka. „Okrutna! cóż czynisz?” boleśnie woła: „alboż
to dziecię....?” — „Umarło,” pleban dokończy; „umarła two-
ja pociecha. Ten, co ją zesłał, przyzywał ją do Siebie. Ten,
co ją pożyczył, odebrać może. Podдай się woli Pana, nie-
wiasto! szanuj z pokorą wyroki Jego.” Klęka niewiasta,
obok niej ojciec; oboje ręce do nieba wznoszą; usta ich ra-
zem mówią te słowa: „Panie, możesz, oddal ten kielich, je-
dnakże niech się wola Twoja stanie!” Tak rzekli i, wzmo-
cnieni, wstają i mówią głośno: „Weźcie już dziecię!”

Cisnie się tłumem czeladka; do dwóch kościołów ple-
ban znać daje, sam się w żałobne szaty odziewa; biorą tru-
mienkę domowi, niosą na barkach odkrytą; wybladła matka
zwłok się dotyka; drżąc cały, ojciec żonę podpiera. Idzie
przez miasto orszak w milczeniu. Wybiegli z domu miesza-
kańcy; co krok to grono zwiększają; każdy w cichości
dziecięcia płacze, a więcej jego rodziców.

Nagle w obudwu kościołach huczny głos dzwonów po-
wietrze wstrząsa, a matka czuje zimnych zwłok drganie.

Krzyknęła, stają; lekarz przybiega, kładą na ziemi trumienkę, i znów lekkie czuć drganie. Porywa matka z trumienki dziecko, osłania je suknią, rękoma, chce z niem uciekać. Wstrzymuje lekarz jój obłąkanie, pomału iść rozkazuje, strwożonej rzeszy krzyzczyć zabrania, do swego domu matkę wprowadza, tam w ciepłe łoże dzieciątko kładzie, tam je sam jeden cuci, ratuje, tam słowa nadziei głosi, milczenie, cichość zaleca. Matka i ojciec dech swój wstrzymują.

Po krótkiej chwili, serce dzieciny mocniej uderza, po całym ciałku duch się rozchodzi, dziecko do życia powraca. Niknie zwolna siność z twarzy, krew przebijać się zaczyna; odmyka dziecko oczka zawarte i ku rodzicom je zwraca, blade usteczka na wół otwiera; chciało przemówić, uwięzły słowa, lecz się uśmiechnąć zdołało. „O! Boże! wszechmocny Boże!” wyrzekła cicho przejęta radością matka i łzy ulżyły jój ciężaru szczęścia.

Zaledwie trzy dni minęło, już na podwórku biegał jedynak; już na nowo był szczęściem rodziców.

Klem. z Tań. Hoffmanowa.

3. Urszulka Kochanowska.

Już to temu dawno, bardzo dawno, bo już 300 lat z górą, kiedy żyło dobre, a osobliwe dziecko, mała Urszulka Kochanowska. Rodzice jój mieszkali w ładnej wiosce Czarnolesiu, w Sandomińskiej ziemi. Byli to bardzo cnotliwi ludzie i mieli 6 pięknych i dobrych córek. Urszulka była najmłodsza; nie skończyła jeszcze trzech lat. Ojciec Urszulki, Jan Kochanowski, był poetą. Małeńka Urszulka umiała już mówić do więrsza i to tak sama z siebie. Było to dziecko śliczne, a dobre, jak aniołek; była rozkoszą całego domu, największą pieszczotą i pociechą ojca. Z wesołą, uśmiechającą się twarzyczką, biegało to dziecko po domu, śpiewając, wyciągając do ojca rączki, kiedy się zbliżył do niej. Pewnego razu Jan Kochanowski spodziewał się swego krewnego i przyjaciela. Długo mu było czekać w domu, więc

wyszedł na jego spotkanie. Zabiegła mu drogę Urszulka. „Chodźcie ze mną na łąkę, ojczy; narwę kwiatków dla naszego gościa.“ Ojciec ją zapytał: „Czy ty wiesz, moja szczeniotko, kto do nas przyjedzie?“ — „A! wiem,“ odpowiedziała Urszulka i zaśpiewała sama ze siebie:

Przyjedzie tu rycerz,
Ojcu, matce drogi,
A ja te kwiateczki
Rzucę mu pod nogi.

Uradowany Jan Kochanowski zawołał: „Chodź, słowiczku mój, powtórzyć matce wierszyki.“ — „O! już zapomniałam,“ rzeknie Urszulka, „ale,“ palcem wskazując na główkę, „tu są inne; powiem później.“

Jednego razu przyjechał do Czarnolesia hetman Zamojski. Po dłuższej rozmowie prosił on, by mu Kochanowski swoje dzieci pokazał. Matka namawiała, by Urszulka sama poszła przywitać hetmana jakim ładnym wierszykiem; opowiadała Urszulce różne rzeczy o nim, jaki on możny i bogaty, jakie ma śliczne pałace i zamki, a jaki jest dobry, jak dzieci kocha, ale sam nie ma ani jednego, choć pragnąłby bardzo, osobiwie syna. Urszulka jakby tego wszystkiego nie słuchała, tylko obiecała być grzeczną. Matka wzięła ją za rękę i przyprowadziła do Zamojskiego. Kiedy ten ją ujrzał, żałował, że mu tego aniołka prędzej Kochanowscy nie pokazali. Wziął Urszulkę na kolana i pieścił się z nią czule. Ona mu w oczy patrzyła, potem oglądała jego drogie suknie, dotykała się rączką pięknych pierścieni i klejnotów, jakie miał Zamojski, a gdy się jęj spytał, czy to piękne, odpowiedziała:

Pięknie, cudnie i bogato,
Jak u nikogo na świecie,
Ale gdyby'ć Bóg dał dziecię,
Dałbyś wszystko za to.

Hetman zdumiał. „Któż cię takich wierszyków nauczył?“ zapytał. „Nikt,“ odpowiedziało dziecię; „ja sama ze

siebie mówię wierszyki.“—„A to ja nie będę szukał innych dzieci,“ mówił hetman, „jeno sobie będę miał Urszulkę; daruję twemu ojcu te wszystkie śliczności, a ciebie wezmę do Krakowa.“ Ale ona rzekła:

Nie; jam dziewczyna;
Tobie trzeba syna.
Mnie weźmie ktoś inny:
Aniołek niewinny;
Ja poproszę Boskiej Matki
Dla ciebie o zdrowe dziatki.

Wieczorem goście się rozjechali; dzieci się położyły spać. Matka, okrywając Urszulkę, dostrzegła, że główka jój i rączki bardzo były rozpalone. Dobra dziewczeczka zachorowała nieboga. Matka niezmiernie się przestraszyła, całą noc nie spała i siedziała przy Urszulce, której gorączka coraz była większa. Co tylko było można, uczyniono, lecz nic nie pomagało. Urszulka coraz większą miała gorączkę, leżała bez przytomności. Obracając się do matki, całowała jój ręce i mówiła prawie wesoła:

Nie płacz, matko, proszę;
Ja idę do nieba
Na czyste rozkosze;
Mnie zazdrościć trzeba.
Twoja luba córka
Oblecze się w piórka,
Z aniołkami siedzie.
Matko, źleż ci będzie
Mić swego aniołka?

Potém zaczęła Urszulka płakać i przywołała siostry; żegnała się z niemi, zwłaszcza z najmłodszą Hanusią, żegnała się ze sługami, ze wszystkiém się żegnała. Matkę i ojca przyciągała do siebie, całując im ręce i mówiąc żalownie: „Już ja wam służyć nie będę; już nie zasiądę mego miejsca za stołem; muszę jechać w ciemną i nieznaną drogę; muszę pożegnać wasz dom na zawsze.“

Przez trzy dni ciągle choroba się wzmacniała. Czwartej nocy nad ranem Urszulka wyrzekła głośno: „Jezus, Maryja, Józef!“ i umilkła i skonała, a jej czysta duszyczka poszła do nieba, jak to sobie przepowiedziała.

Oj! smutno było w Czarnolesiu po śmierci Urszulki! Zapłakany ojciec chodził i powtarzał sobie żałośnie: „Już niema wdzięcznej*) dziewczeczki mojej; ujął ją sen żelazny, twardy; Urszulka spoczywa w głuchym grobie.“ Ten wielki swój smutek i żal po śmierci kochanej dziewczeczki wylewał w poezyi i pisał takie żałośnie więrsze, że aż się na płacz zbiera, kiedy się te smutne więrsze o Urszulce czyta.

Ewaryst Estkowski.

4. Piotr Skarga.

Piękny przykład wspaniałomyślnego przebaczenia doznanej krzywdy przedstawia nam Skarga, sławny kaznodzieja i pisarz XVI wieku**). Kiedy raz w Wilnie wymownemi usty gromił wszelkiego rodzaju nieprawości, wówczas rozpowszechnione, i przedstawiał złe skutki, jakie z nich wyniknąć miały, niejaki Ślepowroński, wzięwszy te nauki za osobistą dla siebie urazę, dopatrzył pory, gdy Skarga z pobożnej wracał posługi, i nie tylko zelżył go słowem, ale nawet ośmielił się znieważać policzkiem. Oburzenie w mieście było powszechne; wszyscy głośno żądali, aby, dla powściągnięcia na przyszłość podobnych bezprawii, śmiercią zuchwały postępek ukarać. Znalazł się wtenczas jeden tylko człowiek, broniący Ślepowrońskiego, a tym był sam Skarga, który dopóty nalegał i prosił, aż otrzymał dla niego przebaczenie winy. A gdy wzruszony Ślepowroński przyszedł mu dziękować, Skarga przyjął go najuprzejmiej i tylko po ojcowsku napomniiał, aby odtąd dobrymi czynami starał się naprawić swój nierozważny postępek.

1858 r.

*) Wyraz *wdzięczny* znaczyl dawniej *miły*. **) Uredził się w r. 1536 w Grójcu, umarł 1612 r. w Krakowie.

5. Ignacy Krasicki.

Ignacy Krasicki, urodzony ze starożytnego domu w Galicji r. 1734, obok łask fortuny i wszelkich darów przyrodzenia, najstaranniejsze odebrał wychowanie. Przeszedłszy niższe stopnie w stanie duchownym, wkrótce otrzymał biskupstwo Warmińskie i, przez cały ciąg piastowania téj dostojności, poświęcał się pracom uczonym. Na dziełach nigdy nie kładł swego nazwiska, ale całej powszechności znane były litery: X. B. W., czyli Xiąże Biskup Warmiński. W r. 1795 mianowany był arcybiskupem Gnieźnieńskim, a w roku 1801 umarł w Berlinie, gdzie znaczną część życia przepędził.

Kazimierz Brodziński.

6. Ignacy Krasicki w Skierniewicach.

Gdy Krasicki otrzymał arcy-biskupstwo Gnieźnieńskie, zamieszkał w Skierniewicach, mieście, które dawniej do arcy-biskupów Gnieźnieńskich należało. Wspaniały pałac miłego udzielał mu schronienia, a obszerny ogród, rozszerzony i upiększony za naszych czasów, stał się ulubioném miejscem jego przechadzek.

Gdy raz, podług zwyczaju, przechadzając się po ogrodzie wieczorem, wstąpił na małe wzgórze, z którego odległe mógł widzieć okolice, ujrzał małego chłopczyka, na pochyłości wzgórza siedzącego, który na jednej ręce wspierał głowę, a w drugiej trzymał książkę. Długie jasne włosy spadały mu w pierścieniach na ramiona i zakrywały twarz do połowy, tak, iż tylko widać było czarne oczki, które często wznosił do góry; niekiedy nawet wzdychał, a z całej jego postawy widać było, że jest w jakimś kłopotcie. Krasicki zbliżył się ku niemu niepostrzeżony, chcąc się dowiedzieć, coby to był za filozof, na którego przypadkiem natrafił, i zapytał go:

— Co tu robisz, chłopcze?

Na takie zapytanie, chłopiec powstał nagle, a zdumiony widokiem nieznanej mu osoby, nic nie odpowiedział i, po chwili zastanowienia, wpadł na domysł, że nieznanomy jest jednym z kanoników.

— Któż jesteś i czyim jesteś synem?— zapytał Krasicki.

A chłopczyk, kłaniając się nisko, odpowiedział nakoniec:

— Jestem synem mojego tatula, wielmożny kanoniku.

— Rozumiem,— rzekł Krasicki z uśmiechem, — lecz któż jest twoim ojcem?

— Mój ojciec jest tu ogrodnikiem i pozwolił mi przyjść się tutaj uczyć.

— Jeżeli tak, to dobrze,— rzekł łagodnie Krasicki.— I czegoś się uczysz?

— Czego? Ciężka nauka! wszakci to wokabuły, bo to jutro Środa, a dwa razy na tydzień czeka nas taka bieda. Jabym wolał czterech bajek uczyć się, niż dziesięciu wokabuł.

Rozśmiał się w duchu Krasicki, znalazłszy nowego prac swoich wielbiciela, chłopczyk zaś tak dalej mówił:

— Kto się zająknie trzy razy, ten dostanie ośle uszy.

— Ośle uszy!— przerwał Krasicki; — zgrozą byłoby zasłużyć na nie; wszakże, kiedy możesz nauczyć się bajek, łatwo spamiętasz kilkanaście wokabuł, a przytém, widzisz, mój chłopczyku, bajki to są tylko dla zabawki, a nauczywszy się wokabuł, będziesz potem umiał po łacinie i pójdziesz do wyższej klasy.

Na te słowa, chłopczyk, który dotąd stał z smutną miną, podniósł głowę; oczy zaiskrzyły mu się z radości; spojrzał na Krasickiego, jakby chciał z twarzy jego wyczytać, czy istotnie jest pewnym, że się tyle nauczyć można z łatwością, i chciał go utrzymać w pochlebném o sobie rozumieniu.

— A jużci, — rzecze,— nauczyć się ich nauczę, bo i cóż z tém robić?

Krasicki wdał się w dalszą rozmowę z tym chłopcem:

— Powiedźże mi jaką bajkę.

— A którą? — zapytał się chłopiec, — bo ich wiele umiem.

— Którą chcesz: o małej rybce i o szczupaku.

Powiedział ją chłopczyk, a Krasicki zapytał go:

— Jakże ci się wydaje ta bajka?

— Nie wiem, — rzekł chłopczyk, — ale, jeżeli dobrze jest być małą rybką, to zapewne lepiej być dorosłym człowiekiem, aniżeli małym chłopcem. I teraz nie musiałbym męczyć się nad temi wokabulami, a robiłbym, co mi się podoba.

— Nie wiesz, co gadasz, — odpowiedział Krasicki. — Alboż ty myślisz teraz o czém? czyliż się turbujesz, co będziesz jadł, pił, w czém chodził? Pokażno książkę, dopomogę ci w nauczaniu się twoich wokabul.

Usiadł przy nim Krasicki na ławce, przesłuchiwał go parę razy, zachęcił, zwrócił jego uwagę, a chłopiec sam się zadziwił, zobaczywszy, że tak prędko nauczył się zadania, nad którym się tak bardzo wprzód męczył.

— Widzisz, chłopcze, — rzekł Krasicki, — że nie brakowało ci pamięci, ale dobrej woli.

Chłopiec, uradowany, podziękował mu za pomoc i radby już był popisywać się w szkole, wystawiając sobie, jakie za to otrzyma pochwały. Krasicki, zaleciwszy mu pilność i uwagę przy nauce, kazał nazajutrz przyjść do pałacu.

Po skończeniu lekcyj, które mu się nadzwyczaj powiodły, nie omieszkał przyjść na oznaczone miejsce. Rodzice, uwiadomieni od niego o rozmowie, jaką miał z jednym z kanoników w ogrodzie, domyślili się kto był tym nieznanym, nic jednak o tém nie powiedzieli chłopcu; lecz jakież było jego zadziwienie, gdy tego, jak mniemał, kanonika, z którym dniem pierwój tak długo rozmawiał, ujrzał siedzącego na pierwszém miejscu, otoczonego licznym duchownych orszakiem. Pomieszany, nie zdołał słowa prze-

mówić. Uprzedził go sam Krasicki, oznajmując, iż go bierze pod swoją opiekę, byleby się szczerze do nauk przykładał. Uszczęśliwiony chłopczyk wszystko czynić przyobiecał; jakoż, w istocie, odpowiedział oczekiwaniu dobroczyńcy swego i zawsze błogosławił tę chwilę, która mu do chlubniejszych przeznaczeń otworzyła drogę.

Konstanty Gaszyński. 1829 r.

7. Fryderyk Wielki i Krasicki.

Fryderyk Wielki, król Pruski, lubił towarzystwo ludzi uczonych i dowcipnych. Gdy, bawiący u niego na dworze, sławny filozof i poeta Francuzki, Wolter, odjechał z powrotem do Francyi, Fryderyk zaprosił do Potsdamu Krasickiego, będącego naówczas biskupem Warmińskim.

Zdarzyło się raz, że Krasicki w świetnym płaszczu biskupim przyszedł do króla na wielką ucztę. Fryderyk, chcąc go, w obecności wielu gości, wprowadzić niespodzianie w ambaras, rzekł:

— Biskupie, jeżeli umrzemy razem, przyjmij mię pod swój płaszcz i wprowadź do nieba, bo ja mogę się tam dostać chyba tylko ukradkiem.

— Daruj, Najjaśniejszy Panie! nie mogę, — odrzekł na to Krasicki, — bo mi bardzo płaszcz mój okroić kazałeś.

Fryderyk zrozumiał że ów płaszcz obcięty był przy mówką do dochodów biskupa, zmniejszonych jeszcze przedtem z rozkazu króla. Roześmiał się więc z tak dowcipnej odpowiedzi Krasickiego i przywrócił mu dawne jego dochody.

1857 r.

8. Stanisław Staszic.

Stanisław Staszic urodził się w mieście Pile w r. 1775 i, ukończywszy szkoły, poświęcił się stanowi duchownemu. Niemordowaną pracą, oszczędnością, skąpstwem nawet dla siebie, zebrał ogromny majątek, ale, jak za życia używał go

na cele dobroczynne, tak przed śmiercią przeznaczył cały dla uszczęśliwienia tych, których los jego opiece powierzył. Możecie sobie wystawić, ile on zrobił dobrego, gdy wam wyliczę te tylko dobrodziejstwa, o jakich światu wiadomo. Tak: za życia wystawił dla Towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie gmach wspianiały, a w testamencie zapisał 200 tysięcy złotych na szpital Dzieciątka Jezus, drugie 200 tysięcy na założenie domu zarobkowego, 140 tysięcy na utrzymanie i pielęgnowanie chorych pod dozorem profesorów i uczniów uniwersytetu Warszawskiego, 60 tysięcy na utrzymanie czwartego profesora w szkole powiatowej w Hrubieszowie, 45 tysięcy na Instytut Głuchoniemych w Warszawie. Ale, co najważniejsza, dobra swoje Hrubieszów, w których mieszkało 4 tysiące włościan, tymże włościanom na wieczne czasy darował. Umarł dnia 21 Stycznia 1826 roku w Warszawie; pochowany na Bielanach.

Jan Papłoński. 1858 r

9. Stanisław Trembecki.

Stanisław Trembecki*), głośny poeta za czasów króla Stanisława Augusta, przez lat trzydzieści, na rok przed śmiercią, nie jadał mięsa i nie pijał wina. Z tego powodu żartobliwie przezwany został Pytagorasem**), co raz było przyczyną następującego zabawnego wypadku. Stanisław August, jadąc do Petersburga w Lutym 1797 roku, zatrzymał się w Wilnie, a chcąc widzieć Trembeckiego, zapytał się: „Gdzie jest nasz Pytagoras? Czy już tu przybył?” Usłudni urzędnicy policyjni, w mniemaniu, że to jest rzeczywiste nazwisko jakiegoś dworzanina, należącego do orszaku króla, rozbiegli się natychmiast po mieście, ażeby go wyszukać, ale go nigdzie znaleźć nie mogli. Dopiero potem dowiedzieli

*) Żył od roku 1722 do 1812. **) Pytagoras—sławny filozof i matematyk Grecki, urodzony około 584 roku przed Chrystusem.

się, o kogo król zapytywał i kogo tak nazywał, dla tego, że Trembecki, podobnie jak Pytagoras, mięsa nie jadał.

1864 r.

10. Kazimierz Brodziński.

Brodziński był wzrostu średniego, szczupły, niewydątny, światły blondyn, oczu jasno-niebieskich, twarzy ściągłej, bladój, na której ani zdrowia, ani szczęścia, pomimo jakiegś rzewnej i tkliwiej łagodności, dostrzedz nie można było. Uśmiech miał dziwnie przyjemny, mało mówił, rzadko wpadał w zapał, od wszelkich dysput się usuwał, hucznych i świetnych towarzystw unikał, nowych znajomości zabierać nie lubił. Nauki, mianowicie odpowiednie swemu zawodowi, posiadał w wysokim stopniu; znał język Łaciński, Włoski, Niemiecki i Francuzki, nie licząc własnego, nad którego gruntowném poznaniem całe życie pracował. Celniejsze też dyalekty Słowiańskie mniej więcej były mu znajome. Zawsze cichy i skromny, przechował do zgonu jednostajną duszę pogodę, bo téżto był prawdziwie bogobojny i głęboko religijny człowiek. Jeżeli miał jaką słabość, to chyba tę, iż zbyt łatwo, ufny i dobrowolny, często dobroci swojej nadużywać pozwalał. Obyczajów był czystych: żadna namiętność, prócz chyba zbytńego, z ujmą zdrowia, zamiłowania do nauk, nie zmąciła jego prostego, zawsze umiarkowanego życia. Mając wieku lat 34, zawarł w roku 1825 związek małżeński, z którego zostawił córkę Karolinę. Od dawnego czasu, a zwłaszcza na kilka lat przed śmiercią, pomimo szczęśliwego z żoną pożycia, pomimo szacunku ziomków, tajemny, coraz większy udręczał go smutek, co może w nim przyspieszyło rozwinięcie się choroby piersiowej. Dnia 10 Października 1835 roku zakończył dni, pełne zasług i pocziwie nabytój sławy.

Dominik Chodźko. 1844 r.

11. Jan Paweł Woronicz.

Niedaleko Warszawy jest wioska, zwana Powsin, należąca do obszernych dóbr Wilanowskich. Ma ona ze 20 chat wiejskich, folwark dworski i kościół parafijalny. Za czasów, gdy w Warszawie rządili Prusacy, proboszczem w Powsinie był ksiądz Paweł Woronicz. Był to człowiek uczony, zacny, pobożny, a nadto jeszcze znakomity poeta. Nie lubił zabaw, ani głośnych towarzystw, ale za to najgorliwiej zajmował się swojemi parafijanami, a mianowicie włościanami. Chodził od chaty do chaty, zachęcał do pracy, do rzadności i ładu, urządził szkołkę w plebanii dla dzieci wiejskich, nauczanie w której porучzył organiście. Sam prawie codzień przychodził do szkółki, doglądał nauki, a pilnym dziatkom przynosił za nagrodę obrazki świętych i drukowane nabożne piosenki, albo moralne bajeczki. Wszyscy go też kochali i szanowali, jak ojca.

Folwarkiem Powsińskim zarządzał wtedy Ignacy Łanowski, dawny żołnierz. Ożenił się, mając lat 46, i żył z żoną bogobojnie i przykładowie. Był to człowiek nieposzlakowanej uczciwości, z prostym, zdrowym rozsądkiem. Znał się na hodowaniu i szczepieniu drzew i na pszczołach, a to właśnie zrządziło, że go bardzo polubił ksiądz Woronicz, któremu dopomagał do założenia na probostwie ogrodu i pasieki. Zacny kapłan często przychodził do mieszkania Łanowskich; szczególnie polubił Stacha, starszego z dwojga ich dzieci. Chłopak skończył już rok dziesiąty, codzień przybiegał na probostwo, a nasz wielki kaznodzieja, poeta i uczony, chętnie i z przyjemnością, przez godzinę, a czasem i dłużej, uczył go czytania i rachunków. Ksiądz Woronicz darował Stasiowi piękną książeczkę z obrazkami kolorowanemi, którą właśnie wtedy wydrukowano. Były w niej ciekawe powieści i opisy. Staś pragnął jak najprędzej przeczytać ją, a potem opowiedzieć swojej młodszej siostrze, Maryni.

Łanowscy zajmowali w dworku dwie izby po jedną stronie i alkierzyk. Na drugiej stronie była izba czeladna,

a za nią komora, do której jedyne wejście było przez alkiérz, bo drugie drzwi, wychodzące na ogród, oddawna zarzeglowano i zabito gwoździami. W pierwszej izbie, którą zajmował sam Łanowski, był stół do pisania, szafa z papierami, łózko, kilka krzeseł, zwierciadło i stolik. W drugiej izbie, mniejszej, sypiała pani Łanowska z Marynią, a w alkiérzu stało łózko Stacha.

Dawnym obyczajem, wszyscy w domu Łanowskich szli spać bardzo wcześnie, a wstawali o świcie. Było to w kilka dni po świętym Wojciechu, kiedy Stach dostał ową książeczkę w podarunku od księdza Woronicza. Zaciekawiony, dopuścił się piérwszy raz w życiu swojém winy nieposłuszeństwa. Wiedząc, że mu rodzice nie dadzą świecy do czytania, porwał nieznacznie lichtarz ze świecą, próchno, krzesień, krzesiwko i siarniczkę, bo wtedy nie robiono jeszcze zapalek chemicznych, a posiedziawszy przez chwilę w ciemności, gdy już miarkował, że matka zasnęła, skrzesał ogień, zapalił świecę i, postawiwszy ją na łózku przy sobie, czytać zaczął. Ale go sen owładnął, oczy mu się skléiły, książka wypadła mu z ręki i sam nie wiedział, kiedy zasnął, nie zagasiwszy świecy, która przy nim stała zapalona na łózku. Ma się rozumieć, że, za piérwszem poruszeniem się biédnego chłopca, przewrócił się lichtarz i zajęła się kołdra wełniana, którą był Stach okryty. Wełna nie pali się tak prędko, jak płótno, a przytém była w tém wola i łaska Boża, że ogień posunął się ku nogom, przepalił kołdrę i śpiącego sparzył. Bólem obudzony Stach zerwał się, a widząc ogień w około siebie, z krzykiem wyskoczył z łózka, wpadł do komory i drzwi zatrzasnęły się za nim.

Ludzie wiejscy, po całodziennéj pracy na świeżem powietrzu, śpią mocno, więc téż i pani Łanowska, napracowawszy się w ogrodzie przy sadzeniu warzywa, nie usłyszała krzyku Stacha i dopiero wtedy zbudziła się, kiedy płomień i dym buchał do izby. Porwała Marynię, wybie-

gła do męża, zbudziła go i oboje uciekli na dwór, wołając ratunku.

Za chwilę cały dom był w ogniu. Przybiegło kilku ludzi na pomoc, ale cóż mogli poradzić? Najtrudniiej przychodzi zerwać się ludziom z pierwszego snu przed północą; dla tego téż nie wielu włościan zebrało się w pierwszej chwili.

— Gdzie jest Stach? gdzie mój syn?—zawołała matka, postrzegając, że go niéma i tylko Marynia, drżąca od zimna i strachu, tuli się do niej.

Wszyscy struchleli i spojrzeli w około: Stacha nie było.

— Ach! on został w płomieniach, o! Boże!—zawołała nieszczęśliwa matka i padła bez zmysłów.

W téj chwili uderzono w dzwon kościelny i ksiądz Woronicz nadbiegł ze swoją czeladzią; dwóch z nich miało bosaki, a dwóch siekiery.

Znać, było takie rozrządzenie Boże, iż czcigodny kapłan siedział w swoim gabinecie i wśród ciszy i samotności pracował nad pieśniami, któremi wiecznotrwałą sławę zyskał w narodzie, kiedy nagle uderzyło go nadzwyczajne światło, bijące od zabudowań dworskich. Poznał, że to pożar, zarzucił na siebie sutannę, zbudził służących i pośpieszył z pomocą.

— Ratujcie! ratujcie! kto w Boga wierzy!—wołał Łanowski. — Mój Stasio został w palącym się domu! — Lecz wszyscy tak byli zmieszani i przerażeni, iż nikt nie wiedział, co robić, a płomień tymczasem ogarnął dach cały.

Na szczęście noc była spokojna zupełnie; płomień wzniosł się w górę, lecz ani żagwie, ani iskry nie leciały na sąsiednie budowle.

W téj chwili nadbiegł proboszcz, a widząc przerażenie i bezprzytomność wszystkich, krzyknął:

— Bracia! ukłękniemy, odmówmy modlitwę Pańską!—i natychmiast szybkim, ale wyraźnym głosem odmówił Ojciec-nasz, przykląkwszy razem ze wszystkimi. Ta chwila

zastanowienia się i zebrania myśli przywróciła porządek i wszyscy wzięli się do ratunku.

— Gdzie Stas?—zawołał ksiądz Woronicz.

— Płomień zagarnął go w alkanie i może już nie żyje,—rzekł Łanowski, załamując ręce z rozpaczą.

Natychmiast proboszcz z trzema swojemi ludźmi popieszył na drugą stronę domu, a przyszedłszy do zabitych drzwi od komory, usłyszał jakiś słaby pisk, odzywający się wewnątrz.

— On jeszcze żyje! on tam! słuchajcie! ratujmy go!—krzyknął. Ale dom cały już stał w ogniu. Dach mógł zarwać się co chwila i palącemi się krokwiemi przywalić ratujących. Najśmielsi wahali się. Wtedy szanowny kapłan, uczyniwszy znak krzyża świętego i zawoławszy: „Boże! pod Twoją obronę!” porwał siekiere z ręki parobka, nieustraszony podstąpił pod ścianę i zaczął odrąbywać drzwi zaparte. Wierny i przywiązany jego sługa, zagrzany przykładem pana, rąbał z nim razem. Po kilku silnych uderzeniach, drzwi pękły i upadły na ziemię; ksiądz Woronicz wbiegł do komory, napełnionej dymem, i wraz ze sługą schwycili omdlałego Stacha i wynieśli go na dwór. Tylko co dokonał tego czynu, dach załamał się z łoskotem i cały dom zamienił się w jeden stos ognisty.

— Wody zimnej! — zawołał na obecnych, a gdy ją niezwłocznie przynieśli, oblał nią twarz i piersi omdlałego chłopca, kazał go zanieść do najbliższego domostwa, a tam rozciąrać i cucić.

Matka, odzyskawszy przytomność, pobiegła za synem. Łanowski, pamiętając na obowiązki swoje, został przy ogniu i czuwał, żeby pożar nie ogarnął zabudowań dworskich.

Więcej, niż przez godzinę, daremne czynili usiłowania; już myśleli, że biedne dziecko udusiło się dymem i żarem, lecz nareszcie Bóg ulitował się nad biedną matką i wynagrodził męztwo i poświęcenie zacnego kapłana. Stach dał znak życia i wkrótce przyszedł do zmysłów.

I w rzeczy samój, szczególném tylko zrządzeniem Boskiem, chłopiec ten uniknął niechybnój śmierci.

W komorze stała wysoka skrzynia, napełniona mąką i kaszą, a dla ochrony od wilgoci, była trochę odsunięta od ściany zewnętrznej. Stach wcisnął się między tę skrzynię a ścianę, gdzie były owe drzwi zabite, i tym sposobem mniej ucierpiał od dymu, który wydobywał się okienkiem, zrobioném w górze, i od żaru. Po wyrąbaniu drzwi, zaraz go spostrzegł jego zbawca i omdlałego wyciągnął na świeże powietrze.

Chłopak chorował przez kilka dni; lekarz, sprowadzony z Warszawy, zapobiegł grożącemu zapaleniu płuc i mózgu, a w dwa tygodnie już ani śladu choroby na nim nie było.

— Widzisz chłopcze,—rzekł wtedy do niego ksiądz Woronicz,—jakie to skutki nieposłuszeństwo rodzicom i rządzenie się waszą wolą dziecinną prowadzi za sobą. Kazali ci pójść spać, a ty, tak mały i jeszcze nierozumny chłopiec, porwałeś ukradkiem świecę, a nie umiejąc obchodzić się z ogniem, zapaliłeś dom, nabawiłeś ciężkiej straty ojca i matkę i sam o mało nie spłonąłeś żywcem. Naucz się własną szkodą, że starszych trzeba słuchać, bo ich rozkazy idą zawsze na wasz pożytek i dobro.

Państwo Potoccy, dziedzice Wilanowa, uwiadomieni o tym wypadku, przyjechali nazajutrz odwiedzić swego czcigodnego proboszcza, który, ze wzruszenia i przeziębienia w owój nocy, był trochę słaby. Zawołali Łanowskiego, uspokoili go, oświadczając, że nie obwiniają go o zdarzoną szkodę, i dali mu sześćset złotych na sprawienie najpotrzebniejszych sprzętów i bielizny; nic bowiem nie wyratował z ognia i został w tém tylko, co na siebie w pośpiechu zdołał zarzucić.

Taka jest natura nasza, że, im więcej dobrego świadczymy komu, tém więcej przywiązujemy się do niego. Ksiądz Woronicz jeszcze bardziej polubił Stasia od chwili, gdy

go ocalił z narażeniem swojego życia. Chłopiec uczył się coraz chętniej i gorliwiej; wziął go więc jego zacny dobroczyńca zupełnie pod swoją opiekę, oddał go do szkół publicznych w Warszawie i umieścił na stancyi u ludzi porządných, którzy nad jego sprawowaniem się baczny mieli dozór.

Frań. Salezy Dmóchowski. 1863 r.

12. Ludwik Dmuszewski

Przed siedemnastu, czy osiemnastu laty, Ludwik Dmuszewski siedział w swoim gabinecie, porządkując materyjały do Kuryjera Warszawskiego, gdy wszedł dyspozytor drukarni z oznajmieniem, że jakiś młody rzemieślnik chce się z samym panem redaktorem widzieć. Pan Ludwik kazał go przywołać.

Przybyły mógł mieć lat około dwudziestu; ubrany był w granatowy szpencer, dobrze już podszarżany, twarz miał ogorzałą od dymu, a ręce czarne, zapracowane.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków. A co mi powiesz, mój chłopcze?— zapytał łagodnie pan Ludwik.

— Z przeproszeniem, czy to jegomość sam majster od Kuryjera?

Uśmiechnął się poważny czcigodny wydawca i odrzekł:

— Tak, moje dziecko, ja nim jestem; a na cóż ci ten majster od Kuryjera potrzebny?

— Ej, bo widzi jegomość, ja siła o nim słyszałem, że on człowiek miłosierny i nad biédnemi ma zlitowanie.

— Nie zawsze, — odrzekł wesoło pan Ludwik i dodał: — Ale o cóż to chodzi?

— Nie o mało, bo ja przyszedłem prosić jegomości, żeby mi pożyczył sto złotych.

— Sto złotych, a to na co?

— Ej, wieleby o tém gadać, a jegomość by nie uwierzył i jeszczeby się naśmiał. Ot, ja jegomości powiem, że,

dalibóg, jak Matkę Boską Częstochowską kocham, tak za sześć lat oddam jegomości pieniądze co do grosika i jeszcze do nóg upadnę za łaskę.

— Cóż ty za jeden?

— Chłopiec kowalski, proszę jegomości. Jestem u kowala Jankowskiego na Chłodnej ulicy; może się jegomość o mnie dowiedzieć.

— Przyjdźże jutro; ja wprzód każę się o ciebie zapytać.

— Jutro! to już ja dziękuję jegomości za łaskę; do jutra inaczej sobie poradzę.

— Jak naprzykład?

— Ej, co tam gadać! dość, że poradzę; trudno ręce opuścić, kiedy potrzeba.

Pan Dmuszewski popatrzył uważnie w ogorzałą twarz chłopca. Co tam dojrzał, nie wiemy; dość, że odsunął szufladkę biurka i wyliczył na stole piętnaście rubli srebrnych. Chłopcu z radości łzy się zakręciły w oczach, zagarnął pieniądze do kaléty, ujął za kolana dobroczyńcę — i znów po małej chwili pan Ludwik porządkował dalej materyjały do Kuryjera.

Czy zasięgał wiadomości o swoim dłużniku u kowala Jankowskiego, mieszkającego na Chłodnej ulicy w domu, który teraz zowią: „Pod zégarem,“ nie wiemy; dość, że lata mijały, jak zwykle, a pan Dmuszewski ani razu nie wspomniał o chłopcu od kowala.

W sześć lat nasz redaktor zajmował się znów w swoim gabinecie taką samą czynnością, gdy już bez meldowania wszedł jakiś jegomość w długim, czarnym, porządnym surducie, w cienkiej bieliźnie, i, nie czekając zapytania, ujął go za kolana.

— A co mi pan powie? — rzekł, usuwając się w głąb fotelu.

— Cóż to? jegomość nie poznał swego dłużnika, chłopaka od kowala Jankowskiego?

— A! to ty! — rzekł pan Ludwik z twarzą uradowaną, pewnie nie dlatego, że odzyska swoje sto złotych, ale że spotkał taką uczciwość w człowieku prostym, nieoświeconym.

Gdy dłużnik odliczył znów na tym samym stole piętnaście nowych srebrnych rubli, pan Dmuszewski zapytał:

— Powiedźże mi teraz, mój kochany, na co ci te pieniądze wtenczas tak pilno były potrzebne?

— Widzi bo jegomość, że ja wtenczas byłem bardzo biedny, sierota bez ojca i matki, a nawet i krewnych, ot na łasce kowala, u którego za kawałek chleba i starą odzież terminowałem. W tym samym domu była w służbie u jednej wdowy dziewczyna, także sierota po żołnierzu. Ja ją lubiłem, bo była uczciwa i ślicznie wyśpięwywała wiejskie piosenki. Trafiło się nieszczęście, że téj pani, u której służyła, zginęły cztery srebrne łyżki i dalej w posadzenie na nią. Nieboga płakała serdecznemi łzami, wywoływała z grobu ojca i matkę, ale nic nie pomogło. Zawzięta pani powiedziała, że, jeżeli nie zapłaci jój zaraz sto złotych, to odda ją na ratusz. Myślałem, że biedna zemrze z żalości; nie spała, nie jadła, tylko przemyśliwała nad swoją dolą. Żal mi się jój zrobiło, a nie miałem sam ani szeląga przy duszy. Ej, trzeba ją ratować, pomyślałem sobie i poszedłem do jegomości, bo wiedziałem, że jegomość ma nad biédnemi zlitowanie.

— I jakże ci się wywdzięczyła za ten ratunek?

— Czekala na mnie, dopóki nie wygrzebałem się na ludzi. Termin za pięć lat się skończył, zostałem piérwszym czeladnikiem i niedawno się z nią ożeniłem.

Pan Ludwik schował pieniądze do téj saméj szufladki, z której przed sześcioma laty wyszły, i coś sobie zanotował na karteczce. Nie wyszło i pół roku, a ów czeladnik kowalski założył sobie warsztat na swoją rękę przy ulicy Orlej; roboty miał poddostatkiem, że czasem nie mógł wydażyć. Ludzie mówili, że w tém wszystkiém dopomagał mu

bardzo ów pan majster od Kuryjera. Może mówili prawdę, bo pan Ludwik lubił takie ciche sprawki płać, ale dowodnie nikt się o tém nie przekonał.

Około roku 1847, kował, uzbierawszy sporo grosza, zateśknął do stron rodzinnych i przeniósł się do niewielkiego miasteczka w Podlaskiem. Jak mu tam idzie, nie wiemy, dość, że był swój winien jednemu szlachetnemu uczynkowi.

Gr. K. 1854 r.

13. Śmierć Addisona.

(Addison, jeden z najlepszych pisarzy Angielskich*), był przytém człowiekiem bardzo cnotliwym i pobożnym. Kiedy po życiu, pełném pracy i sławy, czuł, że już nadchodzi jego ostatnia godzina, a przejęty nadzieją, oczekiwał spokojnie téj chwili, kazał do siebie przywołać młodzieńca, którego losem się zajmował. Ten młodzieniec nie bardzo dobrze sobie postępował: był leniwy, zuchwały, płochy, a nic nie obiecywało, ażeby w dalszém życiu miał być cnotliwym i użytecznym człowiekiem. „Zbliź się do mnie,” powiedział mu słabym głosem Addison; „siądź i patrz, z jaką spokojnością umiera człowiek, który starał się żyć dobrze.“ Młodzieniec usłuchał, nie opuścił opiekuna do ostatniej chwili, a piękna śmierć tego męża takie uczyniła na nim wrażenie, że odtąd zupełnie inne życie wieść zaczął.

Stanisław Jachowicz.

14. Łagodność Newtona.

Newton**) był wielkim flegmatykiem; zalecała go szczególnie łagodność charakteru, nie zmacona żadną namiętnością. Miał on psa, którego nazywał Fryponem. Pewnego dnia wyszedł, zostawiwszy psa samego w gabinecie, a za powrotem spostrzegł dopalające się papiéry. Pies bowiem, zamknięty, obalił stoliczek, a dzieło matematyczne,

*) Józef Addison urodził się r. 1672, umarł r. 1719. **) Izaak Newton (wymawia się Niutten), sławny matematyk, urodził się w r. 1642, umarł w r. 1727.

nad którego napisaniem Newton znaczny przeciąg czasu strawił, wydał na pastwę płomieni. Strata była nie wynagrodzona, albowiem Newton był już wtedy zgrzybiałym starcem. Z tém wszystkiém nie pokazał po sobie najmniejszego znaku gniewu, rzekł tylko: „Oj! Fryponie, ani wiesz, jakąś mi szkodę wyrządził.“

15. Otwartość Malerba.

Francuzki poeta Malherbes*) wracał raz wieczorem do domu z latarką. Wtém spotkał jednego z ówczesnych dowcipnisiów, który go zatrzymał i zaczął mu opowiadać rzeczy małej wagi. Przez jakiś czas słuchał go znudzony Malherbes z grzecznością, lecz w końcu, nie mogąc dłużej wytrzymać, rzekł do niego z gniewem: „Żegnam pana; to, co mi powiedziałeś, nie warto szeląga, a ja niepotrzebnie wypaliłem świeczkę za 5 groszy.“

IV. HISTORYJA.

A. OBRAZKI, OPOWIADANIA I ANEKDOTY HISTORYCZNE.

1. Solon i Krezus.

— Gdy Solon**) przybył do Sardes, miasta stołecznego Lidyi***), Krezus, król tamtejszy, monarcha bogactwy i mienity, przyjął go z wielką czcią i, ażeby mu dać poznać wspaniałość i dostatki, któremi wszystkich innych przewyższał, kazał mu pokazać skarby, w osobnych gmachach zło-

*) Wymawia się Malerb, żył od r. 1555—1628. **) Solon—mędrzec i prawodawca Grecki, żył około roku 594 przed Chrystusem. ***) Lidya był kraj w Małej-Azyi, dzisiejszej Turcyi Azyjatyckiej.

żone. Gdy już Solon wszystkie obejrzał, zapytał go Krezus, czy zna kogo, któryby szczęśliwszym był od niego.

— Znałem,—rzekł Solon,—i tym był niejaki obywatel w Atenach, zwany Tellus: cnotliwe on życie wiódł, podobne sobie dzieci zostawił, potrzeby żadnej nie znał, życie na koniec za kraj położył.

— A po nim,—rzekł zdziwiony Krezus,—kogobyś najszczęśliwszym osądził?

— Znałem,—rzekł Solon,—dwóch braci; nazwiska ich były Kleobis i Biton. Ci dla wszystkich byli przykładem braterskiej zobopólnej miłości, matkę zaś własną tak kochali, iż, gdy raz miała czynić ofiarę na cześć Junony*), a koni na pogotowiu do powozu nie było, sami się wprzęgli i zaciągnęli ją do miejsca ofiary, a gdy ta prosiła o nagrodę tak rzadkiej cnoty, obadwaj przeszli z tego życia do innego po nagrodę.

Rozgniewany takimi odpowiedziami Krezus, przyzwyczajony do pochlebstwa, rzekł z zapalczywością:

— A mnie to nie masz za szczęśliwego?

— Królu Lidyi,—rzekł na to Solon,—ten tylko zdaje mi się być szczęśliwym, któremu los do zgonu życia dobre powodzenie zdarzył; ten zaś, co żyje, płynie w słabej łódce wśród skał na morzu burzliwém, zawsze trwożny, czy lądu dojdzie. —

Słowa te przeraziły Krezusa i zasmuciły, ale się w dumie swojej jednakowo nie poprawił.

Nastała wkrótce potem wyprawa Cyrusa**) przeciw tamtęjszym narodom. Krezus zwyciężony w niewolę się dostał, a gdy, po wzięciu stolicy, miał być na stosie spalony, przypomniał sobie ową rozmowę i zawołał wielkim głosem: „O! Solonie, Solonie, Solonie!“ Słyszac to Cyrus, kazał go spytać, co by to było za bóstwo ten Solon, którego on pomocy wzywał.

*) Junona—najwyższa bogini starożytnych Greków i Rzymian. **) Cyrus, król Perski, panował od 560 do 529 r. przed Chrystusem.

— Człowiek to był i mędrzec Grecki,—odpowiedział pytającemu Krezus; — widział moje skarby, świadkiem był mojej mocy i wspaniałości, nie wielbił mię jednak, ani nad innych ludzi wynosił, ale kazał mi się oglądać na koniec życia, w którym, widzę teraz, jak czcze i nie trwałe było to wszystko, na czém swoją szczęśliwość zasadzałem.

Zastanowił się nad taką odpowiedzią Cyrus, a czując prawdę zdania Solonowego, więźnia natychmiast życiem i wolnością udarował i do śmierci potem przy sobie z wszelką czcią utrzymywał.

Stało się więc, że Solon jednym słowem zachował Krezusa przy życiu, Cyrusa przy cnocie. —

Ignacy Krasicki.

2. D y j o g e n e s.

(Dyjogenes*) urodził się w mieście Synopie w Paflagonii**). Oskarżony, jakoby z ojcem monetę fałszował, musiał uciekać z kraju i przybył do Aten. Tam, nie mając od nikogo pomocy, żył bardzo biednie. Spostrzegł raz myszkę, igrającą swobodnie bez kłopotu, gdzie nocleg i strawę znajdzie; za ję przykładem pójść umyślił i postanowił zmniejszyć, ile możności, swoje potrzeby. Podszyl więc płaszcz aby mu za posłanie i nakrycie mógł służyć; kij, torbę i czarę, jedynymi swemi sprzętami uczynił i cały ten dobytek zawsze nosił. Chodził boso, bez sandałów, nawet w czasie, gdy śnieg okrywał ziemię. Prosił raz jednego ze znajomych, ażeby mu pozwolił małego kącika w swém mieszkaniu; gdy ten zwłóczył z odpowiedzią, wziął beczkę, toczył ją przed sobą i już odtąd służyła mu za mieszkanie. W największe upały tarzał się w gorącym piasku; w zimie obejmował posągi, śniegiem okryte, ażeby się przyzwyczaić do zimna

*) Żył za czasów Aleksandra Wielkiego. **) Paflagonija był to kraj w Małej-Azyi wzdłuż brzegu morza Czarnego.

i gorąca. Gdy raz, przechadzając się, obaczył dziecię, pijące wodę z dłoni, „Co!“ zawołał zawstydzony, „dziecię ma lepiej wiedzieć ode mnie, bez czego obejść się można?“ i, wyciągnąwszy czarę z torby, rzucił ją o ziemię, jako sprzęt niepotrzebny.

Jednego dnia mówił w przedmiocie bardzo poważnym; każdy go mijał, a nikt nie słuchał. Zaczął więc śpiewać, a natychmiast mnóstwo ludzi się zbiegło. Strofował ich mocno za tę pogardę rzeczy ważnych, a zamiłowanie — próżnych.)

(Ganił muzykantom, że nastrajali muzyczne narzędzia, nie myśląc o przyzwoitem nastrojeniu własnych umysłów. Strofował matematyków, że patrzą na słońce, księżyc i gwiazdy, a nie widzą tego, co na ziemi się dzieje. Gniéwał się na mówców, że więcej myślą o tém, jak dobrze mówić, aniżeli —, jak dobrze czynić. Nareszcie mawiał, że we wszystkich względach każdy chce być pierwszym, tylko na drodze cnoty nikt o ten zaszczyt się nie dobija.

Jeden człowiek niegodziwy na drzwiach domu swego napisać kazał: „Niech nic złego tędy nie wejdzie.“ — A kórędy pan wchodzi? — zapytał się Dyjogenes.

Platon określił człowieka temi słowy: „jest to zwierzę o dwóch nogach, bez piór.“ Dyjogenes oskubał koguta, skrył go pod płaszcz i poszedł do akademii, gdzie Platon nauczał. Tam, stanąwszy w pośrodku szkoły, zawołał, rzucając koguta na ziemię: „Oto człowiek Platona.“

Zobaczywszy człowieka złej sławy, myjącego się w wodzie, rzekł: „Nic ci to nie pomoże, dopóki się z występków nie oczyścisz.“

Gdy raz przechodził marnotrawca, Dyjogenes prosił go o sztukę złota. „Dla czego,“ zawołał tamten, „od drugich obola tylko żądasz, a ode mnie tyle?“ „Bo tamci mi nie raz jeszcze dadzą, ale ty podobno już nigdy.“

3. Bolesław Krzywousty.

Piękny przykład miłości ku rodzicom zostawił nam król Bolesław III, zwany Krzywoustym*). Przez pięć lat po śmierci ojca swego, Władysława Hermana, w żałobie chodził, wizerunek jego zawsze na piersiach nosił, a gdy na niego spojrzał, zwykle mawiał: „O! niech mię Bóg zachowa, ażeby co niegodnego błogosławionej pamięci ojca popełnił.“

1837 r.

Bolesław ojca swego bardzo kochał, a nawet po śmierci wolę jego szanował. Zawsze nosił na piersiach swoich złoty medalion, na którym był z jednej strony wizerunek ojca, a na drugiej stronie przestrogi ojcowskie następujące:

„Mowa twoja wprzód, nim z ust wyjdzie, patrz, aby była przyzwoitą i uczciwą; ojciec bowiem ją słyszy.

„Uczynki twoje niechaj mają woń sprawiedliwości i prawdy, bo ojciec je widzi.

„Niech wszystkie drogi królewskie sprawiedliwością się rządzą.

„Cokolwiek myślisz, lub czynisz, bądź mądrym, szanując obecnego Boga i rodzica.“

Król ten umarł w Płocku, ówczesnej stolicy Mazowsza; prochy jego spoczywają w tamtejszej katedrze, obok prochów ojca jego, Władysława Hermana.

Ewaryst Estkowski. 1853 r.

*) Panował od r. 1102 do 1139.

4. Trzebnica.

Henryk, zwany Brodatym*), książę na Wrocławiu i Lignicy, wystawiwszy z natchnienia żony swój, świętej Jadwigi, klasztor w Szlązku i uposażywszy go bogato, sprowadził doń zakonnice z Bamberga, a kiedy, oddając klasztor, zaopatrzony we wszystko, ksieni Petrucyi, zapytał, czyliby jeszcze czego nie brakowało, ta odpowiedziała z niemiecka: „Trzeba nic.“ Przytomni temu dworzanie śmiać się poczęli, książę zaś, który się biędzy z wyszukaniem nazwy dla téj nowój osady, pochwycił słowa ksieni i nadał klasztorowi nazwę Trzebanic. Ta, później w wymawianiu na Trzebnic zmieniona, dostała się i miasteczku, w którém klasztor się mieści.

1857 r.

5. Święta Kunegunda.

Żyła w Węgrzech święta dziewica, córka króla Beli; zwała się Kunegunda. Prosta była w swych obyczajach i nie poznałbyś jój, że była królowną, tylko po tém, że czyniła ludziom więcej dobrego, niżby kto inny mógł uczynić. Kochał ją ojciec wielce, więc u niego upraszała wszystko, czémby mogła poddanym jego przyjść w pomoc.

Najmilszém było jój zatrudnieniem zaglądać do chat nędzarzy, odwiedzać chorych, pielegnować ich w nieszczęściu, pocieszać w strapieniu, a szczególniej serca ich podno-

*) Henryk Brodaty umarł w r. 1238.

sić modlitwą do Boga. Więc błogosławili ją ludzie; sława jęj cnót rozeszła się daleko: w kraju, po za krajem, mówiono o świętęj dziewicy na Węgrzech. Posłyszał o nięj Bolesław*), książę Polski, posłyszeli biskupi i pomyśleli, jakby to dobrze było, gdyby taka niewiasta była naszą królową. A że Bolesław był młody i nieżonaty, więc poprosił króla Belę o rękę jęj córki.

Kunegunda, która wiedziała, że w każdém miejscu jest pole czynienia dobrze, bo w każdém miejscu płyną głośno, albo cicho, łzy, bez wahania przystała**). Dzień przyjazdu jęj do Polski był dla wszystkich dniem radości. Żywot jęj stał się dla narodu pociechą, dla męża osłodą, dla historii i kościoła zaszczytem. Potrzebna zaś była jęj pomoc, bo ciężkie dni przyszły na kraj i wiele łez było do osuszenia, a kiedy męża swego przeżyła i w klasztorze święty zakonczyła żywot, policzono ją w poczet błogosławionych.

Bronisława Kamińska. 1851 r.

6. Chrześniak królewski.

Słońce już zaszło; ludzie z pola powracali i ku spoczynkowi się mieli; gwar we wsi ustawał, gdy jakiś podróżny, obdarty, nędzny i bardzo znużony szedł przez wieś. Że było późno, chodził od chaty do chaty, stukał od okna do okna, ode drzwi do drzwi, prosząc o przytułek na noc, ale gdzie tylko zapukał, a gospodarz wyjrzał oknem i zobaczył biédaka w obdartęj odzieży, odpowiadał mu: „Niema u nas miejsca, przyjacielu; niech was Pan Bóg gdzieindziej prowadzi.“

*) Bolesław V, zwany Wstydlwym, który panował od roku 1227 do 1279.

**) Malżeństwo to przyszło do skutku w roku 1239.

Rozżalony nieczułością ludzką, podróżny chciał już ze wsi wychodzić; chociaż ciemna noc zaszła, kiedy ujrzał na końcu wsi domek, w którym się jeszcze świeciło, a w którym nie był. Była to najlichsza we wsi chatka. Zbliżył się do niej i zapukał lekko do drzwi. Wyszedł ubogi wieśniak z izby i rzekł: „Czegóżto potrzebujecie, mój przyjacielu?“

„Umiéram prawie z głodu i utrudzenia,“ odpowiedział podróżny; „czybyście mię mój miły człowieku, nie chcieli przyjąć na noc?“

„Żałuję was,“ odrzekł wieśniak, wprowadzając strudzonego podróżnego do izby; „bardzo wam tu będzie niewygodnie, lecz w chałupie nie będziecie przynajmniej ziębli i zjécie z nami, co Bóg dał.“

Podróżny uściśnął rękę gościnnemu gospodarzowi i rzekł: „Niech wam to Bóg wynagrodzi, dobry przyjacielu, że ubożego nie oddalacie od swego domu i dajecie mu przytułek, gdy się nie ma gdzie schronić. Chodziłem ja od chaty do chaty, prosząc o zmiłowanie się, ale wszędzie zamknęli drzwi przede mną.“

Wieśniak wprowadził podróżnego do izby, gdzie było siedmioro dzieci. Potem wyszedł, a po chwili przyniósł grubego chleba i miodu i rzekł: „Oto wszystko, co mamy w domu; posilcie się z mojami starszemi dziećmi, a ja tymczasem pójdę do żony.“

Po tych słowach poszedł kmiotek do komory, a w godzinę powrócił uradowany, niosąc nowonarodzone dziecię na rękę, by je pokazać podróżnemu. „Oto ósme,“ rzekł, „niech je Bóg chowa tak zdrowo jak tamte.“ Podróżny cieszył się razem z ojcem, wziął dziecko na rękę i rzekł: „Wierście mi, gospodarzu, to nowonarodzone dziecię wniesie w dom wasz szczęście i dostatek.“

Wieśniak uśmiechnął się na to, odebrał dzieciątko od podróżnego i zaniósł je do matki; potem wrócił z komory,

przyniósł słomy do izby, zrobił posłanie na ziemi i prosił podróżnego, aby się spać położył i po podróży odpoczął.

Skoro zaświtało, wieśniak się obudził. Podróżny wstał także, zjadł ubogie śniadanie, a żegnając się z cnotliwym wieśniakiem, tak rzekł do niego:

„Miły przyjacielu, powracam ja do miasta; znam tam pewnego dobrego człowieka; powiem mu o was, a pewny jestem, że go zaraz namówię, aby wam trzymał do chrztu to nowonarodzone dzieciątko.“

„Niech wam Pan Bóg wynagrodzi waszą dobrą chęć,“ odpowiedział kmiotek, „ale któżby tam z miasta chciał przyjść do mojej nędznej chaty?“

„Wstrzymajcie się z chrztem, gospodarzu, tylko do południa, a ja wam ręczę, że ojciec chrzestny przybędzie.“

Wieśniak przyrzekł, że poczeka; tymczasem uprzątnął izbę i przywdział najlepsze swoje odzienie. Już jednak nadeszło południe, a chrzestnego z miasta jak nie widać, tak nie widać; zwątpił więc, czy kto z miasta przybędzie i zaczął się wybierać z dziecięciem do kościoła. Wtém dał się słyszeć przez wieś tentent koni i turkot powozów. Wieśniak wyjrzał okienkiem i spostrzegł pełno wspaniałych powozów i ludzi, bogato ubranych. Nagle wszyscy zajechali przed jego chatkę. Wieśniak nie mógł pojąć, co by to znaczyło, wyszedł więc z izby i patrzył, co będzie dalej. Aż się przeląkł, kiedy z pierwszego powozu ujrzał wysiadającym tego samego podróżnego, którego w dniu poprzedzającym przyjął do siebie na nocleg. Ale nie był to już ów biédak w podartem odzieniu: szaty na nim królewskie świeciły się od złota i drogich kamieni, a za nim stało pełno dworzan, bogato ubranych.

Wieśniak struchlał, bo poznał, że to nie zwyczajny człowiek, ale sam król Kazimierz, który miał ten zwyczaj, że się często po chłopsku przebięrał i tak, niepoznany, cho-

dził między ludem swoim, wstępował do ubogich chałup i białych dworów, jadł i rozmawiał z kmieciem i panem, bo chciał wiedzieć, co naród myśli o jego rządach, i przekonać się, jak się powodzi ludowi jego po chatach, dworach i miastach.

Przelękniony wieśniak stał, jak wryty, i słowa przemówić nie umiał. Ale dobrotliwy król rzekł łagodnie do niego: „Tyś mię gościnnie przyjął w ubogi dom swój na noc-lég, nie wiedząc, że ja królem jestem; za to obiecałem ci dla dziecięcia przyprowadzić ojca chrzestnego. Dotrzymuję słowa; daj mi dziecię i jedź ze mną do kościoła.“

Ubogi kmiolek, jakby skamieniały, stał jeszcze i patrzył na króla z bojaźnią i radością, przyglądał się z podziwieniem bogatym jego szatom, drogim błyszczącym kamieniom i świetnemu orszakowi królewskiemu. Bał się wsiąść do wspaniałego powozu, bo myślał sobie: „Jakże ja, ubogi człowiek, siadać mam razem z królem?“ Ledwie go król mógł namówić, że siadł do powozu z nim razem.

W drodze rzekł monarcha do kmiotka: „Wczoraj zrobiłeś to, co religija i ludzkość nakazują; dziś przychodzę do ciebie, jako panujący król, abym nagrodził twoją pocztwość i gościnność. Nie chcę ja, żebyś porzucił swój stan, któremu zaszczyt robisz, ale dam ci trzody, piękne sady i wygodny dom, w którym będziesz mógł wygodniej przyjmować gości. Nakoniec biorę pod swoją opiekę to dziecię, które się przy mnie urodziło.“

Jakoż król w samą rzecz dotrzymał obietnicy: opiekował się chłopcem starannie i posyłał go do szkół. Gdy wyrósł chłopiec, został księdzem; był sławnym kaznodzieją i kanonikiem; nazywał się Trzaska.

7. Założenie Państwa Rossyjskiego.

Przed lat tysiącem, na téj ziemi, którą obecnie zajmuje Rosyja, żyły rozrzucone plemiona, które rządziły się patryarchalnie, to jest, lud wybierał z pośród siebie rządców, którzy o jego dobru mieli staranie, bronili go od nieprzyjaciół zewnętrznych i pilnowali porządku wewnątrz.

Te plemiona, które żyły nad brzegami i w okolicach rzek: Dniestru, Dniepru, Bugu, Oki, górnych części Wołgi, Dźwiny Zachodniej i Północnej, około jezior Ilmeń i Pejpus, mówiły językiem Słowiańskim, podobnym do Polskiego, oddawały cześć bożkom z gliny i drzewa i rządziły się prawem zwyczajowem, nie zebraném w księgi, nie pisaném jak dzisiaj. Miały one różne nazwy, i tak, jak między Polakami, jedni nazywają się Mazurami, drudzy Kuja-wiakami, trzeci Podlasianami, ale wszyscy mimo to są Polakami, tak i te plemiona nazywały się: jedne Polanami, drugie Krywiczami, inne prosto Słowianami, a wszystkie były Słowiańskie. Przytykały one na północy do morza Bałtyckiego, na południe zaś rozciągały się do morza Czarnego.

Powiedzieliśmy już, że te plemiona nie były z sobą połączone; każde więc, z osobna wzięte, było słabe i nie mogło oprzeć się nieprzyjacielowi, któryby z większą siłą na ziemię ich chciał napad uczynić. Żeby go odeprzeć, trzeba było te rozrzucone plemiona z sobą powiązać i dać im jednego księcia, czy wodza, któregoby wszystkie słuchały i za pana swego uznawały.

Taki wódz zjawił się w roku 862 i na pana im się narzucił.

Za morzem Bałtyckim, w dzisiejszej Szwecyi, mieszkały także różne plemiona, którym ciasno było we własnej ziemi, chłodno i głodno, bo kraje te są bardzo zimne i nieurodzajne. Mieszkańcy tych krajów znani są w dziejach pod imieniem Normanów, to jest, ludzi północnych, ale słynęli i pod innemi nazwiskami. Otóż garstki tych ludzi, zahartowanych na głód, zimno i niewywczyasy, puszczały się na wędrowkę w obce kraje, cieplejsze i bogatsze, a puszczały się z bronią w rękę; co napotkały na drodze, to zabierały przemocą, lub z bojaźni ludzie sami im oddawali całe swoje mienie, byle tylko życie uratować. Przewodnicy tych gromad wojennych, czyli drużyn, nazywali się *Królami morskimi*, bo głównie po morzach pływali i na ziemie nadbrzeżne napadali.

Jeden z takich królów, czyli książąt, imieniem Ruryk, wzięwszy z sobą drużynę uzbrojoną, a z plemienia Warago-Russów pochodzącą, napadł na Słowian, mieszkających około jeziora Ilmenu, zabrał ich główne miasto Nowogród i sam na prawo i na lewo zaczął podbijać inne ziemie Słowiańskie i wszystkie związał w jedno państwo, jednemu księciu posłuszne.

Ziemie, przez niego zagarniętą, nazwano ziemią Russów czyli prosto Rusią. Było to w roku 862.

J. P.

8. Charakter cnotliwy.

Piękny przykład cnót, godnych pamięci, przedstawia nam król Władysław Jagiełło. Nietylko zycieliwi, ale nawet nieprzyjaciele jego Krzyżacy mówią, iż król ten nie znał ani cienia obłudy, nie umiał ukryć niczego. Urazy domowe szły u niego dziwnie prędko w niepamięć, komu innemu zaś wyrządzoną zniewagę przebłagał ze łzami w oczach.

Co do jego miłosierdzia, dobroci, rzadkiej ludzkości, żaden chwalca nie mógłby przyznać mu więcej od jego nieprzyjaciół, nieprzebaczających mu najmniejszej wady, jak np. zbytniego zamiłowania w polowaniu i skłonności do zabobonów. Mówią oni, że Jagielle jak łatwo przychodziło nagradzać, tak trudno — karać; ztąd najwinniejsi często otrzymywali przebaczenie, zwyciężeni pewni byli łaski. Troskliwość dla wdów, sierot, ubogich, których sprawy zwyczajnie sam rozsądzał, była jak największa. „Z przed oblicza panującego,“ mawiał Jagiełło, „nie powinien nikt odchodzić bez pociechy.“ Choćby więc małym datkiem, choćby upominkiem w suknie żegnała łaska pańska poddanych. Wdowy, sieroty, biedni odnosili w dwójnasób. Ponieważ zaś, ośmieszeni łaskawością, nieraz zbyt wielkich domagali się datków, miał przeto zwyczaj udzielać tylko połowę tego, o co go proszono. Widok każdego szlachetnego czynu rozgrzewał mu serce, pobudzał do radości i pochwał, otwierał rękę do nagród; ztąd prawie wszystkie wojny Jagiełły miały niezwykłe powodzenie, bo pod jego okiem najwaleczniejsi stawali się jeszcze waleczniejszymi. Kto raz zacnym czynem zwrócił na siebie oczy, ten już na długie lata zaskarbił sobie łaskę króla; tylko urazy szły w zapomnienie. W wieku, kiedy nietylko wszyscy królowie, ale nawet lada zamożny mieszkaniec zbytkował w strojach, Jagiełło chodził w prostej odzieży, nie cierpiał złota na sukni. Toż za to prawdziwie złotem było serce jego. Kiedy spółcześni mu służyli w późne wieki z chciwości i przedajności, on nie miał serca dla wziętki. Nie było też pobożniejszego księcia nad Jagiełłę; często przedsiębrał pobożne pielgrzymki; wśród bitwy nieraz na klęczkach błagał Pana nad Pany. Ztąd też wojenne czyny jego łączą się z zasługami religijnymi.

9. Królowa Jadwiga.

Otoczony gronem senatorów, siedział na tronie król Władysław Jagiełło, gdy nagle, u drzwi wchodowych, powstał hałas i dworzanie królewscy w groźnych postawach zastąpili drogę kilku nędznie ubranym kmiotkom, którzy, obciężając zwilżone łzami oczy, rzekli:

— Dozwólcie nam widzieć Najjaśniejszego króla; już pięć dni napróżno staramy się o to; pięć dni, jak przyszłszy do Krakowa; przez ten czas żony i dzieci nasze, nie mając ani gdzie głów wesprzeć, ani co do ust włożyć, może pomarły z głodu i zimna!

Kiedy się to działo, nagle ukazała się żona Władysława Jagiełły, cnotliwa, pobożna i młoda Jadwiga. Od razu spostrzegła ona surowe miny sług królewskich i łzy, błyszczące w oczach kmieci, a że litościwe jój serce nie mogło patrzeć na niedolę bliźniego, rozkazała przeto przywołać do siebie zasmuconych i, uprzejmie odpowiadając na niskie ukłony, zapytała:

— Co chcecie, poczciwi ludzie?

— Ach! miłościwa królowo,—zawołał jeden z nich,—wojownicy króla zabrali nam dobytki i spalili domy.

— Zaraz będziecie zaspokojeni,—odpowiedziała Jadwiga i natychmiast udała się do Władysława Jagiełły i w wymownych słowach zaczęła mu wystawiać wyrządzoną krzywdę.

Wzruszyła monarchę mowa cnotliwej pani; uznał słuszość jój żądań i natychmiast z własnej szkatuły wynagrodził pokrzywdzonych. Uczyniwszy to, z uśmiechem zwrócił się do Jadwigi i rzekł:

— Stało się, jak chciałeś; za pieniądze, które im dałem, będą mogli domy postawić, sprzęty i bydło kupić....

— Prawda,—odpowiedziała z anielską dobrocią Jadwiga,—wynagrodzone są ich szkody, lecz któż im łzy wylane powróci?

Edward Bogusławski.

10. K r u p a.

O pół mili od Krasnego-Stawu leży wieś Krupe, bardzo miła, z pięknym ogrodem; jest w niej cerkiew' i rozwaliny wspaniałej warowni. Jak mówią, dojść z pewnością nie można, kiedy i przez kogo założoną była. Podanie niesie, że w niej bronił się majątny obywatel, od miejsca mieszkania swego Krupą nazwany, przeciwko Władysławowi Jagielle, którego królem swoim uznać nie chciał. Ta jego śmiałość i przydomek dały podobno powód Janowi Kochanowskiemu do następującej słów igraszki:

Król Jagiełło bił Krzyżaki
I pan Krupa chciał być taki.
Na co porwał się nieboże!
Krupa Jagłą być nie może.

Klem. z Tań. Hoffmanowa. 1826 r.

11. Filip z Konopi.

Pan Filip z Konopi*), płoszywszy przez lat 40 Turki, Tatary i Wołoszę, osiadł nareszcie w swoim majątku. Pojechał on raz na sejmik. Wychowany w obozach, wprawny więcej do ścierania się z pohańcem, niż do rozpraw publicznych, nie zważał bynajmniej na przedmiot obrady i zaczął wcale o czém inném prawić. Powstał śmiech powszechny. „Któż tam taki wyrwał się?” zapytał ktoś z obecnych. „To pan Filip z Konopi,” krzyknęli usłużni sąsiedzi, i odtąd wychodzi na stół pan Filip przy każdym niedorzeczném słówku.

*) Konopie—wieś w Sandomierskiem.

12. Alfons V.

Alfons V, król Neapolitański, przewany Wspaniałomyślnym*), był nadzwyczaj dobry i ludzki. Zwykle udawał się na przejażdżkę sam jeden, bez żadnego orszaku. W czasie jednéj takiéj wycieczki napotkał zakłopotanego bardzo wieśniaka, którego osieł, obładowany worami mąki, ugrzązł po kolana w błocie. Król zsiadł natychmiast z konia, przywiązał rumaka do drzewa i pośpieszył chłopkowi na pomoc. Dalejże więc znosić na swych królewskich barkach wory z mąką, ciągnąć osła wtył i naprzód, dopóki go nie wydostali. Król przy téj robocie unurzał się straszliwie w błocie, zabielił mąką, podarł na sobie odzież. Trafem nadjechał orszak, złożony z dworzan królewskich. Widząc pana swego w tym stanie, przybiegli natychmiast i oczyścili go, jak mogli, z błota, a jeden z nich dał mu swój płaszcz. Wieśniak oniemiał na ten widok, lecz któż wypowie jego pomieszanie, gdy się dowiedział, że człowiek, któremu dawał przed chwilą rady, jak ma wyprowadzić osła i nieść worki, był królem. Padł na kolana, zaczął mu gorąco dziękować i prosić o przebaczenie. Alfons obdarzył go hojnie i rzekł: „Mój bracie! na to nas Pan Bóg stworzył, abyśmy się wszyscy kochali i wzajemnie wspierali.“

1862 r.

13. Jędrzej Górka.

Jeden z bogatych panów polskich, Jędrzej Górka, kasztelan Poznański, generał Wielkopolski, w sędziwych latach często mawiał: „W młodości pycha łechtła mię do ubiegania się o godności i szeptała mi: „Górko, Górko, kiedy pójdiesz w górę?“ a teraz rozum mi powiada: „Górko, Górko! kiedy będziesz w dole?“

*) Panował od roku 1412—1459.

(14. Stefan Batory.)

Był ten król wzrostu więcej niż pomiernego, dosyć otyły i ciężki, twarzy dosyć ogromnej i wielce przystojnej, postacią twarzy i mową wspaniałą majestatyczną okazujący, płci śniadój, ale i rumieńcem żywym okraszony, nosa trochę zadartego, włosów czarnych, zębów na przodzie białych. Brodę dosyć krótko podstrzygał, a wąsy bardzo długie, Węgrów obyczajem, nosił. W pokarmie był bardzo skromny. Obraz jego w zamku Warszawskim, w pokoju marmurowym, malowany z wielkiego obrazu Jezuitów w Połocku, bardzo go doskonale wyraża.

Jan Albertrandy.

15. Piotr Wielki, założyciel Petersburga.

Największym z monarchów, z domu Romanowych, był Piotr Wielki, który panował od r. 1689 do 1725.

Wiedział, że obszar ziemi nie oznacza jeszcze siły narodu, że jedynie oświata prowadzi lud do szczęścia i spokoju, że handel i przemysł podnoszą bogactwo kraju, i dla tego postanowił użyć wszelkich środków, żeby lud swój oświecić i uczynić go zdolnym do przyjęcia nowych obyczajów.

Chcąc lud zachęcić do fabryk i handlu, Piotr Wielki udał się w podróż za granicę, do Holandyi, gdzie trzy lata pracował z siekiérą w ręku na okręcie, a w wolnych chwilach uczył się różnych rzemiośł. Sam był tokarzem, kowalem, ślusarzem; szył nawet buty i trzewiki.

Powróciwszy do kraju, wziął się do zaprowadzenia pożytecznych zmian: uorganizował wojsko, wybudował flotę

morską, pozaprowadzał biura rządowe, urządził senat do rozsądzania spraw w najwyższej instancji, synod do spraw duchownych, Kollegija dla różnych wydziałów, Akademię Nauk, szkoły wojskowe i cywilne, mnóstwo fabryk— a wszędzie był sam: wskazywał, uczył, napominał, a winnych własną ręką karał. Chcąc zaś być bliżej do Zachodu Europy, stolicę państwa przeniósł z Moskwy do nowozałożonego przez siebie miasta, które, od swego imienia, *Petersburgiem* czyli Piotrogradem nazwał.

J. P.

(16. Cecylja Renata.)

Cecylja Renata, żona Władysława IV, króla Polskiego, gdy, odpowiadając wjazd uroczysty po raz pierwszy do Krakowa, dostrzegła, iż służba królewska oddała lud zebrany z miejsca, którędy jechać miała, obruszona tém, rzekła: „Dajcie im pokój; niech każdy do nas wolno przystępuje; wszak mię nie dla niektórych tylko osób, ale dla całego narodu, za królowę obrano.“

1857 r.

17. Róże cudowne świętej Elżbiety.

Dawnemi laty królowe i księżniczki nie siadywały zamknięte w pałacach, ale opuszczały je często, przebiegając okolice, wyszukując biednych, niosąc wsparcie chorym i ratunek sierotom, wdowom i niedołącznym starcom.

Z cnót wielce słynęła królowna Węgier, Elżbieta, zaślubiona księciu Turynii, Ludwikowi. Jakie tylko miała dochody, zamiast na przepych, ucztę i stroje, wydawała na wsparcie kalék i biednych, a często, gdy jęj zabra-

kło pieniędzy, zastawiała klejnoty swoje i drogie szaty i niosła pomoc potrzebującym.

Jednego razu, pani ta pobożna, rozdawszy wszystkie pieniądze, jakie miała przy sobie, ujrzała starca chorego, który nic był nie dostał. Nie namyślając się długo, ściąga rękawicę, złotem haftowaną, i oddaje ją nędzarzowi. Widząc to, jeden z rycerzy dał garść złota starcowi w zamian za rękawiczkę, którą, przypiąwszy do chełmu, nosił jako znak Bożego błogosławieństwa.

Królowa Elżbieta nie wyręczała się dworzanami, lecz, zasłyszawszy o jakim nędzarzu lub chorym, biegła do ubogiej chaty, pielegnowała złożonych niemocą, opatrywała rany, pocieszała nadzieją w ufności Bożej, płaciła długie uwięzionych i zabezpieczała los wdów i sierot.

Księżę Ludwik cenił swą małżonkę, wielbił jej cnoty, czasem wszelako miał jej za złe, że, nie zważając na porę roku, na zimno i słoty, szła do odległych chat wiejskich, dźwigając częstokroć brzemiona z żywnością i lekami.

Jednego dnia Elżbieta wyszła z domu, niosąc w połach płaszcz mięsiwo, chleb, leki i inne potrzeby dla biednych, gdy nagle, na zakręcie ścieżki, ujrzała męża, wracającego z polowania.

Ujrawszy ją, Ludwik zmarszczył brew i zapytał niechętnie, co by dźwigało w płaszczu?

Elżbieta milczała.

Wtedy księżę, rozgniewany tym milczeniem, szarpnął płaszcz, a z niego wysypało się... mnóstwo róż. Białe, różowe, pąsowe, a wszystkie tak piękne, tak cudnie woniejące, że ni księżę, ni dworzanie, tak ślicznych w życiu nie widzieli.

A była to ostra zima; śniegi pokryły góry, a w całej okolicy za tysiące róż świeżej były nie dostał.

Więc księżę stanął jak skamieniały, spuściwszy oczy z zawstydenia ku ziemi; kiedy zaś je podniósł ku obliczu

żony, ujrzał ponad jej głową jasność na wzór krzyża świętego. Padł więc na kolana, nie śmiejąc stóp świętej pani ucisnąć.

Potém prosił ją o jedną różę, iżby mu ją dała i dozwoliła na wieczną pamiątkę nosić przez całe życie. Odtąd księżna Elżbieta nawiedzała chorych swych bez przeszkody, zasilana hojnie skarbami męża w dobrych uczynkach.

Na tém miejscu, gdzie ksiązę Ludwik napotkał swą świętobliwą małżonkę, wzniesiono z jego rozkazu filar marmurowy, a na nim wyryto krzyż, podobny temu, jaki ksiązę ponad głową swój żony widział.

18. Szabelka Piotra Wielkiego.

Dziecinne nawet lata wielkich ludzi odznaczają się często godnymi uwagi zdarzeniami. Trzy lata dopiero liczył Piotr*), gdy w dzień świętych apostołów Piotra i Pawła, 29 Czerwca, obchodzono jego imieniny. Oprócz kosztownych rzeczy przeznaczonych dla maleńkiego solenizanta od rodziców, tudzież innych osób monarszej rodziny, mnóstwo podarunków złożonych było w jednej z sal zamku Kremlina**). Gdy weszło dziecko, z ciekawością przypatrywało się wszystkiemu. Nagle zabłyśły mu oczy radością: Piotr spostrzegł małą szabelkę stalową. Chwila nie upłynęła, a już ją trzymał w ręku; już się dowiedział, że była podarunkiem jednego kupca; już kazał kupca przywołać. Skoro ten wszedł, carewicz rzucił się ku niemu na spotkanie, kazał się wziąć na ręce i rzekł, iż nigdy nie zapomni o tak pięknym podarunku. Nie wypuszczając szabli z rąk, pobiegł do ojca i prosił usilnie o jaką nagrodę dla kupca i o prze-

*) Piotr Wielki urodził się w roku 1672, panował od roku 1689 do 1725.

**) Kremlin jest część miasta w środku Moskwy, opasana wysokimi murami.

pasanie jego samego orężem. Z rozkoszą spoglądał car Aleksy na radość trzechletniego dziecięcia, która zapowiadała w nim miłość sławy wojennój. Stało się wszystko według życzeń Piotra: kupiec został godnością zaszczycony, szabla małeńkiemu carewiczowi przypasana. Car więcj jeszcze uczynił: widząc bowiem w synu szczególną do wojennych zabaw skłonność, zebrał dzieci jednego wieku z Piotrem, kazał porobić dla nich małą broń i wyuczyć je wszystkiego, czego się uczyli żołnierze. Wtedy każdy dzień był dla Piotra uroczystém świętém; od rana do wieczora bawił się i uczył z małemi towarzyszami, szabelki nigdy prawie nie zdéjmował, niekiedy nawet z nią zasypiał.

Leon Rogalski. 1851 r.

19. Uległość Piotra Wielkiego prawu.

Piotr wielki z wielką ścisłością przestrzegał sprawiedliwości. Pewnego razu przyszedł do magistratu miasta Rygi, dokąd go zaskarżył jeden mieszczanin Rygski o to, że kawał ziemi, do niego należący, z rozkazu monarchy oddany został komu innemu. Piotr, sam będąc obecnym podczas rozpoznania skargi, uznał się za winnego wedle prawa, a gdy sprawa była już rozstrzygnięta i wyrok magistratu, zapadły na korzyść mieszczanina, objawiony został, wtedy monarcha, pochwaliwszy bezstronność sędziów, każdego z nich ucałował. „Ja sam posłuszny jestem prawu,“ rzekł wtenczas, „i biada temu, kto się ośmieli je naruszyć.“

Leon Rogalski. 1851 r.

20. Maryja Leszczyńska.

Maryja Leszczyńska, córka Stanisława Leszczyńskiego, króla Polskiego, a żona Ludwika XV, króla Francuzkiego,

tak była dobroczynną, iż razu pewnego, gdy podskarbi czynił jój uwagi, że wszystkie pieniądze jój kassy mogły za- ledwie wystarczyć na same ogromne jałmużny, rozdawane ubogim, odpowiedziała: „Czyliż bogactwa matki nie są własnością jój dzieci?“

Taż królowa, utraciwszy najstarszego syna, a wkrótce potem i ukochanego ojca, ulegając pod ciężarem smutku, w silną popadła chorobę. Kiedy się nad środkami leczenia jój naradzali lekarze, rzekła: „Wróćcie mi ojca i syna, a uzdrowicie mię.“

Ze wszystkich cnót, jakie zdołały Maryję, najwięcej podziwiano jój nieograniczone miłosierdzie dla biędnych. Jednej niedzieli, przechadzając się po ogrodzie w Weissenburgu, posłyszała jęk żałosny zpoza muru. Zbliżywszy się do niego, ujrzała starą i wychudłą żebraczkę, która wyciągnęła do niej drżącą rękę, prosząc o wsparcie. Wzruszona widokiem takiej nędzy, Maryja rzuciła jój ostatnią sztukę złota, którą miała przy sobie. „Niech cię Bóg błogosławi, moja księżniczko,“ zawołała żebraczka radośnie, wznosząc ręce ku niebu; „doczekam, że będziesz królową Francuzką.“ Zdarzyło się to wówczas, kiedy mówiono powszechnie o ożenieniu Ludwika XV z infantką Hiszpańską.

Maryja więcj rozdawała na jałmużny, niż miała dochodów; całe domowe jój kółko musiało się przyczyniać do jój miłosiernych uczynków. Kiedy raz proszono młodego Delfina*) o pieniądze na cel dobroczynny: „Dałbym,“ odpowiedział, „ale nie mam ani grosza; mama zabrała mi wszystko.“ U ojca Maryja wyrobiła sobie roczną pensyję na ubogich. Gdy jój zabrakło pieniędzy, pożyczala u drugich i zdarzało się, że była dłużną 300,000 franków. Raz sprze-

*) Delfin był tytuł następcy tronu we Francyi.

dała wszystkie swoje klejnoty, a na miejsce prawdziwych kamieni kazała wprawić fałszywe. Przez cały rok nikt nie domyślał się tego fortelu i byłby się może ukrył do końca jój życia, gdyby jedna z jój służebnic nie zdradziła tajemnicy.

Lud Francuzki ubóstwiał Maryję i nigdy się jój dość napatrzeć nie mógł. Raz, gdy się przechadzała po ogrodzie w Tuilleries, takie się zeszło mnóstwo ludzi, że w tym tłoku ani naprzód, ani wtył posunąć się nie mogła. Napróżno straż, koło niój będąca, rozpędzać chciała pospólstwo; cisnęło się coraz więcej, pragnąc widzieć bliżej monarchinię. Nareszcie królowa dała znak, że chce mówić; stanęli wszyscy, a ona powiedziała z uśmiechem: „Wiem, dzieci moje, że się do mnie ciśniecie, bo mię kochacie tak, jak ja was kocham; dla téj więc saméj miłości, zamiast mię dusić, dozwólcie mi przejść.“ W jednéj chwili lud zgromadzony wydał okrzyk radości i otworzył wygodne dla królowej przejście.

Niezabitowski. 1828 r.

21. Przykłady nadzwyczajnej siły.

Dzieje krajowe zachowały nam liczne przykłady tak wielkiej w dawnych ludziach siły, iż dziś nam trudno nie-raz uwierzyć w podanie, a raczej gotowibyśmy je do cudów, lub bajek zaliczyć. A jednak to było rzeczywiście.

Janusz II, ostatni książę Mazowiecki, kruszył podkowy, rwał grube sznury z łatwością, rzucał ogromném kołem, lub kamieniem.

Zygmunt I przerywał w rękę sznury i talią kart do grania. Za tego króla żyjący Jan Tarło, krajczy nadworny, porywał przeciwnika w gonitwach konnych i z konia zsadzał; drzwi żelazne, lub zamek, nie wytrzymały uderzenia jego ręki, a oszczepem niedźwiedzia pokładał.

August II srebrny puchar gniótł jedną ręką, jakby z wosku ulany, zginał szyny żelazne, a wołu jednym cięciem pałasza zabijał. Stanisław Radziwiński, kasztelan Za-

kroczymski, konia dzikiego chwycił za uszy i osadzał go, a najtęższego chłopą bujał na rękę. Wojciech Brudzyński sześciu zbrojnych huzarów do góry podnosił, a Prokop Sieniawski, marszałek wielki koronny, poszóstne karety w pędzie zatrzymywał, jednym zamachem pałasza konie i woły w obecności króla przecinał.

O Stanisławie Ciołku, bracie wojewody Mazowieckiego, mówi podanie, iż dzwon, którego czterdziestu ludzi dźwignąć nie mogło, na wieżę kościelną zaniósł; dwie podkowy, razem złożone, łamał; miecz skręcał, jak powrósł; z drzewa sosnowego, gdy je ścisnął, aż sok pociekł, a łyka bartników zrywał, jak nitki. Umarł on w roku 1356.

Za króla Zygmunta III żył Teodor Lacki, człowiek nadzwyczaj mocny. Przejechał on świata kawał duży, a wszędzie podziwiano jego nadludzką siłę: wyrывał z ziemi młode dąbki z korzeniem; dzikiego wołu gdy ujął za rogi, rzucał nim o ziemię i kark mu skręcał.

Za Augusta III, Kopczak, piwniczy Branickiego, zagrzezłą karetę wyciągnął, której sześć koni rady dać nie mogło.

I. M. 1857 r.

22. W r ó ź b a.

W miesiącu Listopadzie 1705 roku ustanowiony został w Tykocinie przez Augusta II-go order Orła Białego. Na skrzydłach gwiazdy, którą noszono na lewym boku był napis: *pro fide, rege et lege**), na téj zaś gwieździe, którą król nosił, były wyszyte słowa: *pro fide, grege et lege***). Powiadają, że gdy August III, wysyłając, w poselstwie do Petersburga, Stanisława Poniatowskiego, stolnika Litewskiego, przyozdobił go tym orderem, kamerdyner królewski, przydając, podług zwyczaju, gwiazdę do orderu, z prędko-

*) Za wiare, króla i prawo. **) Za wiare, naród i prawo.

ści dał mu tę, która była z napisem: *pro fide, grege et lege*, co miało być przepowiednią, że po Augustcie Poniatowski królem zostanie.

Leon Potocki. 1859 r.

23. Szkoda czasu i atlasu.

Stanisławowi Poniatowskiemu, po jego obraniu na króla i koronacyi w roku 1764, ofiarował jeden z miernych poetów wiersze z powinszowaniem, z téj okazji na atlasie napisane. Uczony król, przeczytawszy te wiersze nagrodził wprowadzić pracę poety, lecz wyrzekł o nich zdanie: „Szkoda czasu i atlasu.“ Słowa te zaczęto powtarzać i ztąd poszły w przysłowie.

24. Odkrycie wysp Sandwich*) i śmierć Jakóba Cook'a**).

Z pomiędzy wszystkich żeglarzy, najslawniejszym był Cook, anglik. Urodził się on przed stu czterdziestu laty i był synem rolnika. Od młodości miał wielką ochotę do żeglowania po morzu, i, mając lat trzynaście, przystał za chłopca okrętowego na statek, rozwożący węgle po brzegach angielskich. Na tym statku zostawał aż do dwudziestego roku życia.

Później chciał się dostać na okręt większy kupiecki, ale to mu się nie udawało. Kiedy nareszcie, po wielu trudnościach, dostał się do służby kupieckiej, poznał, że chociaż umie statkiem kierować, przecież żadnych innych marynarzowi potrzebnych nauk nie posiada; wziął się więc całemi siłami do nauki.

Przebywszy parę lat na okręcie kupieckim, dostał się wreszcie do służby królewskiej. Tu dopiero poznali się na Cook'u, który przez swoją pilność, zasłużył sobie wkrótce

*) Czyta się Sandwicz. **) Wymawia się Kuk'a.

na względy i przyjaźń swoich przełożonych. Tutaj także kilka razy okazał wielką odwagę, bijąc się z nieprzyjaciółmi, więc też za to został porucznikiem na okręcie królewskim, który to stopień bardzo wiele znaczny w służbie morskiej.

Rząd wysłał właśnie wyprawę na morze południowe, z samych uczonych złożoną, a naczelnym dowódcą téjże wyprawy nazначzył Cook'a. W czasie téj wyprawy, Cook podkrywał wiele wysp, należących do Australii i, po trzech latach bawienia na morzach, powrócił do Anglii, okryty sławą i wynagrodzony sowicie od rządu.

Rząd ten poznał się na zdolnościach niepospolitych Cook'a, więc zaraz w następnym roku oddał mu pod dowództwo dwa znaczne okręty, ażeby szukał nowych wysp na oceanie, czyli ogromném morzu południowém. Cook popłynął na Ocean Spokojny, przezimował przy wyspach Tahiti*), gdzie go mieszkańcy bardzo dobrze przyjmowali, i puścił się na wiosnę ku północy, kędy natrafił na takie ogromne lody, że mu te dalszą zagrodziły drogę. Burze, mgły i okropne zimna dokuczały niezmiernie żeglarzom, a Cook sam rozchorował się śmiertelnie i byłby umarł, gdyby nie starania doktora okrętowego. W téj podróży podkrywał także dużo wysp nieznanых, których mieszkańcy dzicy nigdy nie widzieli Europejczyków.

Nakonec, gdy powrócił, po trzech latach żeglowania, rząd wysłał go po raz trzeci w podróż z dwoma okrętami. Po niezliczonych trudnościach Cook odkrył kilka wielkich wysp, zwanych Sandwich. Mieszkańcy tych wysp, ujrawszy go, wzięli za Boga i padli przed nim na kolana. Znosili żywność i wszystkie wyroby, jakie tylko umieli sporządzać. Wkrótce przecież przyjaźń ta zamieniła się w nieprzyjaźń, gdyż wyspiarze poczęli kraść z okrętów, co tylko mogli, a kradzieże te do tego stopnia posunęli, iż odważyli się ukraść jedną z łodzi okrętowych.

*) Wymawia się Tajti.

Cook postanowił koniecznie łódź odebrać, a złodziei ukarać; wysiadł więc na ląd z porucznikiem swoim i kilkunastu żołnierzami, ażeby króla pochwycić i na okręt uprowadzić, a tym sposobem zmusić dzikich do oddania łodzi. Ale wyspiarze zbiegli się w ogromnej liczbie i poczęli wydawać straszne krzyki, grożąc Anglikom bronią. W tej nieszczęsnej chwili rozeszła się pogłoska, że Anglicy kilku najznakomitszych naczelników rozstrzelali. Dzicy wpadli w okrutną wściekłość: poczęli rzucać na Anglików kamieniami, a na Cook'a i porucznika wpadli z pałkami i nożami. Cook cofał się zwolna ku brzegowi, wyspiarze zasypywali Anglików gradem kamieni, Anglicy zaś poczęli strzelać. Cook napróżno wołał na swoich żołnierzy, żeby przestali strzelać; hałas i krzyki zagłuszyły jego wołanie, a kiedy odwrócił się ku brzegowi, ażeby wstrzymać żołnierzy od strzelania, jeden z krajowców rzucił się na niego z tyłu i między łopatki ugodził sztyletem. — Kapitan padł, a wtedy wyspiarze rzucili się nań i dobili pałkami. Stało się to przed sześćdziesięciu laty.

Załoga okrętowa znajdowała się w wielkiem niebezpieczeństwie, ponieważ maszty i żagle okrętów, z pomocą których tylko płynąć można, były na brzegu; udało jej się przecież zrobić pokój z wyspiarzami, i okręty zostały wyporządzone. Ciało dzicy poćwiertowali i podzielili pomiędzy swoich wodzów. Przecież udało się Anglikom odebrać dzikim kilka kawałków, które zwyczajem okrętowym, włożyli do woru, obciążonego kulą armatnią, i spuścili je w głębiny morskie, poczem powrócili, doznawszy wiele przykrości, do Anglii.

Tak odważny marynarz życiem przypłacił gorliwość, z jaką szukał nieznanych krajów.

25. Jan Gutenberg.

Czytacie książki pożyteczne, modlicie się na książkach do nabożeństwa, a nie pomyśleliście może nad tém, jak ludzie przyszedli do wynalezienia druku.

Otóż, trzeba wam wiedzieć, że w dawnych czasach, a nawet przed czterystu trzydziestoma laty, ani jednej książki drukowanej nie było i ludzie wcale druku nie znali. Były wprawdzie księgi rozmaite, ale tylko pisane.

Przepisywanie książek bardzo wiele czasu zajmowało. Nie jeden całe życie poświęcił dla przepisania księgi: bo najprzód trzeba było pisać bardzo wyraźnie, a zatém powoli, a to dla tego, ażeby wszyscy z łatwością czytać mogli; powtórę, pisarze zadawali sobie wiele pracy, malując początkowe litery pięknymi farbami i wyłaczając je, wedle ówczesnego zwyczaju. Drogość książek i z tego pochodziła, że pisano je na wyprawnych skórach, czyli pergaminie, raz dla trwałości, a powtórę, że papier także bardzo późno wynalezionym został.

Jakież ztąd wynikały skutki? Oto, z powodu drogości ksiąg, mogli je mieć tylko albo bardzo bogaci ludzie, gdyż często za jedną kilka tysięcy złotych trzeba było zapłacić, albo też klasztory, w których zwykle zasadzano zakonników do przepisywania książek. Mała liczba książek i drogość ich była przyczyną, że oświata nadzwyczaj pomalą się rozszerzała i na tysiąc ludzi ledwie może jeden umiał czytać i pisać, a ztąd niższe i uboższe klasy w narodach były ciemne, żyły w nędzy i poniżeniu, bo tylko oświata może człowieka uzacnić i wynieść go nad bydłeta i barbarzyńce.

Dopiero około roku 1440 Jan Gutenberg wynalazł druk, a to następującym sposobem. Jeszcze przed Gutenbergiem na paręset lat robiono karty do grania tym sposobem, że figury wyrzynano na drzewie, a potem, wyrzynanie po-

mazawszy farbą, odciskano na papierze, znanym już wtedy. Później zaś robiono na drzewie obrazki świętych Pańskich, z podpisem u spodu i odbijano na papierze tym samym sposobem jak dziś drzeworyty. Gutenberg, przypatrując się temu, wpadł na myśl, ażeby podobnie, jak na obrazkach napisy, wyrzynać całe stronnice liter i wierszy i potem je drukować. Sam był ubogim, aby mógł taką drukarnię założyć, ale wnet znalazł dwóch spółników: Fausta i Szefera i razem naspół założywszy drukarnię, odbili na niej *Ojciec-nasz*, którego blisko 30 tysięcy sztuk rozprzedali. Po tej próbie wydrukowali pierwszą księgę, *Biblię* czyli *Pismo Święte*, ale już nie z drewnianych wyrzynanych tablic, lecz z liter, odlewanych z ołowiu.

Odtąd, przez wynalazek Gutenberga, książki ogromnie staniały i oświata zaczęła się szybko szerzyć z Niemiec, ojczyzny jego, i po innych krajach, najprzód pomiędzy mieszczanami i szlachtą, a dzisiaj, dzięki Bogu, rozpowszechnia się i pomiędzy włościanami.

1865 r.

26. Drukowanie książek.

Mało kto z was widział, jak się książki drukują, więc wam króciutеньko opowiem ten wynalazek Gutenberkowski. W każdej drukarni są najprzód stoły, mające po kilka szuflad. Te szuflady są podzielone na bardzo wiele przegródek, a w każdej z nich znajduje się inna litera: osobno duże, osobno małe, osobno znaki pisarskie. Pracownik, zwany składaczem, wystawia sobie szufladę z potrzebnym gatunkiem pisma i, wyjmując po jednej literze, ustawia je w porządku jak potrzeba w całe wiersze, a gdy złoży kilka wierszy przenosi je na osobną deszczułkę listwami obitą, żeby się nie rozsypały. Gdy ustawi całą stronnicę, wiąże ją szpagatem i, skoro już jest tyle stronnice ustawionych liter, ile do drukowania arkusza trzeba, poprawia omył-

ki i ustawia na żelaznej prasie, a założywszy ramy żelazne, zabija klinami, żeby się litery nie ruszały. Tak ułożoną formę z liter pociera się czarną farbą, przykładając papier i przyciska wierzchem żelaznym za pomocą prasy, a litery, potarte farbą, odbijają się na papierze—i jest arkusz z jednej strony gotowy. Potem przewraca się go na drugą stronę i znów odbija. Z kilku lub kilkunastu arkuszy składa się potem książkę, którą *introligator* oprawia.

Tym sposobem w krótkim czasie powstaje kilka tysięcy egzemplarzy książki.

1864 r.

27. Benijamin Franklin.

Sławny Benijamin Franklin*), jeden z prawodawców północnej Ameryki, jeden z najużyteczniejszych i najcnotliwszych ludzi, w następującym liście zostawił wzór rozsądnej i przemysłnej jałmużny: „Posyłam ci 20 dukatów; nie mam śmiałości darowania ci tej summy; pożyczam ją tylko. Gdy wrócisz do swego kraju, znajdziesz w nim zapewne jakie zatrudnienie, za pomocą którego będziesz mógł spłacić swoje długi; wtedy, skoro upatrzysz uczciwego człowieka w potrzebie, zapłacisz mi, pożyczając jemu 20 dukatów, pod warunkiem uiszczenia się kiedyś tymże samym sposobem. Spodziewam się, że przejdą rąk wiele, zanim u jakiego podłego człowieka uwieczną. Jestto jeden z moich wynalazków czynienia wiele dobrego małą ilością pieniędzy.“

28. Towary kolonijalne.

Napoleon I, chcąc zniszczyć handel morski Anglików, z którymi ciągnął prowadził wojnę, wydał w roku 1806 rozkaz, aby palono wszystkie towary kolonijalne, jako przywożone morzem. Wkrótce po tém rozporządzeniu, przejeżdżał przez jedną wieś i poczuł zalatujący go zapach pa-

*) Żył od roku 1706 do 1790.

lonój kawy. Zbliżywszy się do plebanii, spostrzegł plebana, obracającego przy ogniu kawę w piecyku. „A! złapałem cię“ zawołał cesarz, „pokażno, co tam robisz?“ — „Jak widzisz, najjaśniejszy panie,“ odpowiedział niezmieszany pleban; „robię to, co Wasza Cesarska Mość kazałeś: palę kolonijalne towary.“

29. Wojna 1812 roku.

W roku 1812 Napoleon wplątał się w wojnę z Rosyją i postanowił ją zawojować. Zebrał więc pół miliona żołnierzy i z tém wojskiem wyprawił się przeciw Rosyi.

Ale zwycięzca tytu monarchów nie wiedział, co to znaczy zaczepić lud, gdy jest przywiązany do swój ziemi. Miał już przykład z Hiszpanii, a na tę przestrożę nie zważał. Otóż, co się stało.

Wojska Rosyjan cofały się w głąb' kraju; Napoleon ścigał je wciąż, aż do samój Moskwy. Tam Francuzi chcieli przebyć zimę, lecz Rosyjanie podpalili stolicę, która jednym płomieniem zgorzała, i najeźdnik musiał uchodzić.

Nadeszła okropna zima z roku 1812, w której mrozy od świętego Michała do Wielkiénocy ciągle trzymały. Francuzi, wygłodniali, wynędzniali, źle okryci, w złém obuwiu, nie mając dachu, pod którymby wypocząć mogli, szli przez ogromne pola, śniegiem okryte, a do koła uwijały się chmury jazdy nieprzyjacielskiej. Tysiącami ginął waleczny żołnierz, nie od kuli, lub miecza nieprzyjacielskiego z chwałą, lecz od mrozu i głodu z rozpaczą. Nakoniec napotykają rzekę Berezynę, pokrytą krami płynącemi, i pod strzałami Rosyjan przechodzą wąskie mosty bez poręczy. Tu wszystko się tłoczy; jedni drugich spychają w wodę, koła armat druzgoczą, konie tratują ludzi, wreszcie jeden z mostów załamuje się i pochłania tysiącami ofiary.

Otóż do czego duma i chęć sławy Napoleona doprowadziły nieszczęsnych żołnierzy!

30. Miłość ludu ku Monarsze.

Niepodobna opisać gorącej miłości, jaką mają Włosi ku swemu teraźniejszemu królowi Wiktorowi Emanuelowi. Gdziekolwiek się ukaże, oczy wszystkich zwracają się na niego; jest to więcéj, niż przywiązanie dzieci do najlepszego ojca.

Kiedy w roku 1860 Wiktor Emanuel przybył do Florencyi, w Cascine*) wieśniak jakiś gwałtem cisnął się do niego. Adjutanci nie chcieli go dopuścić, ale król, pewnym będąc, że ma jakąś prośbę, kazał go do siebie przywołać.

„Czegóż to chcesz ode mnie?“ zapytał.

„Najjaśniejszy Panie,“ rzekł wieśniak, „oto chciałbym się ciebie dotknąć.“

„Dobrze, mój przyjacielu,“ odpowiedział król i wyciągnął do niego rękę.

Wieśniak, szorstką, spracowaną dłonią, uchwycił rękę monarchy, ścisnął ją mocno i długo i odszedł szczęśliwy. Uczynił sobie ślub, żeby koniecznie przed śmiercią dotknąć się uwielbianego króla.

1861 r.

31. Mała przejażdżka.

Lord Palmerston, pierwszy minister Angielski, liczy obecnie**) 77 lat życia, ale ten wiek nie pochylił go, nie znużył. Można by mniemać, że posiada tajemnicę, dzięki której prawie się nie starzeje.

Pewien Amerykanin, opisując odwiedzin y u niego w Broadlands***), powiada, że nazajutrz po przyjeździe uprzejmy gospodarz zaproponował mu konną przejażdżkę przed obiadem.

*) Cascine (wymawia się Kaszyne) jestto piękna willa blisko Florencyi:

) W roku 1861. *) Wymawia się Brodlands.

„Pokażę Panu New-Forest*),“ rzekł szanowny lord.

„Czy to daleko?“ zapytał.

„Bynajmniej, tylko 10 mil drogi **).“

Amerikanin wymawiał się grzecznie.

„Czyż ta mała przejażdżka wydaje się panu za utrudzająca?“ zapytał gospodarz.

Było to w roku 1851. Lord Palmerston liczył zatém przeszło 66 lat i nie pojmował nawet, jak mała przejażdżka 20 mil drogi, licząc tam i napowrót, może się komuś wydawać za odległą.

1861 r.

32. Dobroczynność Pijusa IX.

Hrabia Jan-Maryja Mastał, papież, panujący dziś pod imieniem Pijusa IX, urodził się dnia 13 Maja 1792 roku, a w 25 roku życia był wyświęcony na kapłana.

Zostawszy księdzem, Mastał poświęcił życie swoje ci-chym cnotom i miłosiernym uczynkom. Ubodzy i nieszczęśliwi rzemieślnicy stali się szczególniejszym przedmiotem jego pieczy i troskliwości; długie w pośród nich spędzał godziny, badał ich potrzeby, pocieszał, zachęcał i na ulżenie smutnej ich doli poświęcał większą część swoich dochodów. Wyniesiony do godności kardynała, w powiększonych dochodach znalazł nowe źródło zwiększenia swych jałmużn i miłosier-nych czynów. Nie rachował nigdy, ilekroć szło o wsparcie nieszczęśliwych, i nieraz zdarzyło się, że ostatnią złotówkę oddawał biędnemu. Pewnego razu, kiedy właśnie rozdał wszystko do ostatniego grosza, przyszła jakaś bardzo biedna kobieta i ze łzami prosiła go o jałmużnę. Kardynał nie miał co dać, gdy wtém spostrzegł na stole srebrne nakrycie.

„Weź to, moje dziecię,“ rzekł do proszącej, „zastaw w lombardzie; wykupię, jak będę miał pieniądze.“

Służący, który nic o tém nie wiedział, długo szukał nakrycia, a nakoniec, nie mogąc go wynaléźć, przyszedł

*) New-Forest (wymawia się Niu-forest) jestto park do polowania.

**) Angielskich; 4 mile Angielskie równają się jednćj pocztowćj mili Polskiej (7 wiorst).

oznajmić panu, że chyba musi być ukradzione. Czcigodny kardynał uśmiechnął się tylko i wtedy służący domyslił się wszystkiego.

Kardynał Mastał obrany został papieżem, po śmierci Grzegorza XVI, w miesiącu Czerwcu 1846 roku.

1862 r.

33. Podarunek ślubny.

Z powodu małżeństwa Napoleona III, miasto Paryż przeznaczyło 600 tysięcy franków na ślubny podarunek dla dostojnej jego małżonki. Cesarzowa Eugenija przyjęła ofiarę, ale pod warunkiem, że, zamiast na kupno drogich kamieni, obróconą będzie na założenie domu wychowania dla biednych sierot. Zgodnie z życzeniem cesarzowej i według zrobionego przez nią planu, summa, wyznaczona przez radę municypalną, została użyta na założenie zakładu, w którym sieroty znajdują rodzinę, wychowanie i pewność, że praca, do której nawykłą z dzieciństwa, zapewni im w przyszłości spokojne, odpowiednie stanowi utrzymanie.

1859 r.

B. LEGENDY I PODANIA BAJECZNE.

1. Chléb, obrócony w kamień.

Około roku 1217, w okolicach Gdańska nastał głód wielki: ludzie nie mieli co jeść i wielu śmierć głodna już groziła. Jest zaś pod Gdańskiem klasztor na górze, zwanój Oliwą. W klasztorze żyli bogobojni mnisi; trawili dni swoje na chwale Boga i niesieniu pomocy biednym ludziom. Nie troszczyli się ani o pokarm, ani o odzienie, a mieli to wszystko, bo Bóg wiedział czego potrzebują. Czy Bóg cudownie rozmnażał zapasy, czy je zwiększała ręka miłosiernych ludzi, dość, że zawsze było wszystkiego pod dostatkiem i dla nich i dla ubóstwa.

Kiedy nadeszły owe dni głodu, mówili do nich niektórzy ludzie: „Chowajcież, co macie, aby wam jutro, lub pojutrze, nie zabrakło.“ Ale opat odpowiedział: „Jakże ja mogę myśleć że mi się jutro będzie jeść chciało, kiedy mój bliźni—dzisiaj głodny?“ I uczynił tak, jak mówił. Kazał zemleć wszystko zboże i piec chléb, który rozdawał codziennie każdemu, kto od niego żądał. A nie zabrakło ani zakonnikom, ani okolicy.

Jednego dnia pewien człowiek chciwy pomyślał sobie: „Dostałem wprawdzie jeden bochen chleba i mam go dosyć na dzisiaj, ale kto wie, czy księża będą jutro dawali. Trzeba więc myśleć o jutrze i poprosić jeszcze o jeden bochen.“ Zwraca się więc do klasztoru i do furty przysuwa wraz z innemi. Temu, który rozdawał, zdało się, że go już widział z bochnem; więc rzecze:

„Ażaliż jeszcze nie dostałeś, człowiecze?“

„Jako żywo nie dostałem,“ odpowiedział, kłamiąc. Chowa chléb pod suknie i ucieka czém prędzej do domu, a mieszkał na wsi. W drodze zachodzi mu niewiasta z dzieciątkiem, a była słaba i wynędzniała, bo od głodu ledwo się wlokła. Skoro zoczyła człowieka z chlebem, wyciągnawszy błagalną rękę, rzekła doń:

„Zmiłuj się, człowieku, daj mi chleba.“

„Zkądżebym go wziął, matko; nicem nie dostał dzisiaj,“ odpowiedział i skłamał po raz drugi.

„Myślałam, że chléb niesiesz pod suknią,“ przemówiła smutnie niewiasta.

„To kamień, nie chléb,“ odrzekł ów człowiek bezczelnie i skłamał po raz trzeci.

„Niech będzie kamień,“ powiedziała, westchnąwszy, i powlokła się dalej ku klasztorowi.

Przycisnął mocniej ów człowiek bochen swój do siebie i szedł prędko, radując się, że się kobięcie wymówił. Zmęczony drogą, siada i myśli sobie, że może się już teraz

posilić, bo w domu ma drugi bochen. Dobywa więc noża i chce ukrajać, ale, o! dziwo, chleb stwardniał i zamienił się w kamień. Przestraszył się ów kłamca, pobiegł do klasztoru, opowiedział wszystko, co się stało, i szczerze się ukorzył i złożył ów kamień, który odtąd chowają w klasztorze i pokazują ludziom na świadectwo, że chleb, którego sam nie potrzebujesz, a biédnemu nie dasz, kamieniem ci na duszy ciężzyć będzie.

Bronisława Kamińska. 1851 r.

2. Orły Herburtów.

W bliskości Dobromila*), na wyniosłej górze, widać po dziś dzień rozwaliny dawnego zamku Herburtów. Jest podanie gminne, opowiadające przyczynę wygaśnięcia téj sławnej i możnej rodziny. Każdy umierający Herburt, jak powiada lud tamtejszy, przemieniał się w siwego orła i obierał mieszkanie na skałach, zamkowi przyległych, gdzie, gnieźdząc się, młode wyradzał pisklęta. Dopóki orły się gnieździły i dopóki je szanowano, dopóty szczęście sprzyjało Herburtom. Lecz naraz zniszczył wszystką pomyślność jeden niebaczný potomek tego rodu, który, niepomny na oddawaną cześć tym orłom, ośmielił się ubić jednego z rusznicy. Powróciwszy z polowania do domu, dowiedział się, iż właśnie w chwili zabicia orła skonał jego mały synek, którego całkiem zdrowym jeszcze w domu był zostawił. Od tego czasu orły przestały gnieździć się na skałach; uciekło szczęście i dostatek od Herburtów, a ich rodzina, z powodu zabicia orła, wygasła na owym osiéroconym ojcu.

Lucyjan Siemieński. 1845 r.

3. Piotr z Janiszowa.

(Biskup Krakowski Stanisław ze Szczepanowa, którego kościół nasz za świętego uznaje, a cały kraj dzień ósmy Maja, pamięci jego poświęcony, uroczyscie obchodzi, nabył

*) Dobromil leży w Galicyi, w dawnéj ziemi Przemyskiej.

od Piotra z Janiszowa wieś Piotrowin, na przeciwnym brzegu Wisły leżąca. Ale gdy Piotr ten umarł, spadkobiercy jego zaprzeczali sprzedaży i pozwali biskupa przed sąd króla Bolesława Śmiałego, żądając zwrotu wsi, jakoby nieprawnie zagarniętj. W dniu oznaczonym zjechał król do Solca, gdzie miał tę sprawę rozstrzygnąć; przybyli i krewni zmarłego Piotra i biskup Stanisław. Król zażądał od biskupa świadków, jako rzeczywiście wieś tę nabył, a świadków żyjących nie było. Biskup, ufny w swoją niewinność i w miłosierdzie Boskie, z zupełną wiarą, że Bóg nie opuszcza w potrzebie tych, którzy wiernie Mu służą, zawołał głosem wielkim: „Pietrze! Pietrze! powstań z grobu, a daj świadectwo prawdzie słów moich.“ I otóż na jego wezwanie Piotr wstaje z grobu, blady i wynędzniały, przebywa rzekę, idąc po wierzchu wody, a potwierdziwszy prawdę słów biskupa, odchodzi napowrót do grobu. Struchlał król, struchleli panowie; krewni Piotra odeszli zawstydzeni, a lud odtąd biskupa, jeszcze za jego życia, za świętego uważał.

Jan Papłoński. 1853 r.

4. Co to jest mitologija?

Nie wszystkie ludy oświeca światło prawdziwej wiary; pogrążone w niewiadomości i błędzie nie znają świętej religii naszej. Jednakże mają wrodzone wszystkim ludziom uczucie, że jest wyższa istota od człowieka, która go stworzyła i włada jego dolą. W ciemnocie swojej, jedni czczą, albo czcili, jakieś potworne kamienie, węże i drzewa; drudzy — gwiazdy, księżyc i słońce; inni nareszcie wystawiają sobie, że jest kilku, kilkunastu, lub kilkudziesięciu bogów, którzy panują nad rozmaitemi przedmiotami: jedni — nad ziemią, drudzy — nad niebem, inni — nad pokojem, tamci — nad wojną, inni nareszcie — nad lasami, drzewami, rzekami, a nawet pojedynczemi domami. Takie uwielbienie wielu bogów i bożków nazywa się bałwochwalstwem, a opisanie ich przymiotów i nazwisk — mitologiją.

Z pomiędzy ludów, przed wiekami żyjących i zamieszkających w najpiękniejszych krajach południowej Europy, słynęli Grecy i Rzymianie. Pozostały się po nich zwaliska wspaniałych gmachów, posagi, a mianowicie dzieła, to jest książki, tak znamienite, że, chociaż to plemię oddawna zaginęło a raczej pomieszało się z innemi ludami, a jego językiem już teraz pospolici ludzie nie mówią, jednakże, z powodu tych pamiątek i książek, młodzi ludzie uczą się w szkole języka Rzymian i Greków i praca ta stanowi ważną część szkolnych nauk. W dziełach, pozostałych po Rzymianach i Grekach, co krok napotykamy wzmiankę o ich bożkach, przeto wiadomość o religii tych ludów, czyli mitologia starożytna, jest potrzebną i ciekawą nauką. Z niej przekonacie się, w jakie to dziwne i śmieszne błędy wpaść mogą ludzie, chociaż oświeceni i sławni, i tym bardziej powinniście dziękować Bogu, że was prawdziwem światłem wiary oświecił; żeście się nie urodzili w Chinach, Indyjach, albo téż w innych krajach, gdzie ludy są jeszcze pogrążone w grubéj ciemnocie, barbarzyństwie i bałwochwalstwie.

Frań. Salezy Dmóchowski. 1859 r.

5. Początek drzewa oliwnego.

Starożytne ludy Grecyi, oceniając liczne użytki oliwnego drzewa, początek jego od bogów wywodziły. Neptun, bożek morza, i Minerwa, bogini mądrości, wiedli między sobą spór o to, kto z nich ma nadać nazwisko wznoszącemu się miastu Atenom. Dla rozstrzygnięcia sprawy wezwali bogów na sędziów; ci postanowili, że miasto od tego nazwisko przybierze, kto stworzy rzecz najużyteczniejszą dla człowieka. Bóg morza, uderzywszy swym trójzębem*) w ziemię, wyprowadził z niej rączego konia, godło bitwy, Minerwa

*) Grecy wyobrażali sobie Neptuna stojącym na wozie z muszli morskiej i trzymającym w ręku pocisk, zakończony trzema ostrzami, który nazywał się trójzębem; Minerwę zaś przedstawiano w kształcie dziewicy z szyszką na głowie, trzymającą w jednej ręce włócznię, a w drugiej tarczę.

zaś, pogrążywszy w ziemię swą włócznie, wydała z niej drzewo oliwne, kwiatem i owocem uwieńczone. Bogini pozyskała wszystkie głosy niebieskiego areopagu*), a, na znak zwycięstwa, bogowie ofiarowali jój koronę z gałązek oliwnego drzewa, które odtąd stało się symbolem**) pokoju.

Szymon Pisulewski. 1845 r.

6. N a r c y z.

Prawie wszystkie gatunki narcyza rosną na starym łądzie, a szczególnież zdobią brzegi morza Śródziemnego. Nazwisko téj rośliny wzięte jest, jak się zdaje, od zwieszonych ku ziemi kwiatów, które przypominają mitologicznego Narcyza, przeglądającego się w wodzie. Ten Narcyz był synem Cefiza i Liryjopy. Wieszczek przepowiedział rodzicom śmierć syna, skoro tenże ujrzy swój obraz. Nie było wtedy ani zwierciadeł, ani szkieł, lecz wypolerowane kamienie i metale odbijają także przedmioty. Wypadło więc usunąć Narcyza z miejsc, w którychby mu jakiegokolwiek wygładzone rzeczy mogły pokazać jego obraz. Umieszczono go zatem wśród lasów i wychowania jego zupełnie zaniedbano. Tak rósł z umysłem uspijonym, tylko fizyczne ćwiczenia wzmacniały jego ciało. Raz jednak w gęstym trawniku, ocienionym drzewami, których liście, tamując lekko przejście promieni słonecznych, nie pozbawiały go zupełnie światła, ukazały się oczom Narcyza przezroczyste wody pięknego strumienia, sączącego się po drobnych kamykach, dno jego pokrywających. Strudzony długiém polowaniem, schyla się Narcyz, składając ręce, i chce w nim ugasić pragnienie. Pochylony, widzi nowy obraz i w nim odbitą całą świeżość, całe wdzięki młodzieńczego wieku i oczy iskrzące, lecz nie wzruszone, ciekawie wpatrujące się w kryształ wody. Głowa jego pozostała schyloną, ręce — zwieszonemi. Narcyz

*) Sądu. **) Znamieniem, czyli godłem.

już nie żyje, a w miejscu jego wznosi się kwiat tegoż imienia. Tak więc bogowie dokonali metamorfozy *) młodego strzelca.

Mimo okazałość kwiatu, narcyz ma w sobie coś melancholicznego i dla tego starożytni uważali go za godło wiecznego snu i między kwiaty pogrzebowe policzyli; poświęcili go bogom piekielnym, wieńczyli nim głowę nieubłaganéj Nemezys **) i skronie umarłych.

Szymon Pisulewski. 1845 r.

O. OBRAZY Z DOMOWEGO ŻYCIA POLAKÓW.

1. Obchód Kurka w Krakowie.

W Krakowie corocznie zgromadzała się szkoła strzelecka i z nią mnóstwo ciekawych na rynku. Tam wystawiano tarczę, wyobrażającą wielkiego koguta, Kurkiem zwanego. Ubić go było celem uroczystości. Król i dwór cały, panowie najmożniejsi nieraz byli temu obchodowi przytomni, a znakomita młodzież puszczała się w zawody ze strzelcami. Ubijający skrzydła, ogon i łeb Kurka, dostawali w nagrodę półmiski cynowe z wyobrażeniem tych samych szczegółów, kto zaś ostatnią szczelinę tarczy ustrzelił, ten, przy hucznych oklaskach, królem kurkowym był mianowany. Cała szkoła strzelecka i wielki orszak ludzi odprowadzał go w tryumfie z muzyką i weselem do domu. Jeden z członków niósł przed nim Kurka srebrnego, który aż do następnego roku, wraz z tytułem króla, u niego zostawał.

Król kurkowy tak wielkie, w nagrodę zręczności swojej, odbierał przywileje, iż rząd w roku 1765 wolał je zmienić na dar pieniężny, 3000 złotych Polskich wynoszący; następnie zniósł zupełnie i płacę i obyczaj, a teraz nie tylko obrząd ustał, ale i towarzystwo strzeleckie znikło.

Klem. z Tań. Hoffmanowa. 1827 r.

*) Przemiany. **) Bogini zemsty.

2. G ó r a l e.

O kilkanaście mil za Krakowem są wysokie, bardzo wysokie góry, a nazywają się Tatry. Na niektórych wierzchołkach przez cały rok śniegi leżą, takie tam zimna, bo trzeba wam wiedzieć, że im wyższa góra, to tém zimno na niej większe.

Góry te składają się z samych skał, kamieni i głazów, a mieszka na nich lud, zwany góralami, od gór. Ziemi tam urodzajnej bardzo skąpo, ledwie miejscami trzyma się na skałach, a że zima trwa długo, a wiosna późno się zaczyna, więc téż i rola rodzić nie chce, bo oprócz owsa, żadne tam ziarno nie dojrzeje. Sadzą miejscami ziemniaki, ale o pszenicy, życie, kapuscie—ani myśleć: szkoda zasiewać, bo się nie urodzi.

Naród tam mieszkający utrzymuje się jak może: jedni utrzymują dużo owiec i jak je wypędzą na górskie łąki na wiosnę, to już nie wracają, aż późną jesienią. Najstarszy pasterz zowie się *Baca*, a młodzi, co mu podlegają, jakby parobcy gospodarzowi, nazywają się *juhasy*. Siedząc tam w górach przez całe lato, sami pasterze doją owce, robią z mleka sérki owcze i potem po miastach sprzedają. Żywią się zaś serwatką i kawałkiem owsianego placka. Oj! moi ludzie, żebyście widzieli ten placek owsiany, tobyście się bardzo dziwili, jak to człowiek może jeść, bo to czarne, jak święta ziemia, jak ugryziesz, to się tak mocno zębów uchwyci, że je trudno oderwać, a pełno w tém plew i ości owsianych, aż w język kole. Przecież biędne góraliska zajądają z ochotą te placki, które idą im na zdrowie, a wyglądają dobrze i wyrastają na tęgich chłopów.

Drudzy kupują w lesie drzewo i robią z niego konewki, cebrzyki, balije, stoły, stołki, grabie, cierlice; wożą jednokonnemi wózkami na targi, sprzedają, a za utargo-

wane pieniądze kupują kapustę, lub zboże i zawożą do domu.

Inni znowu, skoro ma się ku sianozęci, zbierają się w gromady i schodzą w niziny na zarobek.

Przez całe lato od wsi do wsi wędrują i, uzbierawszy grosza, wracają do domu, aby tym zarobkiem żywić przez całą zimę żonę i dzieci.

Inni wreszcie chodzą po lasach i górach za kwiczołami i jemieluchami; łowią to ptactwo różnemi sposobami i wynoszą na targi, aby zarobić na pożywienie dla rodziny.

Górali znów, latem zbierają jagody i sprzedają w mieście, a grzyby zebrane, pourzynawszy im korzenie, suszą na sznurkach i przynoszą do Krakowa, dopomagając mężom w zarobku.

Góral nosi na nogach skórzane *krypcie*, to jest kawałki skóry surowej, rzemykami poprzywiązane do nogi, raz dla tego, że ich na buty nie stać, a drugie, że choćby i stać było, nosić butów w górach nie można, bo ciężko chodzić i łatwiej w nich ześlizgnąć się i spaść ze skały. Spodni nie noszą szerokich, tylko sukienne obcisłe, przylegające do nóg, a pod kolanem, aż do stopy, zasnurowane. Koszule mają z grubego płótna, tłustością nasmarowane, żeby się ich nic nieczystego nie chwyciło, bo nie mają czasu mężczyźni na letnich wędrownkach prać sobie bielizny. Na koszuli wisi na rzemieniu torebka, ówieczkami mosiężnymi nabijana, w której chowają sobie nóż, krzesiwo i inne rzeczy, potrzebne w drodze. Na wierzchu odziewają się guńką, jakby króciutkim płaszczem z szerokimi rękawami, kasztanową, którą na ramieniu zwieszają; na głowie mały okrągły kapeluszek.

Górale lubią tańczyć i, oprócz skrzypków i basów, mają *kobzę* lub *dudę*. Jest to skóra z kozy zdarta i zeszyta, a do niej przyprawione trzy piszczałki: jedną opiera na ramieniu i ta ma głos najgrubszy, druga wisi od dołu, a trzecią trzyma przy ustach i przebiera na nią pal-

cami. Ów zaś worek z koziej skóry, wydęty powietrzem, trzyma pod pachą i gniece z całej mocy, wypychając wiatr do piszczalek, a drudzy tymczasem, na długich nogach, wyprawiają skoki.

Ci, co do nas przychodzą garnki drutować, nie są górale tatrzańscy, ale Słowacy z Węgier i nie mówią po Polsku, ale po Słowacku; górale zaś z Tatrów mówią językiem Polskim. Między kosiarzami ich najwięcej.

1864 r.

3. Wychowanie dzieci w dawnych czasach.

Celem wychowania dziewczynki było zrobić z niej dobrą żonę i rzadną gospodynię; przy wychowaniu chłopca starano się o ukształcenie jego serca, rozwinięcie umysłu, nauczanie religii, zaszczepienie zasad sprawiedliwości.

Dziewczynki wychowywała sama matka, uczyła je czytać, szyć i pięknych obyczajów. Trzymała je zawsze przy sobie, zdaleka od czeladzi, aby się nie uczyły nieprzyzwoitych słów i nieskromnych żartów. Następnie uczyła je matki gospodarskich zatrudnień: jak prac chusty i suszyć je pięknie, jak pracować w ogrodzie, utrzymywać spiżarnię, doglądać przedziwa, nabrała, drobiu i znać się na kuchni.

W wychowaniu chłopca uważano na to, ażeby nie przyzwyczajał się do pieszczot i nie nawykał do wykwinności, lecz za młodu hartował ciało, ażeby był przyzwoitym w zachowaniu się i miał uczciwe obyczaje. Nauka na tém się zasadzała, aby umiał nie wiele, ale doskonale to wszystko, czego się uczył; ażeby żył i postępował podług tego, co wie i co poznał. Naprzód uczono chłopca religii; nauczyciel odmawiał z nim paciérz, uczył go czytać i pisać, a następnie obcych języków. Obmyśliwano stosowne książki elementarne, jakoto: elementarze we czwórzech językach: po Polsku, po Łacinie, po Włosku i po Niemiecku, rozmowy dla wprowadzenia dzieci w Łacinę, zbiory piękności

języka i t. d. Młodzieńca, już nieco rozwiniętego, uczono rano logiki i historyi, a po południu rozbiéranó z nim pisarzy Rzymskich. Po skończeniu lekcyj, młodzieniec dosiadał konika i uczył się nim kierować, jak należy. Wprawiał się na koniu w wyrabianie dzirytem, godził nim do pierścienia, lub zdéjmował wysoko gdzie zawieszoną czapkę, zabawiał się sztuką szermierską, wprawiał się w taniec, lub wygrywał na lutni.

4. Lud wiejski w Lubelskiém.

Lud wiejski w Lubelskiém ma więcéj oryginalności i przymiotów od Mazurów. Ubiór tu wprawdzie nie tak strojny; kobiety prawie zupełnie białó, a raczéj szaro się noszą, ale ubiór ten świadczy o ich pracowitości, bo zwykle, jak koszula, tak i spódnica i fartuch i parcianka*) i zawijka**) i owo na gładkim czépku owinięcie, które zawojem zowią, wszystko to jest z płótna własnéj ich roboty. Podobnyż jest i letni ubiór męczyzn; kapelusze słomiane sami sobie plotą, a na zimę używają sukna z wełny własnych owiec, któremu nawet przyrodzony kolor brunatny zostawiają. Niemal każdą chatę sad cieni; prawda, że do tego sama ziemia im sprzyja. Na polach—rozsiane grusze i jabłonie; w lasach—pełno drzew wiśniowych, trześniami zwanych. Pszczoły powszechnie hodują; lnu i konopi sięją i obrabiają wiele.

Lud ten cechuje wzajemna uczynność, smak w życiu towarzyskiém. Raz, wracając wieczorem z przechadzki, postrzegłam na małém półku, niedaleko wiejskiéj chaty, z 10 kobiet, sadzących rozsadę. „Cóż to znaczy?“ spytałam się. „To sąsiadki i kumoszki gospodyni téj chaty,“ odpowiedziano mi, „dowiedziawszy się, że ona kapustę rozsadza, przyszły jéj pomódz, bo tak wzajemnie czynić zwykły i to niemal przy każdéj robocie.“ Nieraz, w czasie żniwa, skończywszy

*) Kaftan długi za kolana. **) Szal.

pańską powinność, zbierają się parobki i dziewczki i przy świetle księżyca idą do którego z gospodarzy. Tam, razem z jego rodziną i czeladką, żną mu ochoczo zboże; trwa to zwykle późno w noc, gdyż nie odejdą, póki wszystkiego nie położą. Gdy już ostatnia garść leży na ziemi, gospodarz wyprawia im na tém samym polu ucztę: daje im piérogie z tatarczanej mąki, kaszę jęczmienną, piwa i wódki. Kto chce mieć wyobrażenie wesołości i apetytu, niech słucha, jak śpiwają i śmieją się przy téj dobrowolnej robocie; niech patrzy, z jakim zajądają smakiem. W zimie mają także miłe schadzki i zabawy. Obiérają sobie dwie lub trzy chaty, największe we wsi całej, i codzień w wieczór do tych gospodarstwa się schodzą. Tam dziewczki przędą na wyścigi, śpiwają, nowinki sobie szepcą, bajki opowiadają; tam i parobcy się schodzą: niektórzy przędą, drudzy siécie wiążą, powróśla kręcą. Tam znajomości nowe początek mają; — wesołości miara nieprzebrana. Zabawa z pracą do północy sen odgania. Ażeby gospodarstwu nie być natrętnym i na sucho nie pracować, zawsze w dniu poprzednim układają się z gospodynią, co ma gotować na jutrzejszą wieszczę, i, stosownie do tego, przynoszą miarkę kaszy, mąki, lub kartofli, kęs okraszy, szczyptę soli. Parobcy, ze swéj strony, to piwem, to wódką częstują; każdy także pęczek drzazeg i wiązkę słomy dostarczyć jest obowiązany. Przez ostatni tydzień roku, chociaż bywają schadzki, nie przędą wcale, ażeby im się, jak mówią, z końcem roku nic nie wysnuła i wszystko dobre nie skończyło. Bo już to, na nieszczęście, przesądów, zabobonów, gusek między włościanami Lubelskimi bez liku.

Klem. z Tań. Hoffmanowa. 1826 r.

5. R u s i n i.

Jako we wschodnich częściach królestwa, tak téż i we wschodniej Galicyi, po wioskach mieszkają Rusini, mówią-

cy nieco odmienną mową od włościan, w zachodniej części mieszkających. Mazury, a szczególnie też Krakowiacy, odznaczają się zuchwałością i gotowością za lada czem do bójki; Rusin jest daleko łagodniejszy i cichszy: nie lubi zaczepek ani bijatyk, ale kiedy mu kto wyrządzi krzywdę, to ją daleko dłużej pamięta od Mazura, lub Krakowiaka i rad mści się za nią. Śpiewa smutno i zwolna i na taką smutną nutę, że aż się płakać chce; a śpiewy te nazywają się szumki, lub kołomyjki. Rusini lubią bardzo przyspiewywać i tańczyć po swojemu, to też przy każdej uroczystości, nie tylko jak u nas na weselach, ale przy chrzcinach, zarękowinach i odpustach tańczą kołomyjki i śpiewają.

Rusini są uboższymi od włościan na zachodzie mieszkających, a to głównie dlatego, że ziemie ruskie były wystawione na ciągłe rabunki tatarskie i wojenne zniszczenia. Co rok poganie uprowadzali ztąd mnóstwo narodu: niewiast, parobków, dziewcząt i dziewic i, zamieniając ich w niewolników swoich, wyludniali wsie ruskie. Większą część roku, Rusin, chroniąc się przed napaścią tatarską, siedział w leśnych kryjówkach albo chował się w polach i stepach i tym jedynie sposobem unikał sromotnej niewoli. Dlatego też do dzisiejszego dnia podźwignąć się nie może z niedoli. Przypięm i inne były przyczyny niedoli i biedy ruskiego włościanina; z jednej strony trapiła go pańszczyzna, której przecież, dzięki Bogu Najwyższemu, dzisiaj już nie odrabia; z drugiej znowu gorzałka; trzeba bowiem wiedzieć, że Rusini bardzo wielką mają skłonność do téj trucizny, a między niemi znajduje się wielu takich, coby wszystko wywlekli z chałupy i przepili w karczmie. Nadto Rusini są trochę leniwi do pracy i nie biorą się do niej ostro, jak Mazury lub Krakowiacy, ale powolnie i leniwo, więc im też nie idzie robota ogniście i prawie dwa razy tyle czasu potrzebują na odrobienie tejże, co tamci, pracy. Nie odmówił im Pan Bóg krzepkości i siły, ale długie nieszczę-

ścia i pociąg do wódki nieco upośledziły ten piękny i pocciwy lud. Pobożność ich wielka: pieśni w cerkwiach śpiewają pięknie i modlą się rzewnie a gorąco.

1864 r.

V. GEOGRAFIIA.

1. Kościół Panny Maryi w Krakowie.

Któż nie słyshał o wspaniałym kościele Panny Maryi w Krakowie i o wysokiej wieży Maryjackiej? Wszędzie u nas krąży przysłowie: „Wysoki, jak wieża Maryjacka.“ W żadnej ze świątyń w całej Polsce niema tak pięknego i tak nieocenionego ołtarza, jakim jest wielki ołtarz Panny Maryi. Mówią, że nawet w całym świecie niema drugiego takiego. Ołtarz ten jest dziełem Krakowianina, znanego szeroko i daleko rzeźbiarza, Wita Stwosza, który żył przed 300 laty. Najpiękniejszą także gotycką budową jest kościół Panny Maryi. Również w całej Polsce nie ma być tak pięknych malowań na szkle, jakimi słyną okna w tymże kościele. A co do wspaniałości wewnątrz, tylko katedrze Krakowskiej pierwsze miejsce ustąpić musi.

Kościół Panny Maryi, zbudowany z wielką doskonałością, z nadzwyczaj trwałego materiału, jest pobożnym dziełem biskupa Krakowskiego, Iwona Odrowąża. Fundował ją w roku 1226, a przecież budowa trwa nienaruszenie, dzielnie opierając się zębowi czasu.

O kościele tym powiedział poeta:

W jego sklepie oko ginie, za myślą poleci,

Aż tam, gdzie w skroniach Maryi gwiazd dwanaście święci.

Budowa téj ogromnej i wspaniałej świątyni trwała długi przeciąg czasu. Po biskupie Odrowążu wielu jeszcze znaczne summy łożyło na jój wykończenie. Tak, Wierzy-

nek, ów bogaty mieszczanin Krakowski za Kazimierza Wielkiego, wymurował tę część kościoła, gdzie stoi wielki ołtarz. Jeszcze w roku 1394 obciosywano głązy na sklepienie, a dopiero w roku 1397 sklepienie to malowano.

Kościół ten, pokryty miedzią, zdobią dwie wysokie wieże: jedna wyższa, druga niższa. Na niższej znajduje się podziśdzien pięć dzwonów, z których największy wyniósł samotrzeć na wieżę Stanisław Ciołek, wojewodzie Mazowiecki, o którym powiadają, iż był tak silny, że gdy drzewo ścisnął, to woda z niego ciekła. Na wyższej — znajduje się dzwon zegarowy, a każdą godzinę na wszystkie cztery strony świata otrąbują. Tam także, jako w miejscu bardzo wysokiem, dzień i noc znajduje się strażnik, który wciąż upatruje, czy jakie złe miastu nie zagraża, a, w razie niebezpieczeństwa, daje o niem znać mieszkańcom wołaniem przez tubę i biciem w dzwon, zwany gwałtownym, albo alarmowym. Z wieży téj jest wspaniały widok na Kraków i piękne jego okolice, ciągnące się aż do Karpat.

Ewaryst Estkowski.

2. Plantacyje w Krakowie.

Jeszcze niedawno Kraków opasany był wysokim murem z basztami (pięć bram go zamykało), ale to opasanie lubo piękne, szacowne i starożytne, jednak w wielu miejscach zniszczone i upadkiem grożące, już nie od nieprzyjaciół, tylko od świeżego powietrza Kraków zasłaniało. Musiano więc je zrzucić; została na pamiątkę Floryjańska brama i kawał muru z basztami. Na rozwalinach tych dawnych murów, w miejscach błotnistych, nieczystych, niezdrowych, porobione zostały przechadzki przyjemne, plantacyjami zwane, które teraz Kraków, jakby ogrodem, opasują. Tam co dzień, osobliwie w święta, zgromadza się cała ludność Krakowa. Kto plantacyje obejdzie, cały prawie Kraków okraży. Sposób sadzenia drzew na nich bardzo mi się podobał: są przeplatane kasztany z akacyjami.

Klem. z Tań. Hoffmanowa. 1827 r.

3. Syberya, jój klimat i płody.

Syberya ciągnie się wzdłuż całej Azji północnej; przerzyna ją mnóstwo rzek, z których najznacniejsze są: Ob', Jenisej, Lena i Amur. Kraj ten dzieli się na dwie nierówne części. Jedna z nich nazywa się Syberyją Zachodnią, do której należą dwie gubernije: Tobolska i Tomska i ziemie koczujących Kirgizów; główne miasto Tobolsk leży nad rzeką Irtyszem, wpadającą do Obi. Druga część nazywa się Syberyją Wschodnią, do której należą dwie gubernije i trzy obwody. Z tych najurodzajniejszą i najzdrowszą jest gubernija Irkucka. Inne części Syberyi, jakkolwiek ze zdrowym klimatem, są bardzo zimne; lato w nich, nader krótkie, trwa ledwo parę miesięcy; przez resztę roku śnieg zaściela ziemię, a mieszkańcy, nie mogąc chodzić koło roli, zajmują się handlem, myśliwstwem lub pracują w zakładach górniczych. Mało tam paszy dla koni, co wyrodziło potrzebę wynalezienia innego sposobu odbywania podróży. Chcąc jechać w drogę, mieszkańcy zaprzęgają do sanek wyuczone psy i te ciągną wozy pocztowe, przebiegając szybko od stacyi do stacyi.

J. P.

4. O morzach oblęwających Rosyję i rzekach w nie wpadających.

Siedem mórz otacza Rosyję: Ocean Północny, czyli Lodowaty i ocean Wschodni, czyli Wielki, morze Białe, Kaspijskie, Czarne, Azowskie i Bałtyckie. Niezliczone mnóstwo rzek przerzyna kraj w różnych kierunkach, a rzeki znaczniejsze, połączone z sobą kanałami, ułatwiają przewóz żywności i towarów z południa na północ, ze wschodu na zachód. Wisła, przerzynająca Królestwo Polskie, płynie od południa ku północy: zaczyna się w górach Karpackich, a wpada do morza Bałtyckiego. Gdyby nie prze-

wóz przez kraj obcy, to jest Królestwo Pruskie, w granicach którego Wisła do morza się wlewa, byłaby to najdogodniejsza droga komunikacyjna wodna, między miastami nadwiślańskimi, Warszawą, Płockiem i t. d., a miastami nad samem morzem Bałtyckiem, lub blisko niego leżącemi w Cesarstwie Rosyjskiem, a mianowicie: między Rewlem, Rygą, Petersburgiem. Statek parowy, idąc od Warszawy, potrzebuje dwóch dni czasu, żeby dopłynąć do Gdańska nad Bałtykiem, a ztamtąd, we dwa, najdalej trzy dni, już stanąć może w Petersburgu i to bez względu, mniejszy czy większy ciężar dźwiga na sobie. Wisłą też możemy dopłynąć i do innych miast, nad drugą wielką rzeką leżących, naprzykład do Grodna, do Kowna nad Niemnem. Bo Wisła łączy się z Niemnem, uchodzącym także do morza Bałtyckiego, za pomocą rzek pomniejszych, które do nich swe wody wlewają, i za pomocą kanału Augustowskiego, przekopanego jedynie w celu udogodnienia przewozu towarów, szczególniej zaś zboża i materjału leśnego. Jadąc z Warszawy drogą lądową do różnych miast Cesarstwa, musimy przebywać większe i mniejsze rzeki, nad któremi leżą miasta ważne, czy to pod względem handlowym, czy administracyjnym, czy wojennym. Gdybyśmy naprzykład chcieli jechać do stolicy Cesarstwa (do Petersburga) musielibyśmy przejeżdżać przez Niemen pod Kownem. Niemen, rzeka spławna przez kilka miesięcy wiosennych i jesiennych, w lecie niekiedy w różnych miejscach jest tak mialką, z powodu nagromadzających się piasków, że ledwo ma kilka cali głębokości, co, w czasie wielkiej posuchy, wstrzymuje przewóz tą drogą towarów do morza Bałtyckiego. O 6 mil za Kownem przebywamy inną rzekę, Wiliję, która pod Kownem do Niemna wpada. Nad Wiliją, ku południowi, leży miasto Wilno.

Jadąc dalej, pod Dynaburgiem przejeżdżamy przez Dźwinę Zachodnią, nazwaną tak, dla różnicy od Północ-

nój, wpadającój do morza Białego. Nad Dźwiną Zachodnią leżą dwa miasta gubernijalne: Witebsk i Ryga. Za Dźwiną, aż do Petersburga, większych rzek niema. Petersburg, stolica Cesarzów Rosyjskich, założony w r. 1703 przez Piotra Wielkiego, liczy obecnie do pół milijona mieszkańców. Jest to miasto jedno z najpiękniejszych w Europie.

Drogę od Warszawy do Petersburga możemy przebywać lub wodą lub po drodze bitėj czyli szosie, a także i koleją żelazną. Wsiadłszy do wagonu czyli dużego wozu, pojedziemy przez Grodno, Wilno, Dynaburg, Psków, do Petersburga. A ztamtąd kolėj żelazna prowadzi do Moskwy, dawnėj stolicy Wielkich książąt i Carów Ruskich, miasta rozległego i mającego ludności przeszło 300 tysięcy mieszkańców. Z Moskwy gdybyśmy chcieli drogą bitą czyli szosą wracać do Warszawy, musielibyśmy przebywać rzekę Dniepr, która płynie z północy na południe i wpada do morza Czarnego. Nad tą rzeką leżą miasta gubernijalne: Smoleńsk, Mohilew, Kijów, Jekaterynosław i Cherson. Kijów był niegdyś stolicą całej Rusi; należy do miejsc świętych Rosyi, dokąd corocznie ze wszystkich stron państwa udają się pobożni pielgrzymi, dla uczczenia świętych Patronów, których zwłoki w pieczarach, czyli podziemiach klasztoru Pieczerskiego spoczywają. Cherson leży u samego ujścia Dniepru do morza. Prócz Dniepru przebywamy po drodze z Moskwy do Warszawy jednę tylko większą rzekę, Niemen, a, przejechawszy przez Bug, już jesteśmy w Królestwie Polskiem.

Wprost z Petersburga jadąc na wschód, omijamy dwa wielkie, największe nawet w Europie jeziora Ładogę i Onegę, z których pierwsze szczególniej morzem nazwać by można. Z Ładogi to wypływa rzeka Newa, nad którą leży Petersburg.

Dalėj przebywamy wielką rzekę, Dźwinę Północną, wpadającą do morza Białego, które jest częścią oceanu Pół-

nocnego czyli Lodowatego. Nad Dźwiną, u samego jój ujścia do morza, leży miasto Archangielsk, ważne pod względem handlowym.

Jadąc do gór Uralskich z Moskwy, przebywamy największą w Rosyi Europejskiej rzekę, Wołgę, która przeszło 3 tysiące wiorst płynie od zachodu i północy na wschód ku południowi, a wpada do morza Kaspijskiego. Przepływa ona dziewięć gubernij, a po drodze przyjmuje do siebie mnóstwo rzek, z których najważniejsze są: Oka i Kama.

Dziewięć miast gubernijalnych leży nad Wołgą, a z tych najważniejsze są: Niżny Nowogród, słynny swym jarmarkiem, na który zjeżdżają się kupcy z różnych stron świata, Kazań, który był przed trzystu laty stolicą Cesarstwa Kazańskiego, i Astrachań, niedaleko ujść Wołgi do morza Kaspijskiego, niegdyś stolica Cesarstwa Astrachańskiego.

Z Kijowa jadąc do gór Kaukaskich, przebywamy rzekę Don, wpadającą do morza Azowskiego. Morze to jest częścią morza Czarnego, z którem się łączy cieśniną Kerczką.

J. Papłoński.

5. Miasta Polskie w XVI wieku.

Prócz Krakowa, miasta Polskie nie były bardzo ludne i nad 20,000 mieszkańców nie liczyły. Niektóre z nich jednakże były bardzo piękne; miały kamienice o trzech i czterech piętrach, ale wąskie, zwykle na trzy tylko lub cztery okna, wspaniałe ratusze, a nade wszystko kościoły okazałe z wysokimi wieżami. Wokoło szedł mur, naprzód niższy, od pola, lub przedmieść; za nim—kanał, wodą zalany, i dopiero mur wyższy z wieżami fortocznemi po rogach i bramach.

Miasta Polski murowane, utwierdzone i z zamkami murowanemi były: Kraków, Sandomierz, Lublin, Krasnystaw,

Poznań, Konin, Płock, Warszawa, Pułtusk, Lwów, Przemyśl, Krosno i Kamieniec.

Miasta koronne, w drzewo budowane, nie dochodziły nigdy ludności 10,000. Miasta, przyczepione do miast murowanych, czyli, mówiąc właściwie, przedmieścia, wszędzie były drewniane, słomą pokryte, bez bruków i nędzne. Przy mieście drewnianem znalazł się czasem zamek murowany, albo je też mur wkoło opasywał, lecz najpospolicij całą warownię stanowiły: wielki rów, ostrokół dębowy i wał.

Wszystkie miasta przewyższał Kraków. Miał zamek królewski z kościołem katedralnym, mury naokół wzniosłe, a kościołów i gmachów wspaniałych, kamienic misternie budowanych, wież i wszelkich ozdób moc wielką. Wkoło rozciągały się znaczne sady i ogrody, wiele stawów i sadzawek rybnych. Kaźmirz i Kleparz, miasta, a Stradom, wieś, były przedmieściami Krakowa.

Za Krakowem w drugim rzędzie stał Poznań, murowany, z podwójnym murem i kanałem wokół, wieloma wieżami fortecznymi, ale w bardzo małej przestrzeni. Główne miasto nie liczyło nad 15,000, a z innemi przybudowanemi miastami i przedmieściami może drugie tyle mieszkańców.

Przedmieścia Poznańskie, jak i innych większych miast Polskich, były drewniane z chatkami, nieregularnie budowane, bez bruków i do wsi całkiem podobne, a mieszkali na nich rzemieślnicy partacze i lud najuboższy.

Przedmieścia, jako nieobwarowane, cierpiały wiele podczas wojen i bezkrólewí, a Lwowskie razporaz palili Tatarzy.

Jędrzej Moraczewski.

6. D u b i e c k o.

Dubiecko jestto małe miasteczko, położone na wysokim brzegowisku nad Sanem, w ziemi Sanockiej, w dawném województwie Ruskiem, w prześlicznej okolicy górskiej. Z ciasnego skalistego wyłomu, w którym San prze-

rzyna pasmo gór, zwane Słonném, wychodzi tu on na rozległe błonia, w dolinę podłużną, i, przewijając się srebrną wstęgą, odkrywa rozległe widoki. Cały krajobraz leży w ostępie szumiących lasów, któremi porosły góry, a urodzajność błonia, świeża zieloność łąk, szum wody, gra mgły, stroją dziwnym urokiem ten kraj. Najkorzystniej przedstawia się ta okolica z wyniosłego brzegowiska zamkowego dziedzińca, u którego stóp San węzem się zwinął.

Od kilku wieków jest Dubiecko gniazdem ojczystém rodziny Krasickich i w zamczku nad Sanem urodził się Ignacy Krasicki dnia 2 Lutego 1734 roku.

Wincenty Pol. 1852 r.

7. Upiększenie Warszawy.

ZA STANISŁAWA AUGUSTA.

Wiadomo wszystkim, co Poniatowski zrobił dla ozdoby Warszawy i jakimi publicznymi budowlami podniósł ją do znakomitszych miast w Europie. Długo byłoby wyliczać pałace i domy osób prywatnych, powstałe za jego czasów, a nawet całe ulice, nowo zabudowane; wspomnimy więc tylko o gmachach i zakładach publicznych. Zaraz w samém rozpoczęciu rządów tego króla, w dawniej rezydencji Jana Kazimierza na Krakowskiem-Przedmieściu urządzono koszary dla kadetów i odnowiono opuszczony pałac. Zamek, w zaniedbaniu i prawie w ruderach zostawiony przez Augusta II, zaczynający się podnosić za jego syna, przyszedł do zupełnego urządzenia i wspaniałości królewskiej staraniem Stanisława Augusta. Znakomici malarze: Smuglewicz, Bacciarelli i Canaletti pięknymi dziełami pędzla swojego ozdobili sale i komnaty tego gmachu. Tuż przy nim stanął pałac *pod blachą*, przez Lubomirskich zbudowany. Sam król dom swój, gdzie ojciec jego mieszkał, przy ulicy Bielańskiej, obrócił na mennicę. Na Podwalu urządzona została ludwisarnia, własnym kosztem króla, jeszcze przed 1780 rokiem.

Nie wzniesiono wprawdzie pod tém panowaniem żadnej nowej świątyni w Warszawie dla obrządku Rzymsko-Katolickiego, król jednak swoim nakładem wystawił obszerny klasztor dla Sakramentek na Nowém-Mieście, a książę Karol Radziwiłł w roku 1782 przyozdobił kościół Karmelitów na Krakowskiém-Przedmieściu bardzo piękną wystawą. Inne wyznania pobudowały sobie w téj epoce przyzwoite domy modlitwy. W roku 1771 na Lesznie z prywatnego domu zrobiono kaplicę Reformowaną, w roku zaś 1781 stanął piękny kościół Ewangelicki przy ulicy Królewskiej, nakoniec metropolita unicki, Smogorzewski, roku 1780 wybudował ze swoich funduszków kościół i klasztor Bazyliński przy ulicy Miodowej. Koszary obszerne i pięknej budowy są także znakomitým dziełem Stanisława Augusta. Król ów, prócz tych budowli jest założycielem teatru Polskiego w stolicy.

Do wspanialszych budowli, jakie za tego króla ozdobiły Warszawę, słusznie policzyć wypada: pałac książąt Jabłonowskich przy ulicy Senatorskiej, pałac biskupów Krakowskich, dawny pałac Prymasowski na nowo podźwignięty, prócz bardzo wielu innych. Za panowania Stanisława Augusta pomnożyły się drukarnie w Warszawie: Micler, Grell i Dufour ciągle wybijali dzieła ówczesnych pisarzy. Miasto w roku 1791, do wielkiej zamożności przyszedłszy, już 100,000 ludności miało.

Michał Baliński i Tymoteusz Lipiński. 1844 r.

8. K a z i m i é r z.

Kazimierz, siedem mil od Lublina, leży nad Wisłą, w przyjemnej dolinie, otoczonej wysokimi i rozmaitem drzewem porośłymi górami. To miasto ma 3 kościoły; między niemi przodkuje Farny pod górą zamkową, przez Kazimierza Wielkiego zbudowany, a przez Henryka Firleja odnowiony.

Rynek obudowany jest starożytnymi kamiennymi domami; niektóre z nich wiele wieków liczą. Ogromny spustoszały zamek z wysoką wieżą okrągłą był dziełem i ulubionem mieszkaniem wielkiego króla. Mnóstwo było śpichrzy, teraz w większej części w gruzach. Z góry zamkowej spostrzega się przyjemna okolica, upiękuszona widokiem Puław i Janowca.

Miasto to, dla ułatwienia handlu zbożowego, założył Kazimierz Wielki. Jakoż handel ów w następnych wiekach Jagiellońskich kwitnął tu znacznie: kupcy z Gdańska, Elbląga, Torunia, a nawet zagraniczni, po zboże tu przybywali; są nawet wiary godne świadectwa, że kupcy Angielscy mieli tu swoje kantory.

Tomasz Świącki. 1816 r.

9. Radecznicza.

W powiecie Krasnostawskim, w dziwnie pięknym położeniu, leży wieś Radecznicza, należąca do ordynacyi Zamojskiej. Na górze, w żyznej okolicy, pośród pięknej dąbrowy, wznosi się kościół z klasztorem księży Bernardynów, do którego się wstępuje po kilkudziesięciu wschodach krytych. Przysionek, na kolumnach wsparty, ozdabia kościół, w którym znajduje się obraz świętego Antoniego Padewskiego, cudami słynący. Na wysepce, pośród stawu, jest kaplica, gdzie przy źródle miał się okazywać cudownie święty Antoni.

Michał Baliński i Tymoteusz Lipiński. 1844 r.

10. Górnictwo krajowe.

Ojciec. Całe górnictwo Polskie jest podzielone na 3 okręgi, czyli oddziały: okrąg Wschodni, oddział Dąbrowa i oddział Panki; z tych dwa pierwsze—w gubernii Radomskiej, a trzeci—w Warszawskiej. Tamto znajdują się różne zakłady górnicze do przerabiania płodów kruszcowych i ziemnych.

Jaś. Czy w naszych kopalniach znajduje się srebro?

Ojciec. Znajduje się, ale w tak małej ilości, że nie wróciłyby się koszta,łożone na budowanie i przerabianie rudy. Dawniej słynęło srebro z kopalń Olkuskich, ale po części je wyczerpano, a po części kopalnie te, przez zalów wody, wojny i niegospodarność zaniedbane zostały.

Jaś. Ale miedzi to musi być u nas dosyć, kiedy jest tyle trzygroszniaków, na których napisano: „3 grosze z miedzi krajowej.“

Ojciec. Zapewne; więcej, niż srebra, ale zawsze mało. Pod Miedzianą-górami, około Kielc, wydobyto dosyć miedzi od roku 1816 do 1826, potem jednak zarzucono, bo się przekonano, że koszta przewyższają dochody.

Jaś. Więc jakichże metali dostarczają nam kopalnie?

Ojciec. Głównie rudy żelaznej, z której się przerabia żelazo, i galmanu, który po oczyszczeniu daje cynk. Najważniejsze rudy żelazne mamy w Miedzianej-górze, w Dąbrowie pod Kielcami, w lasach Sandomińskich, w Dalejowie, Smykowie, w kilku kopalniach nad rzeką Kamionną, dalej około Iłży, Górnik, Starachowic. W ogóle zakładów do wydobywania rudy i przerabiania żelaza jest 464, w których przerabia się żelaza na 10 milionów złotych rocznie, miedzi zaś wydobywa się na 700 tysięcy.

Jaś. Wiem, jak jest użytecznym żelazo, ale cynk do czego się używa?

Ojciec. Cynk głównie używa się do pokrywania dachów, a z cynku naszego korzysta nie tylko nasz kraj, ale i inne państwa Europy.

Jaś. Gdzież są u nas główne kopalnie cynku?

Ojciec. Cynk czysty nigdzie się nie znajduje, lecz w postaci rudy, zwaną galmanem. Najznacniejsza masa galmanu znajduje się w okolicach Olkusza, Sławkowa, Czeladzi i Siewierza, wszystko na południowej granicy, niedaleko od Krakowa. Ten galman tłuką i mielą, potem w hutach cyn-

kowych wytapiają na metal, a w walcowniach wyrabiają blachy do pokrywania dachów. Walcownia taka znajduje się w Sławkowie pod Olkuszem.

Jaś. I dużo téż u nas wyrabiają cynku?

Ojciec. Rocznie na 8-kroć sto tysięcy złotych.

Jaś. A węgiel kamienny czy także się w kopalniach dobywa?

Ojciec. Także. Najważniejsze kopalnie węgla są: Reden w Dąbrowie i Ksawery pod Bendzinem w powiecie Olkuskim.

Jaś. A gdzie są u nas łomy marmurów, o których tata wspominał.

Ojciec. Pod Chęcunami, w bliskości Kielc, są największe i najpiękniejsze; wyrabiają tam różne przedmioty z marmuru: pomniki, stoły, wazy, i do Warszawy je przywożą.

Jaś. Czy to ztamtąd ta waza pochodzi, co to u nas na stole stoi, bo tata mówił, że ona z marmuru Chęcińskiego.

Ojciec. Ztamtąd właśnie; Chęciny leżą pomiędzy dwiema marmurowymi górami, obfitującymi w piękne kamienie, w kruszce ołowiu i różne farby. W tych górach urządzane były dawniej kopalnie, z których znaczne bogactwa wydobywano. Dziś te kopalnie są nieczynne; nawet z pięknych marmurów Chęcińskich bardzo mało u nas korzystają.

Jaś. Czy prócz waz można jeszcze co wyrabiać z marmuru?

Ojciec. O! wiele i bardzo wiele pięknych rzeczy, jużto służących do ozdoby, jużto dla ich trwałości i czystości, jakoto: stoły, schody, posadzki, pomniki, grobowce, ozdoby w kościołach.

Jaś. A to czemuż nie wyrabiają u nas tych przedmiotów?

Ojciec. Czemu? Smutno mi, mój synu, na to odpowiadać, bo trzeba o to obwiniać nas wszystkich, żeśmy o własne dobro niedbali; że nie umiemy cenić tych darów, którymi Stwórca tak hojnie nas obdzielił; że kochamy się

więcej w rzeczach obcych, które cudzoziemcy do nas przywożą, niż we własnych, których taką obfitość mamy u siebie pod ręką.) —

Jan Papłowski. 1858 r.

VI. HISTORYJA NATURALNA.

A. OBRAZY I OPISANIA.

1. Człowiek i ziemia.

Z początku ludzie nie rychło zaczęli puszczać się na dalekie podróże po lądzie i po morzu i poznawać różne dalsze kraje; dziś jednak powoli do tego przyszedli, że całą prawie ziemię zwędrowali, przemierzili, narysowali sobie dla pamięci na papierze i przekonali się, że jest tak wielką, iż, chcąc ją całą wokoło objechać, jadąc ciągle po ziemi i po wodach, a robiąc 10 mil na każdą dobę, potrzebaby jechać bez mała 18 miesięcy, czyli półtora roku, nimby się na swoje miejsce wróciło.

Taka to jest wielka ta ziemia nasza, na której nam Pan Bóg dał mieszkać. Ludzie po niej, jako robaczki drobne, pełzają, a najwyższe góry, które nam się ogromnemi wydają, tyle znaczą na niej, co chropowatości na łupince od jaja.

Od owego czasu, jak Pan Bóg ziemię stworzył, ile to tysięcy lat przeszło! ile ludzkich pokoleń pomarło, których i prochy już nie zostały! Cóż dopiero przymierzyć i tę ziemię całą do gwiazd i słońca, i życie człowieka do tych lat tysięcy i tę małość naszą do wszechmocności Bożej!

Człowiek, rozmyślając o tém, musi się stać lepszym i pokorniejszym, bo czuje się tylko drobnym pyłkiem, a dusza w nim, dar Boży, sama jedna coś warta.

Józef Ignacy Kraszewski. 1862 r.

2. S ł o ŋ c e.

Słońce, pomimo tego, że świeci i ogrzewa, nie jest bynajmniej ogniskiem, ani się też nic na niem nie pali. Jestto także bryła w postaci kuli, podobna do ziemi naszej, tylko nierównie ogromniejsza.

Światło słoneczne jest niezmiernie silne i, jak wiadomo, wzrok ludzki blasku jego znieść nie może. Chcąc dać wyobrażenie o sile tego światła, dość powiedzieć, że, kiedy najogromniejszy pożar, w odległości trzech, lub czterech mil, słabém patrzącemu wydaje się światelkiem, to wzrok ludzki znieść nie może widoku słońca, odległego na 20 milionów mil od ziemi.

Ogrom słońca jest taki, że z jednej kuli słonecznej można by zrobić blisko półtora miliona kul, tak wielkich, jak ziemia.

Władysław Ludwik Anczyc. 1862 r.

3. K s i ę ż y c.

Księżyc podobnie, jak ziemia i słońce, jest kulą, ale różni się tém od słońca, że, chociaż świeci, nie ma własnego światła i tylko odbija promienie słoneczne.

Jak to być może, żeby rzecz jaka, nie mając światła, wydała jasność? Odpowiedź na to bardzo łatwa. Spójrzmy na rzekę lub staw, gdy się znajduje między nami a słońcem, a zobaczymy, że powierzchnia wody, odbijając światło słoneczne, wydaje taki blask, iż go trudno znieść oku. Otóż i księżyc podobnie, jak woda, odbija promienie słoneczne i świeci, chociaż własnego nie posiada światła.

Odległość księżyca od ziemi wynosi 50 tysięcy mil, a gdyby ziemię łączyła z księżycem droga, np. kolój żelazna, toby na jój odbycie potrzebował człowiek 521 dni, jadąc dzień i noc po 4 mile na godzinę.

Władysław Ludwik Anczyc. 1862 r.

4. Burza w lecie.

Na gorącym, jasnym niebie pokazuje się chmurka; im więcej się przybliża, tym większą, gęstszą i ciemniejszą się staje. Już całe niebo—ciężkimi chmurami pokryte, jakby grubemi kłębami dymu; w powietrzu parno, jak w piecu. Nagle zrywa się wiatr, szum i wichler, porywa zboże z garści, piasek pod obłoki unosi. Przerażone bydło uchodzi do zagród; gęsi gęgają; polne ptaszki piszczą żałośnie, szukają schronienia przed burzą; jaskółki szybują w powietrzu pod chmurami, lub skrzydełkami muszczą wodę. Wiatr coraz potężniej się sroży, rwie słomę z dachów, nagina drzewa, odłamuje gałęzie. W chmurach szumi i wre, jakby w kotle. Zabłysło, zagrzmiało, rozrywają się chmury, lunął dészcz kroplisty. Migają się na krzyż błyskawice, jak wstęgi ogniste; zdaje się czasem, że Bóg, skinieniem swém, ciemności rozprasza i niebo otwiera. Długimi smugami leje się woda z obłoków na ziemię, jakby niebo ziemię zalać chciało; gwałtowna uléwa napełnia rowy, zaléwa pola i łąki; woda wezbrana rozrywa zagony, zabiera zboża i siana. Ognie niebieskie—coraz gęstsze; grzmoty—coraz przeraźliwsze. Czasem nagle błysnie i huknie, jakby się niebo rozpekło; wypada piorun z chmur i z ogromnym łoskotem wpada w wodę, lub rozłupuje wysokie drzewo od wiérzchołka do ziemi i w jednéj chwili obcina gałęzie. Ludzie nieczystego sumienia drżą ze strachu; cnotliwi—są spokojni, a podziwiają potęgę Stwórcy.

Wylały się nakoniec wody z chmur na spragnioną ziemię; ucichły grzmoty; ustały błyskawice; chmury się rozchodzą; ukazuje się błękitne niebo; jasne słońce rzuca znowu ciepłe promienie na odświeżoną ziemię. Młode kłosy jęczmienia i kiście owsa, obciążone kroplami perlistemi, chylą się ku ziemi; roślinki główki podnoszą; łąki i drzewa, obmyte z kurzu, niby w nowych, strojnych, ukazują się

szatach. Skowronki ku niebu wzlatują i śpiwają; muszki brzęczą, a komary igrają w miłym powietrzu.

Ewaryst Estkowski. 1862 r.

5. Huragan.

Wiatr wieje z rozmałą mocą. W południowych krajach ryczą gwałtowne huragany, o których my wyobrażenia nie mamy. Gdy się nagle zerwie taki straszliwy huragan, wtedy, kto może, chroni się do jaskiń i piwnic, aby nie był porwany od burzy i zgruchotany. Wtedy to walą się domy, lecą w powietrzu drzewa, wyrwane z korzeniami, i ogromne kamienie; huragan wyrzuca na brzegi ogromne okręty; giną polne zasiewy; sady, lasy i okolica cała zamienia się prawie w pustynię.

I cóż ztąd, że kraje tamte mają prawie nieustanną wiosnę, najpiękniejsze kwiaty i najslodsze owoce; że drzewa rosną do ogromnej wysokości, a ziemia nie potrzebuje molołnej uprawy, ale, załedwie poruszona, już bujne plony wydaje, stokrotnie ziarno powraca! Pięknie tam i miło, ale przyjdzie okropny huragan i w jednej chwili niszczy wszystko i tysiące ludzi zabija.

Jakże więc dziękować powinniśmy Bogu, że kraj nasz nie jest na tak straszliwe klęski wystawiony! Niczem jest obfitość bogatych krajów południowych w porównaniu do naszej spokojnej mierności, a jeśli tam zapłynie który z naszych rodaków, to, widząc skwary i burze, zniszczenia i klęski, tym bardziej tęskni do swej rodzinnej ziemi, tym bardziej kocha jej chmurne niebo.

Władysław Ludwik Anczyk. 1862 r.

6. Mgła i dęszcz.

Na całej ziemi jest daleko więcej morza, niżeli gruntu stałego. Gdy słońce przypiecze na te ogromne przestrzenie

morskie, wody naturalnie parować muszą, a para ta, jak z garnka, kiedy się w nim zagotuje, idzie do góry.

Z tych oparów nad ziemią tworzą się chmury i obłoki, a gdy je wiatr uniesie do góry, gdzie jest chłodniej, para, stygnąc, zamienia się w krople i opada deszczem, lub osiada mgłą na ziemi. Takimto sposobem Pan Bóg ciągle żywi łąki i pola, z których lecące strumienie i potoki zbierają się w rzeki, płynące do morza.

Tak to, co z morza wyparowało, powraca do niego, zwilżywszy pola, aby znowu parowało i spadało na ziemię dla jój użyźnienia.

Józef Ignacy Kraszewski. 1862 r.

7. O ciele zwierząt.

Ciało zwierzęce rozłożyć można na trzy główne części: 1) głowę, 2) tułów i 3) członki górne (ręce) i dolne (nogi). Nie wszystkie zwierzęta mają głowę; tak np. polipy jój nie mają. Najwięcej zwierząt ma po dwie pary członków. Wieloryby mają jedną tylko parę członków, węże nie mają żadnej, owady mają ich po 3, pająki po 5, raki po 6 par, a niektóre robaki po 500 par.

Ciało zwierzęce ochrania ze wszech stron błona nieczuła, nazwana skórą. Wewnątrz jest szkielet, czyli kości, zbudowany z wielu kości. Nie wszystkie zwierzęta mają szkielet, jak np. ostrygi i ślimaki; u raków wierzchnia skóra stwardniała zastępuje miejsce szkieletu. Zwierzęta ssące, ptaki, gady i ryby mają kości, podobny do człowieczego.

Miedzy szkieletem i skórą znajdują się mięśnie (myszki), zwane pospolicie mięsem. Mięśnie te są elastyczne: kurczą się, naprężają i naginają, odpowiednio do ruchów. W ludzkim ciele liczba ich sięga do 500. Czerwoność ich brunatna pochodzi od krwi, która się w nich znajduje. Miedzy mięśniami są naczynia, rozprowadzające krew po całym ciele, zwane żyłami, także i nerwy, które są narządami czucia.

W głowie i tułowie są inne jeszcze części.

Na twarzy są jamy, do umieszczenia narzędzi zmysłów służące, mianowicie: widzenia, powonienia i smaku. Czaszkę kulistą zapełnia najważniejszy organ, zwany mózgiem, który, jakby gruby białawy sznur, spuszcza się wzdłuż pacierza i łączy z głównymi nerwami ciała. Z obu stron czaszki znajduje się nader sztuczny narząd słuchu.

Przeciąwszy żebra i otworzywszy klatkę piersiową, znajdziemy w téj jamie serce i płuca. Przegroda mięsista, zwana oponą, oddziela jamę piersiową od brzuchowej. W téj ostatniej mieszczą się kiszki, żołądek, wątroba z żółcią, śledziona i inne wnętrzności.

Organa powyższe pełnią różne czynności. Gęba, zęby, żołądek, kiszki i wątroba są narzędziami trawienia, płuca — oddychania; serce rozprowadza po wszystkich organach części odżywiające. Są jeszcze i inne narzędzia, za pomocą których oceniamy smak i zapach, słyszymy głos, dźwięk, huk, krzyk, i t. d., widzimy i poznajemy otaczające nas przedmioty, a dotykając się ich, przekonywamy się o ich różnych własnościach; za pomocą innych — przenosimy się z miejsca na miejsce i t. d.

Hipolit Witowski. 1849 r.

8. O instynkcie zwierząt.

Bóg nie dał zwierzętom rozumu, ale instynkt: nikt zwierząt nie uczy, a jednak, co rodzice umieją, to umieją także ich dzieci. Młody pajęczek wie doskonale, jak prząść siatkę, i na muchy ją zastawiać; bez nauki buduje sobie gąsiennica sztuczny grób; bez nauki buduje pszczoła cudowne komórki i plastry, w które słodycz kwiatów składa; bez nauki lepi jaskółka zgrabne gniazdko. Do tego wszystkiego prowadzi zwierzęta instynkt. Instynktem wiedzą ptaki, kiedy zima lub wiosna nadchodzi i kiedy nas opuszczać, lub do nas wracać mają. Więcej jednak człowiek umieć od

wszystkich zwierząt. Jaskółka nie potrafi sobie innego domku zbudować, jak tylko gniazdko z błota; wół nieraz na najpiękniejszy pałac patrzył, a przecież ani lichego chłewka zbudować sobie nie potrafi, człowiek zaś buduje piękne domy, zakłada śliczne ogrody i wspaniałe miasta.

Ewaryst Estkowski. 1863 r.

9. Zęb y.

Pokarmy ciekłe połykamy bezpośrednio, ale tęgę, stałą, aby je połknąć i strawić z łatwością, trzeba pierwój na drobne kawałki podzielić. Dzielenie to, nazwane żuciem, jest czynnością zębów, które, szczękami w ruch wprowadzone, ściskają, przecinają, albo rozgniatają żywność. Zęby są to małe ciała, bardzo twarde, mające wielkie podobieństwo do kości i utwierdzone w dołkach szczęk. Poduszczeni włókniste, ościelające brzegi szczęk, zowią się dziąslami. W każdym zębie dwie są części: jedna zewnętrzna, zwana koroną, druga tkwiąca w dołku, mająca jedną albo więcej odnóg, nazwana korzeniem. Nakoniec widzieć się daje często między koroną i korzeniem zwężenie, zwane szyją zęba.

Powierzchnia zębów pokryta jest pewnym rodzajem werniksu kamienistego, twardego, który glazurą nazwano. Tylko korona zębów pokryta jest glazurą, korzeń zaś nie.

Zęby powstają z małych woreczków, które zamknięte są w szczękach. Wyrastając z dołka, ząb przedziéra się przez dziąsło i występuje na zewnątrz.

Pierwsze zęby wkrótce wypadają i ustępują innym, trwałym i silniej umocowanym. Pierwsze nazywają się mlécznemi, drugie — trwałemi. Trzy są rodzaje zębów: przodkowe, kły i trzonowe. Zęby przodkowe albo siekacze, z przodu gęby, mają końce ostre, korzeń pojedynczy; służą do siekania i przecinania żywności. Kły następują po siekaczach; są zwykle długie, śpiczaste, o jednym także korzeniu, i mocno zagłębione w szczęce; służą do wrzynania się

w mięso, które zwierzę chwytą i rozdziéra. Zęby trzonowe następują po kłach z obu stron gęby, mają zwykle więcej korzeni, koronę szeroką i służą do miażdżenia żywności.

U różnych zwierząt liczba zębów jest różna. Człowiek, małpa, pies, kot i t. d. mają wszystkie rodzaje zębów wymienionych, ale królik, szczur i inne strzyżaki nie mają kłów; leniwiec nie ma siekaczów; na koniec są i zwierzęta bez zębów, np. mrówkojad, wieloryb, ptaki.

Kształt zębów jest rozmaity u różnych zwierząt i spostrzeżono, że ta różnica zależy od nutury żywności.

U człowieka zęby młeczne pojawiają się przy końcu pierwszego roku i wcześniej, a wypadają około siódmego. Zębów tych jest 20: u każdej szczęki 4 siekacze, 2 kły i 4 trzonowe. Zębów drugich, trwałych, jest 32: siekaczów i kłów też sama zostaje liczba, ale trzonowych u człowieka dojrzałego jest 20.

Hipolit Witowski 1849 r.

19. K o t y.

Kotami nazywają naturalisci nietylko koty zwyczajne, ale tygrysy, lwy i t. d. Wszystkie są mięsożerne i mają mocno uzbrojone szczęki. Pazury u kotów są wysuwalne, łukowate, ściśnione, bardzo ostre i w skórze ukryte w czasie spoczynku. Słuch mają nadzwyczajny i zmysł ten jest u nich najbystrzejszy. Zdaje się, że wzrokiem nie sięgają na wielkie oddalenie, ale widzą dobrze w nocy i we dnie; ich źrenica rozszerza się i ściąga według mocy światła. Nim jedzą, wachają pożywienie. Język ich jest bardzo szorstki. Futro mają w ogóle miękkie, delikatne, i cała powierzchnia ciała jest czuła, a nadewszystko wąsy.

Zwierzęta, należące do rodzaju kotów, znajdują się prawie na całej kuli ziemskiej, a obyczaje ich są wszędzie podobne. Obdarzone siłą wielką, nie napadają na inne zwierzęta otwarcie: chytrą i podstęp kierują ich ruchami.

Nie ściągają zdobyczy, ale, zaczajone zwykle w krzakach gęstych, blisko źródeł, czekają na zwierzęta, które przychodzą dla napoju, i rzucają się na nie jednym skokiem.

Największym ze wszystkich kotów jest lew;—blisko 8 stóp długi, a 3 wysoki. Maść jego jest żółta. Samce mają grzywę w około szyi i barków i kosmyk na końcu ogona. Lew jest najsilniejszym między drapieżnikami; postawę ma wspaniałą, spojrzenie dumne, chód szlachetny i poważny. Jednem nogi uderzeniem łamie krzyż koniowi, a zamachem ogona najsilniejszego obala człowieka. Doraźnym skokiem przerzuca się o 30 stóp i największego wołu daleko bez natężenia wlecze. Ryk jego doniosły odbija się między górami, jak huk grzmotów w oddali. W napadach wściekłości ryk ten jest jeszcze przeraźliwszy, ale krótki, przerywany, powtarzający się. Lew strasznym jest, gotując się do walki: uderza się po bokach ogonem; grzywa mu się najęza i osłania głowę; wszystkie mięśnie drgają; brwi ogromne zasłaniają źrenice; wyszczerza kły straszne, wysuwa język i pazury, prawie tak długie, jak palce. Zbliżenie się do niego w takim stanie ścięłoby krew' w żyłach najzuchwalszego człowieka. Wyjąwszy słonia, nosorożca, tygrysa i hipopotama, żadne inne zwierzę nie ośmieliłoby się stanąć z nim do walki.

Drugim gatunkiem kota jest tygrys. Tygrys królewski, albo wschodni, jest jeszcze groźniejszy od lwa, bo, równy mu co do siły i wzrostu, przewyższa go dzikością. Szerść ma krótką, żółtawą, w promienie poprzeczne i czarne. Mieszka w Indjach i dopuszcza się ogromnych spustoszeń.

Jaguar, prawie tak wielki i niebezpieczny, jak tygrys królewski, mieszka w wielkich lasach Ameryki. Futro ma żółte u góry, w kształcie oczek wzdłuż boków, a białe w czarne pręgi od dołu. Kuśnierze zowią go wielką panterą.

Pantera znana jest z piękności futra płowego z czarnymi plamami w kształcie róż. Znajduje się w całej Afry-

ce i w gorących okolicach Azyi. Bardzo podobna jest do lamparta, tamże mieszkającego.

Ryś jest inny gatunek kota, godny uwagi. Uszy ma zakończone długimi kosmykami włosów, futro rude w plamy rudo-brunatne. Pochodzi z Europy, ale go niema w okolicach zamieszkanych; znajduje się jeszcze w Pirenejach, w górach Królestwa Neapolitańskiego i w Afryce. Włazi na najwyższe drzewa i, ukryty w gałęziach, czatuje na wiewiórki, gronostaje i t. d. Wyrządza wielkie psoty i szkody, niszcząc wiele zajęcy, rzuca się i na większe zwierzęta, jakoto: jelenie, łosie, sarny, i wysysa z nich krew, mało mięsa pożywając. Dla bystrego wzroku nazywają go ostrowidzem.

Kot pospolity pochodzi z lasów Europejskich. W dzikim stanie jest popielato-brunatny w pasy poprzeczne, ciemniejsze z wierzchu, blade ze spodu. Łapy na zewnątrz ma żółtawe, ogon—w obrączki czarne. Maść kotów domowych, długość i cienkość włosów są najrozmaitsze.

Hipolit Witowski. 1849 r.

11. O w c a.

Owce są po wołach najużyteczniejszemi dla człowieka zwierzętami. Ich mięso smaczne, posilne i zdrowe, i mleko wyborne, stanowią gałąź pożywienia ludzkiego. Skóry ich, rozmaicie wyprawiane, dają kozuchy, safljan, zamsz, irchę i pergamin. Z tłustości owiec wytapiają łój, zdatny do różnych wyrobów, a mianowicie na mydła. Z końców nóg otrzymują klój stolarski; z rogów robią grzebienie i inne pożyteczne przedmioty, a z trzewi, czyli z tak zwanych kiszek cienkich, mamy struny do skrzypców, gitar i harf. Największą jednak korzyścią z owiec domowych, a mianowicie z owcy merynosa, jest najprzedniejsza wełna, z której sukna i rozmaite inne kosztowne tkaniny wyrabiają. Za to owca wymaga wielkiego starania, pieczołowitości i do-

brego pokarmu, bo, oprócz wyborowego siana, potrzeba jój dawać owies i żyto w snopie do jedzenia.

Z zagranicznych owiec domowych zasługują szczególniej na wspomnienie: 1. Owca Arabska czyli Tatarska, mająca u góry bardzo szeroki, ku końcowi klinowato coraz węższy, a tak długi ogon, że się końcem włóczy po ziemi. Ten ich ogon przy końcu lata staje się tak tłusty, że od 20 do 40 czasem funtów waży. Pasterze muszą im pod końcami ogonów przytwierdzać małe wózeczki, żeby je zabezpieczyć od kaléczenia po ziemi. 2. Owca Kałmucka, u której tłustość około bardzo tłustego ogona tworzy wielki, bochenkowaty, u dołu rozdwojony guz. 3. Owca Krymska, siwa, z rogami śrubowatemi; skórki z jagniąt tego gatunku dają wysoko cenione baranki siwe do czapek.

Feliks Paweł Jarocki. 1851 r.

12. K r e t.

Krety są zwierzęta głównie podziemne i grzebiące w ziemi. Ciało mają krępe, pysk przedłużony i kończący się ryjkiem ruchomym, służącym do wiercenia w ziemi. Łapki przednie są u nich bardzo krótkie, ale nadzwyczaj silne i szerokie, skierowane nazewnątrz i zakończone ogromnymi pazurami, stosownymi do grzebania. Za pomocą tych narzędzi, krety wykopują w ziemi długie kanały z zadziwiającą zręcznością i szybkością. Małe nasypy z gruzów ziemi, które tak często na łąkach i polach spotykamy, zowią się kretowiskami; wyrzucają je te zwierzęta, grzebiąc pod ziemią. Nie wychodzą prawie nigdy ze swoich siedlisk labiryntowych, pożerają robaki i poczwarki owadów, które tam znajdują. Prowadzą życie w ciemnościach; oczy ich zaledwie spostrzedz można; jest gatunek kretów, całkiem ślepych. Mają po 22 zębów u każdej szczęki. Kret

pospolity, pięknego czarnego koloru, znajduje się we wszystkich urodzajnych okolicach Europy.

Hipolit Witowski. 1839 r.

13. J e l e n i e.

Jak wiele innych zwierząt dzikich w lasach, tak téż i jelenie po większej części wytępiono. Już one nie bujaają swobodnie w puszczach; a jeżeli się znajdują, to tylko w zwierzynicach wielkich panów, czyli w kawałkach lasu, parkanami ogrodzonych, gdzie je chowają dla uciechy polowania i zastawiania w dniu uroczyste stołów.

Inne narody, jak Niemcy, Francuzi, Anglicy, mają daleko więcej téj zwierzyny, nawet po lasach; a że tam niewolno lada komu ubić jelenia i, kto się tego dopuści, zaraz go oddają pod sąd, więc się téż zwierz mnoży swobodnie.

Samiec ma rogi gałęziste i duże; co wiosna rogi te odpadają mu, a wyrastają nowe, a zawsze z jedną gałęzią więcej, i tak aż do ośmnastu lat; potem już mu nie przybywa gałęzi, a więc nie można poznać ile jeleni ma lat.

Samica rogów nie ma i zowie się *lania*.

Jeleń przez dzień siedzi w największych gęstwinach i dopiero nocą wychodzi na pola przyleśne na paszę, a o świtanu wraca znowu do lasu.

Jestto zwierzę łagodne; nogi ma cienkie a mocne, biega bardzo prędko, a kiedy go strzelcy ścigają z psami, to, uciekając, schyla rogi aż na kark, żeby mu w ucieczce nie przeszkadzały i nie zawadzały o gałęzie. Kiedy go zaś tak dokoła obstapia, że nie może uciekać, to się broni zapamiętale przeciw psom i ludziom.

Na wiosnę samica miéwa jedno albo dwoje jelenków i pilnuje je, jak każda matka, bardzo starannie.

Jelenie jadają trawę, obgryzają krzaki i pączki drzew, w zimie gryzą korę, lub odgrzebują mech z pod śniegu.

Mięso ich, kiedy są młode, smaczne bardzo, a gdy się zestarzeją—nic nie warte. Skóra wyprawia się na miętko, na kaftany i spodnie. Z rogu robią trzonki do nożów, jakie często u kupców w sklepach widzieć można.

Jestto więc zwierzę pożyteczne; wielka też szkoda, że tak mało jeleni żyje u nas.

1862 r.

14. Ż u b r.

Jestto gatunek wołu, tylko że większy i silniejszy, a różni się tém od niego, że ode łba do połowy ciała obrośnięty kędzierzawymi kudłami, jako lew. Rogi ma krótkie, zakrzywione; oczy bystre; skóra na pysku pomarszczona; dosyć, że aż strach patrzeć, tak okropnie wygląda. Nie napastuje on ludzi, chyba zaczepiony, ale wtedy wpada we wściekłość i, co napadnie, rozbija rogami i racicami trątuje; goni szybko, tak, że trudno na koniu przed nim uciec; mięso, osobliwie z młodych, ma być smaczne, ale kto je tam jada teraz, chyba najwięksi panowie i to rzadko kiedy.

Trzeba wiedzieć, że na całym świecie żubrów teraz nigdzie niéma, tylko w jednym miejscu, w Białowieskiej puszczy, która leży w okolicach Grodna. Tam rządowi strażnicy pilnują, żeby ich nikt nie strzelał; muszą też zapisywać i podawać co rok wiele ich jest, wiele przybyło cieląt; a dla tego taka pielęgnacyja, żeby to zwierzę całkiem nie zginęło, bo już ich i tak nie wiele.

Podług podania strażników, powinno być 700 do 800 sztuk, ale czy jest tyle, zaręczyć trudno, bo nie sposób, żeby złodziej się nie zakradł i nie zabił czasem, a może i w inny sposób giną od zwierzia dzikiego młode żubry, a stare—od niesumiennych ludzi.

Powinna być wielka piecza nad temi zwierzętami, bo to osobliwość wielka i źleby było, żeby za naszych czasów wyginęły.

W części świata inszój, a bardzo odległój, za morzem, którą zowią Ameryką, żyją zwierzęta do żubrów bardzo podobne, zwane *Bizony*, ale mniejsze i nie tak silne.

1862 r.

15. S ę p y.

Są to ogromne ptaki drapieżne, większe od orłów, i latające niezmiernie wysoko. Kiedy się wzbije do wielkiej bardzo wysokości, to wygląda jak skowronek, a czasem i najbystrzejsze oko go nie dojrzy; a przecież on z takiej wysokości dostrzeże pasące się jagnięta, biegnącego zająca i wtedy, z ogromną szybkością, jak kamień, z powietrza spada, rozrywa biédne zwierzę i pożera.

Sęp jednak, mimo to, że na żywe zwierzęta poluje, lubi bardzo ścierwo padłych i tego szuka skrzętnie. Zwykle gnieździ się w ciepłych krajach, ale czasem zalatuje w nasze strony—i bywały przypadki, że je strzelcy ubijali. Ma on bardzo długie i szerokie skrzydła; lot mocny i szybki, dziób haczysto zakrzywiony i szpony ostre, a długie. Gnieździ się zwykle na skałach, a takich szuka zakątków, że trudno jego gniazdo wynaleźć. Ptak ten jest szkodliwy, bo niszczy zwierzęta mniejsze domowe i zwierzyńę; w ciepłych jednak krajach robi przysługę, pożerając ścierwo, które, psując się, swoją wonią zaraża powietrze. W zimnych bardzo krajach nie mieszka wcale.

1862 r.

16. Sowa-puszczyk.

Zamieszkuje Europę południową i umiarkowaną; ku północy—coraz rzadsza i daleko się tam nie posuwa; w Syberyi—wcale niepostrzegana. U nas nietylko ze wszystkich gatunków sów, ale nawet ze wszystkich ptaków drapieżnych najpospolitsza; wszystkie lasy, ogrody, stare opuszczone mury, miasta i bndynki gospodarskie są tych sów siedliskiem.

Na zimę niektóre z nich wynoszą się z lasów do budynków, ale nie zmieniają okolicy.

Przy świetle dzienném słabo widzą, dnie więc przepędzają ukryte w zacienionych gałęziach, w strzechach, w dziurach starych domów, w obszernych dziuplach i w pustych barciach. Dobrowolnie tych kryjówek nie opuszczają, a, wystraszone z nich, siadają w bliskości, pozwalając człowiekowi zbliżyć się do siebie. O zmiérzchu dopiero wylatują na połów. Lot ich jest bardzo cichy, powolny i pracowity.

Główne ich pożywienie stanowią myszy i szczury, które łowią zarówno wewnątrz, jak i zewnątrz budynków, w ogrodach i lasach; ptaki drobne wybierają tylko wyjątkowo z noclegów, albowiem siedzące po rozmaitych gąszczach i kryjówkach są nierównie trudniejsze do wyszukania, niż drobne nocne zwierzątka, przez całą noc biegające. Nigdy nie dostrzegłem, aby kiedykolwiek większego jakiego ptaka upolowała i nigdy w jój żołądku nic innego, prócz myszowatych zwierzątek nie znajdowałem. Wnoszę nawet z tego, że, często przebywając w gołębnikach, nigdy na gołębie się nie porywa, wystrasza je tylko swą obecnością; że przeto równiej wielkości ptakom, jak np. kuropatwom, żadnej szkody nie wyrządza. Gospodarzom więc nieocenione usługi oddaje, tępiąc najszkodliwsze zwierzątka, nie tylko na dworze, ale nawet wewnątrz budynków, w ilościach bardzo znakomitych, i zastępując doskonale koty domowe. Nic przeto nie usprawiedliwia nierozważnego prześladowania, któremu ciągle podlega; owszem, każdy gospodarz powinien jak najstaranniej ochraniać i szanować tego pożytecznego ptaka, gdy się w jego budynku osiedli, i nie niszczyć mieszkających zdala od zabudowań, bo i te nie tylko że po lasach ważne oddają usługi, ale i w pewnych porach budynki odwiedzają.

Gnieździ się po obszernych dziuplach, barciach, strzechach, wieżach, szczelinach starych murów i skał i w opu-

szczonych gniazdach wron, lub drapieżnych ptaków. Młode wtenczas dopiero matka odstępuje, gdy same są zdolne bronić się, w razie napasći innych drapieżnych ptaków; nie oddała się jednak od gniazda, lecz przez cały dzień, ukryta w bliskości w gałęziach, nie spuszcza go z oka i bacznie uważa na to, co się tam dzieje. Gdy człowiek zbyt często się przybliży, zaraz się odzywa, a niekiedy daje dowody szczególnéj odwagi, jak tego raz byłem naocznym świadkiem, gdy do gniazda, w którem znajdowały się sowięta dość już duże, wlaźł po drabinie kozak i włożył w dziuplę rękę; na to niewiadomo z kąd zjawiła się sowa i tak nagle uderzyła na kark napastnika, że go szponami mocno podrapała. Nim jeszcze młode latać zaczęły, wychodzą często na gałęzie, obok gniazda będące, i rzędem obok siebie siadają, a w razie niebezpieczeństwa chronią się napowrót. Gdy się wywiodą, przez parę tygodni trzymają się jeszcze razem przy rodzicach, dopóki same nie wprawiają się do łowów. Po zachodzie słońca razem wylatują z dziennego ukrycia i wabią się nieustannie piskliwym głosem, podobnym do skrzypienia nienasmarowanego koła, a gdy które z rodziców zobaczą, lecą ku niemu i natrętnie napastują; stara, gdy nie ma się czém odczepić, odgania je kłapaniem, a najczęściej, nie mogąc się ich pozbyć, ucieka.

Głosy tych sów są rozmaite: wieczorem, gdy wylatują z kryjówek, odzywają się w sposób do śmiechu ludzkiego podobny, lub też naśladujący zgłoski *ku-wik, ku-wik*, kilka razy dosyć szybko powtórzone, na wiosnę zaś wabią się po całych nocach donośnem przeciągłym hukaniem. Łatwo głosy te naśladować, ale oszukać trudno, bo nie chcą przylatywać. Zabobonne pospółstwo rozmaite znaczenia tym głosom przypisuje: jedni uważają je za śmiechy złych duchów; inni, wiedzący, że one pochodzą od sów, poczytują je za przepowiednie śmierci, lub narodzenia.

17. Pajaki przędące.

Jedne pajaki snują z siebie osobny rodzaj włókien, które pajęczyną nazywamy, drugie zaś pajęczyny z siebie nie wysnuwają. Pierwsze nazywają się przędącemi, a drugie—nieprzędącemi.

Pajaki przędące mają ciało bez ogona, na dwie nierówne części podzielone. Przednia część, zwykle mniejsza, którą gorsetem nazywamy, a z którą głowa, bez odznaczenia jój, jest zjednoczoną, pokryta jest twardą skorupą; przeciwnie, część tylna, tułowiem zwana, ma na sobie skórę miękką. Te dwie części ich ciała połączone są szczupłą błonową rurką, przez którą kanał pokarmowy, kanały krwiste i bardzo cienkie nitki nerwowe przechodzą. Na przodzie gorsetu widzimy po osiem lub po sześć wypukłych, błyszczących kropek. Są to ich oczy, których rozstawienie i wielkość są różne. Pod przodem gorsetu znajduje się u nich pyszczyk, złożony z wargi, z dwóch żuwaczek płaskich i z dwóch szczęk, z których każda ruchomym szponem jest zakończona. Te szpony szczękowe są zupełnie tak urządzone, jak kły jadowite u żmii, i rzeczywiście są narzędziami jadowitemi; a że wszystkie pajaki przędące mają szczęki, podobnymi szponami uzbrojone, wszystkie więc bez wyjątku są jadowitemi istotami. Wiedzieć jednak potrzeba, że jadowitość pajaków naszego kraju jest tak słabą, iż ją zaledwie z jadowitością komarów porównać można. Nadto, ponieważ pajaki nasze są istotami bojaźliwemi i unikającemi ludzi, więc prawie nikt u nas ugryzienia pajaka i jadowitości jego nie doświadczył. W krajach gorących duże gatunki tych pajaków mogą być niebezpieczne, nigdy jednak ich jad niebezpieczeństwem utraty życia nie zagraża. Wszelkie zaś podania o zatrutowaniu jadła i napojów ludzkich przez pajaki są nedorzecznemi zmyśleniami.

Tuż za pyszczkiem pod gorsetem pająki mają po 8 nóg, których długość jest różna. Tułów jest bez żadnego podparcia. Pod przodem tułowu jest poprzeczny rowek, a w nim dwa otwory, z których każdy prowadzi do błonkowatego woreczka. Za pomocą tych woreczków odbywa się oddychanie i dla tego nazywamy je płucami. Pod tyłem tułowu sterczy stożkowaty wyrost, który składa się z pięciu brodawk; z nich cztery, gęsto dziurkowane, wypuszczają płyn, twardniejący na powietrzu, czyli zwyczajną pajęczynę, z której robią siatki do łowienia dwuskrzydłych owadów.

Pająki są bardzo mnożne; rozmnażają się, niosąc jaja. Skoro się młode z jaj wyklują, zaraz prząść zaczynają i pracują zgodnie około wspólnej siatki dopóty, dopóki głodu nie poczują. Uczucie pierwszego głodu jest hasłem do zerwania zgody i miłości rodzinnej i do rozbiegnięcia się w różne strony. Odtąd żyją samotnie i nigdy jeden drugiemu nie ufa.

Pająki przędące są nam wielce użyteczne, bo, żyjąc wyłącznie owadami, wytępiają mnóstwo dokuczliwych i szkodliwych istot. Najpożyteczniejszymi dla gospodarzy wiejskich są: przędzik, krzyżak i oprządek. Najślynniejszymi, lubo niesłusznie, z jadowitości stały się duże, na Podolu, we Włoszech i w innych południowych krajach Europy mieszkające gatunki rodzaju tarantuli, czyli krzeczka; mniejsze zaś gatunki tarantuli, żyjące u nas, są twórcami owej w jesieni latającej pajęczyny, którą babskiem latem nazywają.

Feliks Paweł Jarocki. 1851 r.

18. O częściach roślin.

Każda niemal roślina, a przynajmniej wszystkie doskonałe składają się z korzeni, łodyg, liści, kwiatów i owoców.

Korzeń służy do utrwalenia rośliny w ziemi i do wyciągania z niej soków i cieczy, roślinie potrzebnych. Ssanie cieczy odbywa się całą powierzchnią korzeni; zapuszczają

się one coraz głębiej, aby w większej przestrzeni czerpać mogły to, co do życia roślinie jest potrzebném. Korzenie zawsze prawie ukryte są w ziemi i rzadko które ukazują się nad jej powierzchnią, czépiają się drzew, jak np. paszożyty i jemioly, albo pływają w wodzie.

Łodyga wyrasta z korzenia i wypuszcza z siebie gałązki, na których wyrastają liście. W drzewach nazywa się ona pniem, a w zbożach i trawach—żdźbłem. Soki wessane przez korzenie, przebiegają wzdłuż łodygę i, idąc coraz wyżej, dosięgają kończyn gałęzi i listków.

Liście, wyrastające z gałązek, albo umocowane są na ogonku, albo téż wcale go nie mają. Liść składa się z blaszki spłaszczonej, często bardzo cienkiej, czasem grubszej i soczystej, zawierającej mnóstwo niedojrzanych szpar i otworów, w które łatwo powietrze, parą wodną i gazami obciążone, wnika. Kształt i utkanie liści bywają nadzwyczaj rozmaite: blaszki — gładkie, faliste, pomarszczone, pofałdowane; brzegi — w różny sposób wycinane, ząbkowane, piłkowane, a czasem znowu zupełnie równe. Niekiedy brzegi liścia są zakończone ostremi drzewiastymi kolcami, jak np. w ostrokrzewie, lub téż cieńszymi, a kolącymi, jak w ostach i kaktusach; czasem cała powierzchnia liścia jest pokryta włoskami, a włoski te w niektórych roślinach, jak np. w pokrzywie, zawierają ciecz jadowitą.

Kiedy roślina dochodzi całego swego rozwoju, naówczas okrywa się kwieciem. Kwiat składa się z kilku części, wyraźnie odróżnić się dających: ma kielich, zwykle zielony, dalej z kielicha wyrastającą koronę, kilkoma, kilkudziesięcioma, a nawet kilkunastoma listeczkami, pięknie zabarwionymi, okrytą; w środku korony wyrasta słupek, zakończony znamieniem, a ten otaczają pręciki, dźwigające pęcherzykowate główki, w których znajduje się pyłek.

Niektóre rośliny nie kwitną, jak np. mchy, paprocie i t. p. W kwiatach znajdują się jeszcze miodniki, zawierające ciecz słodką, z której pszczoły miód wyrabiają.

Owoce bywają najrozmaitsze; zwykle składają się z ziarn pojedynczych, umieszczonych w różnych osłonach. Ziarna zbożowe mieszczą się w kłosie, jak np. pszenica, żyto, owies i t. p.; inne zamyka strączek, jak groch, soczewica, wyka, akacja; inne znów obejmuje soczysta miazga, jak owoc pomarańczy i cytryny, to znów — tkanina mięsista, jak w jabłku, gruszcze, dyni i ogórku; czasem owoce otacza twarda łupina, jak orzechy; niekiedy mnóstwo nasion znajduje się w zamkniętej komorze, jak mak; czasem mieszczą się w szyszkach; słowem, nieprzebrana tu różnaitość, ale przeznaczenie wspólne: utrzymanie gatunku rośliny i wydawanie nowych, w miejsce zmarłych.

Władysław Ludwik Anczyc. 1863 r.

19. M o d r z e w'.

Modrzew' przechodzi w piękności i użyteczności inne drzewa iglaste. Dorasta on stu stóp wysokości, pień ma ostrokręgowy, korę na nim siwą, nie tak popękaną, jak na sosnie, gałęzie okręgowo ułożone, lecz nie tak kształtnie, jak w jodłach i w sosnach, i zwykle zwieszone. Igły przed zimą opadają, a pozostałe po nich pochwki, równie, jak pączki, z których na wiosnę mają nowe wyrastać, tworzą na młodych gałęziach zgrubiałości, jakich na żadném inném drzewie nie widzimy. Modrzew' odznacza się jeszcze od wszystkich drzew na wiosnę, kiedy młode liście żółto-zielonej barwy, w kupki od 15 do 20 zebrane, wyrastają.

Modrzewie niegdyś obficie u nas rosły, lecz nierozważnie z nich użytkowanie prawie do szczytu wytepiło to piękne drzewo. Natrafia się jeszcze gdzieś, jakoto w Białowieskiej puszczy, w górach Karpackich i w kilku miejscach około Krakowa, Radomia, Opatowa. Nazwiska miasteczek i wsi, np. Modrzejów za Olkuszem, Modrzejowice około Radomia i t. d., tudzież zabudowania z modrzewiu, dotąd trwające, jak kościoły, dwory wiejskie, śpichrze, są dowo-

dem, że drzewo to u nas było rozrodzone. Na belki i podwaliny modrzew' jest wyborny, bo żywica nie tylko wskrós go przejmuje, ale, powoli występując, rozlewa się po całej jego powierzchni, przez co i owady go nie psują i wilgoć nań nie działa. Że u nas i w tych czasach wielkie i zdatne do tego celu natrafiają się modrzewie, przekonać się możemy ztąd, że belki, użyte przy budowie teatru wielkiego w Warszawie, wyrobione są z modrzewiu krajowego.

Szymon Pisulewski 1853 r.

20. Rośliny miseczkowe.

Rośliny miseczkowe są: dąb, grab, buk, kasztan, leśzczyna i jawór.

Z drzew tych najwspanialszym jest dąb, którego w naszych lasach mamy dwa gatunki: pospolity i szypułkowaty. Dęby dochodzą późnej starości, bo 500 lat mające drzewa są jeszcze zdrowe, a są nawet przykłady trwałości dębu do tysiąca lat. Powszechnie znane są użytki tego drzewa, które jest białawe, ciężkie, twarde i zarówno do budowy podwodnej, jak suchej, zdatne. Długo w wodzie leżące dęby stają się twardszemi, przybierają barwę czarną, tak, iż heban zastąpić mogą. Kora dębowa służy do wyprawiania skór. Żołędzie, upalone i zmielone, wydają napój, kawie podobny. W Turcyi i Arabii z mąki żołędzi, przyprawionej cukrem i różnemi pachnidłami, robią pokarm bardzo tuczący, zwany *rakahu*. Najważniejsze użycie żołędzi jest na paszę dla trzody chlewniej. Wyrostki na liściach i ogonkach liściowych, zwane galasem, a u nas dębiankami, pochodzą od załknięcia liścia, lub jego ogonka, przez galasówkę dębową, owad do pszczoły podobny; przydatne są do robienia atramentu zwyczajnego i barwienia włosów na czarno. Najlepszy galas pochodzi z Węgier i ze Wschodu. Z gatunków dębu, rosnących w innych krajach, ważniejsze są: dąb barwierski, którego kora wydaje barwnik żółty, używany do

barwienia tkanin wełnianych, bawełnianych i t. d., dąb korkowy, który dostarcza korka, i dąb czerwcowy, na którym żyje gatunek owadu czerwca.

Grab, którego jeden gatunek rośnie w naszych lasach, jest drzewem do 80 stóp wysokości, ma korę siwą, mało popękaną. Drzewo grabowe jest jedno z najtwardszych i najcięższych, barwę ma białą, w starych pniach brunatną, mało się do budowy, lecz korzystniej do różnych rzemiosł używa. Żywe płoty grabowe są bardzo dobre. W dawniejszych ogrodach, zwanych Włoskimi, lub Francuzkimi, wysadzano grabiną gęste szpalery w różne kształty, robiono z niej manowce (labirynty). Dziś upowszechniły się ogrody Angielskie i rzadko już widzieć można owe jednostajne ulice, troskliwie obcinaną grabiną wysadzone.

Buk jest jednym z najpiękniejszych drzew, tak co do okazałej postaci, jako też gładkości pnia i wesołej barwy swych liści. Rośnie u nas w powiatach Opatowskim i Kieleckim, na górach, zwanych Świętokrzyskimi. Dorasta znacznej wysokości, bo 150-letnie drzewa są na 100 stóp wysokie, a pień u dołu ma 8 stóp obwodu. Drzewo bukowe jest ściśle, białawe, przydatne do budowy i do rzemiosł. Nasiona, bukwia zwane, są trójgraniastymi orzeszkami tłustemi; wydają olej, mogący zastąpić oliwę. Orzeszki mają smak migdałów, lecz się prędko psują, czyli gorzkną, i wtenczas przybierają barwę brunatną. Bukiew' jest dobrym zérem dla zwierząt leśnych i trzody chléwnój.

Kasztan słodki, piękne drzewo południowej Europy, dochodzi czasem do nadzwyczajnej grubości, a pod tym względem zadziwia wszystkich podróźnych kasztan, na Etnie rosnący, zwany kasztanem stu koni. Ma on 160 stóp obwodu, a podług miejscowego podania, miał być schronieniem, w czasie gwałtownej burzy, dla Joanny, królowej Arragońskiej, kiedy zwiedzała Etnę. Cały orszak królowej, złożony ze 100 jeźdźców, schronił się wówczas pod cieniem tego

olbrzyma. Sąsiedni mieszkańcy urządzili w tém drzewie domek, a w nim piecyk do pieczenia kasztanów. Wiek tego kasztana oznaczają na 4000 lat.

Leszczyna, znany powszechnie krzew, wydaje zwyczajne orzechy laskowe, z których, oprócz używania na pokarm, wytłacza się olej tłusty, dobry do użycia. Orzechy tak zwane Tureckie, pochodzą z gatunku, rosnącego na Wschodzie, a u nas w ogrodach utrzymywanego. W rzemiosłach używa się także drzewo leszczynowe, szczególnie na obręcze. Korzeń przez gładzenie nabywa pięknego połysku i dla tego do fornirów, czyli robót wykładanych, jest używany.

Do pięknych także drzew rodziny miseczkowych należy jawór, którego dwa gatunki: jawór Wschodni i Wirginijski, dostarczają twardego i białego drzewa, na różne roboty stolarskie przydatnego.

Szymon Pisulewski. 1853 r.

21. T u l i p a n.

Nazwisko téj rośliny pochodzi ze zmienionego wyrazu Perskiego „toliban.“ Mylnie niektórzy autorowie wywodzili go od wyrazu „turban,“ utrzymując, że wschodnie ludy, dla podobieństwa kwiatu tego do ubrania ich głowy, nadały mu to nazwisko.

Najbardziej upowszechniony u nas jest tulipan ogrodowy. W stanie dzikim kwiaty jego są jednostajnego koloru, pospolicie żółtego, czerwonego, niekiedy brunatnego. W Holandyi zapął do hodowania tych roślin doszedł do takiego stopnia, że niektórzy znaczne tracili majątki na skupywanie cebul tulipanowych. Między innemi wspominają, że jedna cebula tulipana sprzedaną była za 5,500 złotych, a piwowar w Lil (Lille) takim był miłośnikiem tulipanów, że za cebulę tulipanową swój browar odstąpił.

Ludy wschodnie również lubią tulipany i, w czasie ich rozkwitania, w domach wielkich panów obchodzą zabawy,

zwane świętem tulipanów. Galeryje pałacowe ozdobione są wówczas najpiękniejszymi tulipanami, a wieczorem tworzą z nich świetne bukiety, ozdobione lustrami i pochodniami.

Ogrodnicy liczą do 1,500 odmian tulipanów, a dla powiększenia ich wartości, szumnie nadają im nazwiska, z historyi, lub mitologii wzięte. I tak: niektóre zowią Wenerą, Henrykiem Wielkim, Dziewicą Orleańską; innym znowu dodają różne epitety, jakoto: piękność niezrównana, chwała świata, niezwyciężona róża i t. d.

W naszych ogrodach uprawiają jeszcze tulipan wonny.

Szymon Pisulewski. 1845 r.

B. ANEKDOTY.

1. Gęsi Kapitolińskie.

W roku 389 przed narodzeniem Chrystusa, Gallowie napadli na Rzym, weszli do niego bez oporu, spalili go i następnie oblegli obronny zamek Kapitol, do którego Rzymianie przed nieprzyjaciołmi się schronili. Wódz Gallów, Brennus, nie mogąc jednak zdobyć warowni otwarcie, postanowił zawładnąć nią niespodzianie. Jednej więc nocy, gdy wszystko było w głębokim śnie pogrążone, rozkazał swoim żołnierzom jak najciszej wdrzeć się na mury zamku. Powodzenie wydawało się już być niewątpliwem, gdy nagle, w świątyni Junony, dał się słyszeć krzyk gęsi, poświęconych téj bogini, i obudził czujność straży. Rzymianie rzucili się na mury i Brennus został odparty.

Mieszkańcy Rzymu, wdzięczni za ocalenie zamku, postanowili na zawsze utrzymywać gęsi w Kapitolu. Co rok obnoszono je w procesyi na bogatych tragach. Obrzęd ten przetrwał blisko pięć wieków.

2. Słoń Cezara.

(Cezar chciał przejść*) wielką rzekę, której bronił Kaszywelan, jeden z królów Brytańskich, z liczną konnicą i z wielką liczbą wojennych wozów. Widząc niemożność dostania się pomiędzy zastępy nieprzyjaciół, wódz Rzymski kazał wyprowadzić ogromnego słonia w żelaznej zbroi, z wieżyczką na grzbiecie, w której mieścili się żołnierze, uzbrojeni kopijami i strzałami. Ten widok napęlił trwogą mieszkańców Brytanii, którzy nie widzieli nigdy takich potworów; konie ich przestraszone, równie jak i ludzie uciekli, a Cezar opanował przeprawę.

1851 r.

3. Lew Godfreda.

Za czasów wojen krzyżowych, kiedy tylu rycerzy ciągnęło do ziemi Świętej, pewien Francuzki rycerz, nazwiskiem Godfred de la Tour, przedzięrał się ciemnym lasem. Wtém dochodzi go przeraźliwy ryk. Uduje się w tę stronę i postrzega lwa w walce z olbrzymim wężem, lecz już upadającego na siłach, bo wąż, obwinawszy się około niego, ciągnął go do drzewa, aby mu pogruchotać żebra i kości. Godfred, jako prawy rycerz, gotów zawsze bronić uciśnionego, dobył miecza, uciął łeb wężowi i lwa z jego śmiertelnych uścisków uwolnił. Obawiał się tylko, że może lew rzuci się na niego, ale ten, przeciwnie, zbliżył się doń łagodnie i odtąd, jakby oswojony, nie chciał na krok odstąpić rycerza.

Gdy późniój Godfred miał powracać do ojczyzny, a trzeba mu było przez morze płynąć, żeglarze nie chcieli wziąć lwa na pokład okrętu, z bojaźni przed tym zwierzem. Sam rycerz był tego zdania, że lwu będzie za chłodno na zimnej północy; zostawił go więc na brzegu, pograżonego w smutku, bo srodze wył i biegał, jak oszalały, próbując dostać się na okręt. Tymczasem okręt coraz bardziej się od-

*) W roku 55 przed Narodzeniem Chrystusa.

dała; nakoniec lew postanowił wskoczyć w morze i płynąć; płynął też spory kawał, lecz, gdy już bliskim był statku, siły go opuściły i utonął.

Z Godz. czyt. Lucyjana Siemieńskiego. 1860 r.

4. Pudel przemysłny.

Przy drzwiach jednego z hoteli Paryzkich znajdował się chłopiec do czyszczenia butów. Miał on dużego czarnego pudła, którego zmysłność na tém się głównie zasadzała, iż dopomagał swojemu panu do zarabiania na chleb. Pudel biegał wciąż po ulicy, a gdy zawałał sobie kudłate łapy w rynsztoku, następował potem na obuwiu przechodzących osób. Chłopiec, utrzymujący się z czyszczenia obuwia, naturalnie za pieniądze naprawiał to, co pies jego umyślnie spsocił; korzystał z tego i, wystawiając swój stołeczek, wołał na głos: „Może pan każe sobie oczyścić buty? proszę, oto tu stołeczek!“ Dopóki chłopiec zajmował się swą robotą, pudel leżał spokojnie obok niego; czuł on dobrze, że w takiej porze powalać błotem przechodnia byłoby rzeczą wcale niepożyteczną, bo pan jego nie miał czasu. Skoro jednak stołeczek był już wolny, pudel dążył natychmiast wypłatać komu nową psotę. Zmysłność psa i uprzejmość młodego jego właściciela, który także dla sług hotelowych zawsze był usłużnym, sprawiły, iż chłopiec i pies stali się głośni nie tylko na dziedzińcu, ale i w kuchni hotelu. Sława chłopaka, przechodząc z ust do ust, doszła nareszcie do salonu. Pewien dystyngowany Anglik, obecny rozmowie, której przedmiotem był właśnie ów chłopak i jego pies, zapragnął poznać obudwu. Przywołano ich. Anglik, którego zmysłne zwierzę nadzwyczajnie zajęło, objawił chęć nabycia pudła. Dawał za niego chłopcu dziesięć, nareszcie piętnaście luidorów. Nic dziwnego, że piętnaście luidorów miało wielki powab dla biednego chłopaka, olśnionego obecnością tylu dystyngowanych osób. Koniec końcem, chłopiec sprzedał i wydał

psa, którego nazajutrz związano, zapakowano do pocztowego powozu, następnie w Calais wzięto na okręt i zawieziono do Londynu. Po jakimś czasie chłopiec zaczął opłakiwać swojego psa i czynić sobie wyrzuty sumienia, lecz... jakaż niespodziewana radość! Po upływie dwóch tygodni, ów zmyślny pudel, ni ztąd ni zowąd, ukazał się znowu w Paryżu przed hotelem. Od tego czasu jednak pan jego dawny nigdy z nim się już nie rozłączył.

Nowosielski.

5. Troskliwość macierzyńska żmii.

(Żmije są o dzieci swoje nadzwyczaj troskliwe i, przez trzy pierwsze miesiące po wylęgnięciu, szczególniejszym sobie właściwym sposobem, chronią je przed niebezpieczeństwem. Skoro matka żmija, na widok jakiego niebezpieczeństwa, zasyczy, wszystkie dzieci spieszą do niej i wsuwają się do jej otwartej paszczy, a następnie do gardła. Z tak ukrytymi w gardle dziećmi umyka w bezpieczną kryjówkę między ciernie, lub w stos nagromadzonych kamieni. Po przejściu niebezpieczeństwa, wypuszcza znowu swe dzieci na wolność i bawi ciągle w ich bliskości. Pospólstwo nasze dostrzegło wprawdzie to chowanie się żmijąt do gardła rodzicielki swojej, ale, nie śledząc dalej tego czynu, usunęło bajkę, że żmija własne swe dzieci pożera. Tym sposobem jej troskliwość macierzyńską poczytano za żarłoczność złośliwą i przyrodzie przeciwną.)

Feliks Paweł Jarocki, 1851 r.

6. Wierny pies.

Pawien kupiec puścił się konno w podróż ze swoim wiernym pudlem. Celem tej podróży były pieniądze, które miał odebrać od swego dłużnika. Odebrawszy pożyczoną sumę, wracał spokojnie do domu. W drodze spadł z konia tłómczek, w którym znajdowały się pieniądze. Zamyślony kupiec nie wiedział o poniesionej stracie, ale wierny pudel

spozstrzegł natychmiast zgubę, chciał ją uchwycić zębami i zanieść panu, ale że tłómaczek był za ciężki, więc nie mógł go udźwignąć. Pobiegł więc za swoim panem, wyskoczył przed konia i czekał nieustannie, lecz kupiec nie mógł odgadnąć przyczyny. Krzyknął na psa, aby umilkł, ale to nic nie pomogło; uderzył go prętem, lecz wszystko było nadaremnie. Wierny pies nie przestawał czekać i wyć przeraźliwie i skakać, jak gdyby gwałtem swego pana chciał ściągnąć z konia. Gdy kupiec odpędził psa kilkoma plagami, zaczął on szarpać konia, jakby mu chciał dać poznać, aby się zawrócił. Kupiec się przeląkł, myśląc, że się pies wściekł. Lubił on bardzo psa swego i bolało go to niewypowiedzianie, że go będzie musiał zastrzelić. Długo starał się on uspokoić psa, przemawiając do niego, ale, gdy nic nie pomogło, wziął pistolet, wymierzył i, zamknawszy oczy, wystrzelił. Wierny pies upadł, ale się podniósł za chwilę i, skowycząc, przywłókł się do swego pana, który nie mógł znieść tak rozdziérającego widoku. Dał więc koniowi ostrogą i pojechał dalej. Po chwili jednak obejrzał się i spostrzegł, że zgubił swój tłómaczek.

Żal ogarnął jego serce i teraz dopiero odgadł przyczynę, dla czego pudel czekał tak uporczywie. „O! ja okrutny!“ zawołał, i poleciał pędem, stroskany więcéj o pudła, niżeli o pieniądze. Nie znalazł on psa w tém miejscu, gdzie go zastrzelił, ale widział po krwi, że dalej powlec się musiał. W największej obawie jechał więc za krwawym śladem, aż oto!... któż zdoła skręślić boleść jego? zobaczył psa leżącym przy worku z pieniędzmi, do którego się przywłókł. Kupiec zeskoczył z konia, aby się przekonać, czy jest jeszcze jaki ratunek; ale nadaremnie. Pies umierający lizał mu spokojnie rękę i za chwilę dokonał życia.

VII. ŻYCIE SPOŁECZNE.

A. OPISANIA.

1. Dwór wiejski.

Dom był murowany, staroświecki; środek trzymał między kamienicą, a zamkiem. Ganek był na słupach kamiennych wsparty; sień—obszerna ze sklepieniem; sala po lewej ręce—jeszcze obszerniejsza od sieni; mury — okryte staremi i trochę nadbutwiałymi szpalerami*), na których wydane były historyje starego testamentu. Gdzieindziej były lustra**) posrebrzane, a w każdym świeca; kredens, obwieszony balustradą***), pełen był mis i pucharów pstrozłocistych. Okna niewielkie, żelaznemi kratami obwiedzione, znaczyły zamek, niegdyś obronny. Stały w niektórych miejscach krzesła z poręczami, wybite pozłacaną skórą w kwiaty; gdzieindziej były stołki i ławy.

Drugi pokój był o dwóch oknach i te równie w grubości murów, tak, jako i na sali, skryte, żelaznemi kratami obwarowane były. Obicie miał w bryty: jeden, atlasowy, płomienisty w różnych kolorach, drugi, szyty włóczką, nakształt kobierców. Niezmiernej wielkości piec zabierał prawie czwartą część pokoju; przy nim równiej proporcji****) komin dodawał ciepła sowitym ogniem. W środku izby był stół, dywanem tureckim okryty; na nim, w dwóch wiel-

*) Obiciami. **) Żyrandole czyli pająki. ***) Poręczą na słupkach opartą. ****) Stosownych rozmiarów.

kich lichtarzach roboty Auszpurskiej*), stały świece zapalone. Koło drzwi był zégar, na tarczy malowanej; naprzeciw niego obraz, nie wiem, czy pobożny, czyli z historyi świeckiej, nic albowiem od brudu i zakurzenia rozeznąć w nim nie było można. Drzwi, portyjerą**) zasłonię, wiodły dalej do pokoju sypialnego.

Ignacy Krasicki. 1784

2. Domek mojego dziadka.

Kilka chat i mały obszar ziemi składały dziedzictwo mojego dziadka. Dwa ogródki jego, gajem wiśni, jabłoni i grusz zarosłe, brzęczały rojami pszczołek; na gumnisku zawsze hasało kilkoro pięknych żrębiąt i corocznie wielka część jego pola złotym pszenicy okrywała się kłosem, a obfitość i dostatek napełniały mu stodoły, spiżarnie i śpichrze.

Domek dziadka, chędogi, wesoły i ludny, zawierał dwie izby, pokojami honorowemi zwane, alkówkę z garderóbką i bokówkę z alkierzykiem. Bokówka, z dużym kominem, piecem jeszcze większym, szerokim zydlcem koło pieca i długim zapieckiem, była miejscem najwalnniejszych spraw domowych: tu panowie i słudzy zgromadzali się przededniem na różaniec, wieczorem—na godzinki; tu przy kawie rano snów tłómaczenie i tu wieczorem przy kominie o upiorach i strachach gwary, tu furczały wiecznie dwa kołowrotki; tu nakoniec, w Niedziele i święta, panna Helena, córka nieboszczyka ekonoma, do familijnej przyswojona gromady, siedząc przy piecu na zydelku, cieniutko śpiewała światowe pieśni. Rzadko jednak goście mieli wstęp do bokówki; dla nich dwa paradne były pokoje. W pierwszych z nich wielki obraz Bogarodzicy główną zajmował ścianę; kredens i inne sprzęty proste dogadzały tu koniecznej tylko wygodzie. Drugi pokój, o! drugi pokój na zbytek zakrawał:

*) Augsburgskiej. **) Zasłoną.

tu—kanapki, dywanikami zasłane; tu staroświeckie, w kwiaty malowane obicia okrywały ściany; tu — stolików parę, niegdyś także malowanych: na jednym — warcabnica, na drugim—talija kart Polskich, dobrze ogranych, i filiżanka z garścią bobu na marki; tu bowiem był plac rozprawy w maryjasza i ćwika.

Ignacy Chodźko.

3. M o d n y p a ł a c.

Trafiło mi się niedawno być w gościnie u syna przeszłego naszego wojewody. Ten, świeżo powróciwszy z cudzych krajów, ze staroświeckiego pradziadów zamku zrobił modny pałac. Piękniejszy był, prawda, po reformie*), ale, co zyskał na ozdobie, stracił na wspaniałości. Można było połączyć poważną staroświecczyznę z terazniejszą wytwornością. Jeszcze były niektóre apartamenta**) nie ze wszystkiem dokończone; zaprowadził nas tam ów panicz po obiedzie. Aż mi łzy stanęły w oczach, gdy m spostrzegł z sali wyrzucone portrety jego przodków; pytałem się więc troskliwie, gdzie je myślał pomieścić? Odpowiedział, iż te obrazy bardzo były już stare, zakopciałe; stroje—dziwackie;—z brodami, wąsami, czuprynami, ferezyjami, jak stangreci; kazał więc je wyrzucić. Tknięty do żywego, tylem wymógł, iż rozkazał ich szukać; znaleziono je pod strychem. Ja, bojąc się, żeby ich nareszcie nie spalili, prosiłem o nie. Dał mi je z ochotą, śmiejąc się z mojej prostoty. Ubogacony tak szacownym skarbem, starałem się tam go złożyć, zkądby go znowu jaka modna fantazja***) nie wyrzuciła. Są teraz w klasztorze fundacyi****) tego zacnego domu i trwać może będą dotąd, póki, dla zaszczytu narodu, na miedzi wyrte nie będą.

Ignacy Krasicki. 1778.

*) Po przerobieniu. **) Pokoje. ***) Przywidzenie. ****) Uposażenia.

B. L I S T Y.

1. List Zygmunta Krasińskiego do synów.

Heidelberg 1855 roku.

Kochani moi Adziu i Lili*). Oto liściki od dziadzi; przysłał téż dla was sto guldenów; oddam je wam za zobaczeniem.

Patrzcie, jaki dziadzio dobry i jak ciągle pamięta o was. Pomyślcie, moi drodzy, co byście wy dla dziadzi uczynić mogli. Co? pytam się was. Jaki mu najstosowniejszy podarunek złożyć? Czy nie domyślicie się sami?

Jeśli nie, to wam powiem. Wy nic mu dać nie możecie, czego by on nie miał, prócz jednej rzeczy, to jest waszych modlitw do Pana Boga o jego całość, zdrowie i najdłuższe lata. Czy prawda?

Biédny Jan**) wczoraj rano skonał na rękę moich i mamy o wpół do dziewiątej z rana, a świętobliwą śmiercią zszedł z tego świata, z zupełném oddaniem się woli Bożej, i wyzionął ducha w samejże chwili, w której ksiądz, stojąc przed nim, wymawiał ostatnie słowo rozgrzeszenia.

Zapłaczcie nad nim, bo on was bardzo kochał, bardzo. I jeszcze zawczoraj w wieczór prosił, by mu przyniesiono wasze obrazy z góry. Mama kazała je znieść i zawiesić w jego pokoju. Patrzył na nie, już ledwo mogąc oddychać, i błogosławił wam. Pomódlcie się za tego wiernego od lat dwudziestu czterech sługę ojca waszego. Za chwilę z mamą siadziem do powozu, aby ciało jego odprowadzić na cmentarz, gdzie wczoraj grób mu kupiliśmy.

Jak Adzio i Lili byli maleńkiemi, ileż to razy Jan ich na rękę piastował i strzegł i bawił! Zapłaczcie i módl-

*) Władysław i Zygmunt, dwaj synowie Zygmunta Krasińskiego. **) Stary sługa domu.

cie się za niego, moje drogie dzieci. Ściskam was w głębi serca; wkrótce się zobaczymy: w Poniedziałek zapewne sam do was i po was przyjadę. Mama nie jest chora, ale ogromnie zmartwiona zgonem pocziwego Jana.

2. List. A. Mickiewicza do córki Maryi *).

Stambuł, 3 Października 1855 r.

Listy wasze jeszcze mię tu znalazły. Dobrze jest, że mi dajecie często wiadomości; ostatnie ucieszyły mię. Rad jestem, że Helenka**) czynnie trudni się domem; potrzeba, żeby nie ustawała w gorliwości.

Nie wiem, dla czego dzieci zatrzymano tak długo na wsi; lepiej było odwieźć je do szkoły z początkiem Października, a miałyby nieco czasu do przygotowania się. Zdaje mi się, że to polecił przed odjazdem.

Podziękuj bardzo pannie Zofii***) i za list i za przepisanie memoaru; jeśliby później wypadła potrzeba podobnych robót, należy, abys wzięła je, Maryniu, na siebie, nie obciążając cioci, już i tak zatrudnionej dosyć.

Dziś wyjeżdżamy do Burgas. Przez czas pobytu nic tu nie zaszło ważnego. Żyjemy zwyczajnym sposobem, tylko Henryk****) w ciągłych uniesieniach nad Wschodem. Na wszystko patrzy dyjamentowemi okularami: dziwy opowiada i dziwy spisuje; jemu tedy zostawiam opis malowniczej naszej podróży. Wszakże wynotuję wam prozaicznie stanowiska jęj główne. Kiedy dzieci przyjdą w Niedzielę ze szkoły, niech na mapie wykręślą drogę, kędyśmy żeglowali. To egzamin z geografji.

Owóz, po odjeździe z Małty, kierowaliśmy się ku brzegom Lakonii, mając zdaleka na widoku Kretę z jęj górą

*) Maryja wyszła w roku 1857 za mąż za Tadeusza Góreckiego, syna Antoniego. **) Młodsza córka Mickiewicza. ***) Przyrodnia siostra żony Mickiewicza, po owdowieniu poety w roku 1855 i wyjeździe na Wschód, opiekowała się przez 3 lata osieroconemi jego córkami; w roku 1862 wyszła za mąż za Teofila Lenartowicza. ****) Służalski.

Idą. Opłynęliśmy przylądek Matapan; Oleś powinien wiedzieć, jak się nazywał klasycznie i jaka tam była niegdyś świątynia. Zostawiliśmy wyspę Cyterę i dążyliśmy wśród Cyklad ku Paros i Syro. Tam nas nie przyjęto, żeśmy mieli chorych i jednego nieboszczyka. Pochowano go na wyspie Delos; miejsce to—dziś puste i brzeg lazaretu—obstawiony strażą. Dalej, między Chijos i lądem, zakręciliśmy ku Smyrnie, z kądem wracając i zbliżając się ku brzegom między Lesbos i dawnym Pergamem, ujrzelśmy Idę Trojańską, gdzie tyle razy bogi Greckie schodziły się na radę. U stóp Idy—równiny Trojańskie. Byliśmy zbyt daleko od ujścia Ksantu i Symoentu, żeby je dojrzyć, ale grób Achillesa—postawiony w tak szczęśliwie wybranem położeniu, że, długi czas i z różnych stron zawsze widny, panuje nad całym pomorzem. Grób Ajaksa—nieco dalej, mniej wyraźny. Cieśnina Dardaneńska jest tak szeroka, że trudno byłoby wierzyć, aby ją kto mógł przepłynąć, gdyby tego w naszych czasach Bajron nie dokazał. Bosfor, choć węższy, uważałem jednak, że ma silne prądy, przebył go jednak wpływ niegdyś nasz Zwierkowski, czego pamięć trwa dotąd u Turków. Można go tedy po Leandrze i Bajronie liczyć za trzeciego arcyprywarca.

Miejsce, gdzie koczujemy, jest także pełne wspomnień. Blisko od nas leży Jazonija, sławna tém, że Jazon z Argonautami czas jakiś tu popasał, a z drugiej strony Ajantyon, gdzie niegdyś obchodzono corocznie igrzyska na cześć Ajaksa, syna Telamona. Tego wszystkiego została tylko pamięć i to w książkach. Tureckie mrowisko wszystko roztoczyło i obsiadło; Grecy nawet tutejsi o wszystkiém dawném zapomnieli.

Pozdrawiam was i ściskam.

A. M.

C. P O W I A S T K I.

1. Tajemnica.

— Mój Karolku, powiedz mi, co to jest tajemnica?— zapytała ośmioletnia Helenka swego szesnastoletniego brata, który wszedł do dzieciennego pokoju, szeptał coś z mamą, potem ze starą Wróblewską, dawną swą nianką, i przechadzał się po pokoju. Ciekawa Helenka zapytała Wróblewskiej o powód tych szeptów, a otrzymawszy odpowiedź, że to jest tajemnica, udała się do brata o objaśnienie jój tego wyrazu.

— Co to jest tajemnica? — powtórzył Karol.

— Tak, tajemnica,—zawołała zniecierpliwiona Helenka.

Karol zaczął kręcić głową, mrużyć oczy, zamyslił się głęboko. . . .

— Pokaż mi tajemnicę, mój drogi; chcę zobaczyć, jak téż ona wygląda.

— Dziwne to jest zwierzątko, Heluniu; myślisz, że ją jak najmocniej trzymasz w ręku, aż tu ani spostrzeżesz, jak ci się przesliznie między palcami, wyleci na świat, a wtedy żadnym a żadnym sposobem nie zdołasz go już napowrót pochwycić.

— Zwierzątko!... a jakiegoż koloru? rzekła Helenka, robiąc wielkie oczy.

— Bywają tajemnice czarne, straszne, przerażające; bywają téż bardzo piękne, radosne, wesołe, jasne. Właśnie mam jedną, któraby cię niezmiernie uradowała.

— Oh! mój najdroższy, mój złoty, pokażże mi ją!

— Bardzo przepraszam, ale nie mogę.

— A gdzież ją masz.

— Tu,—rzekł Karol, pokazując na kieszeń od tużurka.

— W kieszeni. Oh! mój Karolku, nie może być! zwierzątko!

— A teraz wyjmę ją niezadługo i posłę w podarunku jednemu z mych przyjaciół.

To mówiąc, Karol siadł przy biurczku Helenki, przysunął kałamarz, wziął papier i pióro do ręki. Helenka dziwiła się niezmiernie, co téż on myśli robić z atramentem, papierem i piórem, i pomyślała zaraz, że będzie mogła zobaczyć, jakim sposobem wyjmie on tajemnicę i zawinie ją w papier. Musi to być szczególne zwierzątko, kiedy się daje tak łatwo wyjąć z kieszeni i zawinąć w kawałek papieru. Stała więc za krzesłem Karola, spięła się na paluszkach i wyciągnęła szyję, aby lepiej dojrzeć, lecz, jak tylko Karol spostrzegł, że stoi przy nim, odwrócił się i zganił ją za tę ciekawość.

— Bardzo cię proszę, odejdz zaraz; czy myślisz, że mógłbym bezpiecznie wyjąć tajemnicę i włożyć ją w list, gdy ty stoisz mi za plecami. Twoje ostre oczki z pewnością by ją zabiły. Bądź tak dobra, wyjdź z pokoju i zamknij drzwi za sobą.

Dalszy ciąg.

— Co téż to musi być za dziwne stworzenie ta tajemnica? myślała sobie Helenka. Karolek mówi, że czasami są bardzo piękne i że jego tajemnica bardzo by mi się podobiała. Jaki on niedobry, że mi nie pozwolił zostać w dzieciennym pokoju.

Gdy tak rozmyślała i łamała sobie główkę, dano znać, że waza na stole. Z jakiejś przyczyny dnia tego pośpieszono się bardzo z obiadem. Helenka wybiegła; w sieni spotkała Karola; trzymał w ręku list, a przechodząc obok niej, podniósł go wysoko nad główką siostry: — No! Helenko, czy byś czasem nie chciała zajrzeć w środek tego listu? Moja tajemnica jest w nim zamknięta.

— Pozwól, mój braciszku, pozwól!

— Nie mogę, żadną miarą. Jesteś tak rozciekawiona, że, gdybyś gwałtownie spojrzała, zabiłabyś ją na miejscu.

— Nie bój się; spojrzę bardzo łagodnie, po cichuteńku; ty wiesz, że ja nigdy nawet muszki nie zabiłam. Mój Karolku, mój najukochańszy Karolku, pozwól tylko na chwilkę.

Lecz próżne były jój błagania: zanim się bowiem spostrzegła, Karol, śmiejąc się do rozpuku, wbiegł do gabinetu ojca i włożył list w teczkę, którą codziennie po południu zabierał służący i roznosił listy podług adresów.

Po obiedzie, a raczej po śniadaniu, rodzice Helenki i Karol zaczęli się wybierać w drogę. Wyjeżdżali na kilka dni w sąsiedztwo, do państwa Z*, przyjaciół jój ojca. Helenka wiedziała dobrze, że jeszcze była zbyt małą, aby jeździć z wizytami do obcych osób, nic ją więc nie dziwiło, że ma zostać w domu, jednak jój było trochę markotno, gdy inni rozmawiali o przyjemnościach tej wycieczki. Dano znać, że powóz zajechał. Przez kwadrans wszyscy się krzatali, ubierali; Helenka dopomagała, jak mogła: podawała parasole, szukała rękawiczek mamy, nosiła małe pudełeczka i czyniła różne przysługi. Wreszcie, gdy ją już wszyscy pożegnali i siadali do powozu, mama zatrzymała się chwilkę, jeszcze raz serdecznie ucałowała córeczkę i rzekła do niej:

— Nie smuć się, Helenko, naszym odjazdem; wiem, że będziesz bardzo kontenta.

Dziwiło to mocno Helenkę, zkąd mama mogła przypuszczać, że ona będzie kontenta z odjazdu rodziców, gdyż przeciwnie, usłyszawszy turkot odjeżdżającego powozu, bardzo jój się przykro zrobiło. /

Dalszy ciąg.

W domu wszystko się uspokoiło. Zostali tylko służący, Helenka i mały jój braciszek Staś, który jeszcze nie umiał chodzić. Wróblewska położyła Stasia w kolébkę, ukołysała go i zapowiedziała Helence, żeby się cicho sprawiała i nie obudziła dziecka, ponieważ chciała wszystko posprzątać

i poukładać i dla tego życzyła sobie, żeby Staś spał parę godzin spokojnie. Helenka wiedziała, że, jak Wróblewska weźmie się do roboty, to nie lubi, żeby jęj przerywano i żeby z nią rozmawiano. Dziewczynka wzięła lalkę, zaczęła ją ubierać, lecz wkrótce się znudziła, wyszła z dziecinnego pokoju, biegła po całym mieszkaniu, które wyglądało smutnie, próżno, bardzo nieprzyjemnie, i tak jakoś niechcący weszła do gabinetu ojca. Pierwsza rzecz, jaka jęj wpadła w oczy, była teka; w tęg tece była zamknięta tajemnica; zaczęła o nią rozmyślać, a im więcej się nad tęg zastanawiała, tym trudniej jęj było odwrócić oczki. Helenka codziennie powtarzała, mówiąc paciérz: „I nie wóđz nas na pokuszenie.“ Mama wytłomaczyła jęj znaczenie tych wyrazów, lecz widać, że w tęg chwili całkiem nie pamiętała o paciérzu. Uległa pokusie, pozwoiliwszy sobie zbyt długiego wpatrywania w owę tekę, i zbyt gorącego życzenia dojścia tajemnicy, a tym bardziej uległa, gdy jęj przyszło do główki, że, jak tylko wyciągnie rękę, już będzie mogła wziąć list. Te myśli tak ją dręczyły, tak ją zaprzętały, iż uczuła, że, jeśli dłużej pozostanie w tęg samym miejscu, nie będzie się im w stanie oprzeć.

Zaczęło się ściemniać; wiedziała, że wkrótce służący przyjdzie po listy, a Wróblewska zawoła ją na herbatę. Wzięła więc lalkę i z wolna zaczęła wychodzić z gabinetu. Sam nie wiem, jak się to zrobiło, że mimowolnie zbliżyła się do biurka. Teką spadała na podłogę. Wysypały się papiéry; schyliła się, by je pozbiierać; na wierzchu leżał list; poznała pismo Karola. Trudno wam opisać, co się z nią działo, porwała ten list, schowała go do kieszeni, inne włożyła do teki, uciekła z gabinetu, jak gdyby ją kto gonił. Zaledwie zrobiła kilka kroków, usłyszała za sobą stępanie. Dreszcz ją przeszedł. Służący wszedł do pokoju, zabrał papiery i wychodził na miasto; chciała go zawołać i oddać mu ten list nieszczęśliwy, lecz tchu jęj zabrakło; nim zdą-

żyła krzyknąć, już był na ulicy. Nie śmiała pomyśleć o tém, czego się dopuściła.

Właśnie w téj chwili dał się słyszeć głos Wróblewskiej:

— Panienko, panienko, proszę na herbatę; byłaś grzeczną cały dzień, bardzom z ciebie kontenta; dopieroż to ucieszy się mama jak jój opowiem, że Helusia tak się pięknie sprawowała.

Potém Wróblewska przysunęła Helence krzesło, ukroiła jój kawałek chleba z masłem, podała kurczę z obiadu, i wreszcie ucałowała panienkę. Helence przykro było słyszeć pochwały piastunki; nie mogła nic jeść, zdawało jój się, że ją chléb udusi. Ten list w kieszeni dręczył ją niesłuchanie; raz czuła dotkliwe zimno, to znowu gorąco piekło ją straszliwie, czasami ją coś szczypało.

Dalszy ciąg.

Sprzątnięto od herbaty; piastunka rozbiérała Stasia. Zwykle Helenka bawiła się w wieczór z braciszkiem, śpiewała mu piosenki, umiała bowiem śpiewnik Jachowicza, pokazywała mu lalki i robiła różne figielki. Dziś nie miała żadnego usposobienia do zabawy. Gdy Wróblewska zajęta była sianiem łożek, Helenka wysunęła się z pokoju i wybiegła na schody, gdzie się paliła lampka. Przysunęła się pod samą lampkę, wyjęła list z kieszeni. O! gdybyście wiedziały, kochane dzieci, jak jój rączki drżały! Niech was Bóg uchwowa od podobnej niespokojności. Oderwała pieczętkę, wyjęła list, wytrząsnęła kopertę i list na fartuszek, żeby jój tajemnica nie ugryzła. Nic nie wypadło; pewnie tajemnica uciekła; obejrzała się, potém zaczęła obracać na wszystkie strony i wyczytała, co następuje.

„Kochana ciociu!“

Wyjeżdżamy dziś na parę dni do państwa Z*. Mama jest tak zajęta, że nie ma chwili swobodnej do napisania kilku wyrazów, kazała mi więc pozdrowić ciocię i prosić ją bar-

dzo o przysłanie jutro po Helenkę, której nie bierzemy ze sobą. Państwo Z*, jak cioci wiadomo, nie mają małych dzieci; mama korzysta z téj sposobności, żeby Helence za jój grzeczność zrobić przyjemność. Może zostać przez cały czas naszój nieobecności. Jeżeli ciotka nie zechce sama się pofatygować, to może przyjedzie Manieczka z guwernantką. Wróblewska wszystko przygotowuje. Helenka nic o tém nie wie, jest to tajemnica; dopieroż się ucieszy, gdy się dowie o wszystkiém. Rodzice kazali ucałować rączki ciotuni; nie poprzestając na tém, zaraz po powrocie spełnię osobiście ten rozkaz. Proszę także ucałować stryjaszka i Mańcię.

Przywiązany siostrzeniec

Karol.

P. S. Jestem bardzo kontent z Helenki: wybornie się uczy; mam także dla Mani przyobiecane rysunki; przyniosę je natychmiast po naszym przyjeździe.

Karol.

Tak więc tajemnica wyszła na jaw; poznała ją Helenka. Jakże odmienną była od tego, jak ją sobie wyobrażała. Zgniotła list w kulkę i wyrzuciła przez lufcik; wiatr go porwał i zaniósł daleko, daleko. Nie potrafię wam opisać, co się działo z dziewczynką: łyzy dusiły ją, serce jój pękało. Pomysłu sobie, że tak szkaradnie postąpiła wówczas, gdy rodzice i Karol układali dla niój tak wielką przyjemność! To też przedewszystkiem zapłakała nad przyjemnością, której się samowolnie pozbawiła; potém zastanowiła się nad grzechem i złém, jakiego się dopuściła. Ach! Boże! Boże! Ciocia nie dowie się, że Helenka sama została w domu, zkądże mogłaby przysłać. Zamiast pójść do cioci, bawić się z Marynią, grać teatrzyk, oglądać nowe książeczki, zabawki, wieczorem pojechać z ciocią do kogo z wizytą, zamiast tysiąca przyjemności, — siedzieć w domu, nudzić się i martwić tak okropnie, a to wszystko z własnéj winy, przez ciekawość.

Dalszy ciąg.

Helenka wróciła do pokoju, cała zalana łzami. Wróblewska dopytywała się o powód płaczu; myślała, że zapewne tęskni za rodzicami, uspokoiła ją, ugłaskała, rozebrała, położyła do łóżeczka, mówiąc:

Uspokój się Helenciu, uspokój, da Bóg doczekać jutra, to sobie wszystko wynagrodzimy. Tylko bądź cicho, nie płacz.

Helenka tak się zmęczyła płaczem i zmartwieniem, że usnęła wreszcie. Miała ona bardzo przykre sny; ciągle jój się snuły po głowie listy; widziała, jak jeden list spadł z góry, niby to człowiek, a upadając na bruk, połamał sobie ręce i nogi. To okropne! Przebudziła się, skoro świt, a pierwsza myśl, jaka jój się nasunęła, był list wczorajszy. Chciała się bawić, lecz nie mogła sobie znaleźć miejsca; wszystko ją dręczyło, wszystko nudziło.

Tymczasem Wróblewska powyjmowała z szafki najpiękniejsze sukienki i fartuszki Helenki, ułożyła je na boku, obejrzała bieliznę dziewczątka i powiedziała jój, aby zebrała nowe zabawki.

— Wszystko się to przyda, tylko cierpliwości, paniuniu. Idź do okna wyjrzyć, czy czasem kto nie zajechał.

Ubrała Helenkę w nowiuteńki płaszczyk, który dostała od cioci, i włożyła jój na główkę kapelusik okrągły. Wiedziała Helenka, co znaczą te przygotowania. Powozy ciągle przejeżdżały koło okien; żaden się nie zatrzymał. Wybiło południe; zjedli obiad; potem trzecia, czwarta; nadszedł wieczór. Wróblewska zaczęła szemrać, gniewać się, mówić ciągle do siebie:

— Co też to się znaczy! nie pomyśleć o dziecku! odkładali, odkładali na ostatnią godzinę; wiedziałam, że to tak będzie; kontenci, że się sami bawią! Mój biedny aniołek — smutny, że się aż chce płakać człowiekowi.

Rozebrała dziecinę, całowała ją gorąco; Helenka zanosila się od płaczu, lecz nie chciała nic powiedzieć. Teraz poznała, co to jest tajemnica.

Tak minął dzień pierwszy, drugi i trzeci. Czwartego dnia przyjechali rodzice i Karol. Byli bardzo weseli, wybornie się bawili; sprzyjała im pogoda, wszystko poszło podług ich życzeń. Spodziewali się, że Helenka również jest zadowolona i że im opowie mnóstwo nowości. Mocno się pomartwili na wiadomość, że Helcia przez cały ten czas nie wyszła za próg, że ciocia nie przysłała po nią i że dziecina ta kilka dni spędziła we łzach i westchnieniach.

Gdy się wszystko uspokoiło, Helenka opowiedziała papie i mamie swą przygodę. Dobrzy rodzice, mając wzgląd na jęj prawdomówność, szczęry żal i zmartwienie, jakiego doznała w ciągu tych dni kilku, nie robili jęj żadnych przykrych wymówek, lecz nazajutrz, gdy Helenka przyszła do gabinetu ojca i swoim zwyczajem zajęła się czytaniem, on wziął ją na kolana i miał z nią rozmowę długą, poważną, daleko poważniejszą i dłuższą, niż wszystkie dotychczasowe pogadanki.

Najpięrw objaśnił jęj, jak niegodziwą jest rzeczą wglądać w cudze papięry, czytać cudze listy, podsłuchiwać rozmowy; że człowiek, dopuszczający się podobnych nadużyć, jest powszechnie nienawidzony i wzgardzony; że nikt uczciwy nie poda mu ręki; że wszyscy go unikają i zrywają z nim stosunki, i wiele innych podobnych rzeczy.

— Niech ta mała przykrość będzie ci nauką,—mówił dalej,—że powinnaś cierpliwie czekać na spełnienie danych ci obietnic; ktokolwiek gwałtem goni za przyjemnością, napotyka najczęściej zawód i smutek; kto czeka i pokłada ufność, zawsze na tém wygrywa i stokrotnie jest wynagrodzony.

1862 r.

2. Czarnoksiężnik.

Pani G*, bogata wdowa, mieszkała na wsi we wspa-
niałym pałacu, gdzie licznych przyjmowała gości i kilku
trzymała służących.

Razu pewnego, gdy wyjechała w sąsiedztwo, trzej słu-
żący zmówili się i, wszedłszy oknem do jój pokoju, zabrali
szkatułkę, w której zwykle chowała droższe przedmioty:
bransolety, łańcuchy i t. p. ozdoby.

Obładowani skarbem, zakopali szkatułkę w ogrodzie,
a dla odwrócenia podejrzeń, postanowili czas jakiś pozostać
jeszcze w tym domu.

Po powrocie, pani G* spostrzegła natychmiast szko-
dę, zawołała do siebie wszystkich domowników, wypytu-
jąc się z łagodnością każdego pojedynczo, czy nie zabrali
szkatułki, i przyrzekając nagrodę za wykrycie sprawcy.
Gdy jednak wszystkie prośby pozostały bez skutku, wezwa-
ła policję. Pomimo najstaranniejszych poszukiwań, nic się
nie wykryło.

Jedna z sąsiadek, dowiedziawszy się o téj smutnej
przygodzie, osoba przesądna i zabobonna, doradziła pani
G*, aby udała się do pewnego wieśniaka, pasterza, słyną-
cego w okolicy z zamawiania uroków, odwracania złego
i tym podobnych bajek, jak się to często zdarza po wsiach
i małych miasteczkach. Pani G*, osoba światła, rozumna,
nie chciała o tém słyszeć; pomimo przykrości uśmieła się
serdecznie, lecz w końcu, ulegając prośbom sąsiadki i dla
ubawienia się, zezwoliła na tę próbę, zaprosiwszy umyślnie
kilkanaście osób do siebie.

Czarnoksiężnika przywołano do pałacu.

— Wiele słyszałam o twojej zręczności i zdolnościach,—
rzekła doń pani G*.

— Tak mówią; człowiek posiada różne leki i tajem-
nice,—odpowiedział wieśniak.

— Podobno masz sposób odszukiwania zgubionych rzeczy.

— Niedawno, cztery niedziele temu, znalazłem wołu, który zginął memu sąsiadowi.

— Jakimże sposobem?

— Nie mogę powiedzieć; to moja tajemnica.

Rzeczywiście znalazł wołu w lesie, gdy pojechał tam chróst zbierać.

— No! proszę cię, dopomóż mi. — I opowiedziała mu szczegóły kradzieży, jakiej była ofiarą.

Wysłuchał z uwagą, w milczeniu, kiwając głową w prawo i w lewo i skrobiąc się w uszy; nie miał bowiem najmniejszej nadziei wykrycia złodzieja. Nie śmiał jednak przyznać się do swjej niewiedomości, aby nie stracić wiarygodności u ludzi.

— Jak będzie, tak będzie, — pomyślał sobie, — warto jednak coś skorzystać! — Umówił się o wynagrodzenie, prosił o pozwolenie zamieszkania przez trzy dni w pałacu i zastrzegł sobie trzy obfite obiady.

— Trzy dni, trzy obiady, zawsze się coś zyska; ludzie w sąsiedztwie mówić o mnie będą, i to coś znaczy.

Roztasował się więc w pięknym pokoju, spacerował po pałacu, zwiędzał wszystkie kąty; mruczał jakieś wyrazy, niby to, że odmawia zaklęcia, a w rzeczy samėj powtarzał tylko sobie: „Ciekawym bardzo, jak ja się z tego wywinę, jak się to skończy.“

Dalszy ciąg.

Trzej służący, sprawcy kradzieży, ruszali tylko ramionami, bo wiedzieli dobrze, że to poprostu wydrwigrosz i wcale nie posiada żadnych środków wykrycia ich niegodziwości. Wszelako mieli się na baczności, winowajca bowiem nigdy nie jest spokojny; chociażby nikt nie był świad-

kiem jego występku, chociażby ukrył najstaranniej dowody winy, zawsze się lęka, zawsze jest spłoszony, albowiem dręczy go sumienie.

Piérwszego zaraz dnia, pani G*, stosownie do umowy, posłała mu wysmienity obiad. Usługiwał mu jeden z tych służących i wpatrywał się pilnie w naszego czarnoksiężnika. Ten, pod koniec obiadu wesoły, nasycony, myślący o przyjemności, jakiej nigdy nie używał, wyciągnął się na krzesło, spojrzał na służącego i rzekł głośno: „No! otóż i piérwszy.“

Służący zadrżał, zmieszał się, pobiegł do swych towarzyszy, mówiąc im: „Odkrył mię, tak, odkrył; powiedział, patrząc na mnie: To jest piérwszy!“

Dwaj inni naśmiali się z niego, lecz, aby ich czasem nie zdradził swoim przełękniem, umówili się, że sami będą usługiwać czarnoksiężnikowi.

Rzeczywiście nazajutrz przyszedł drugi. Pod koniec obiadu powtórzyło się toż samo. Pastuch znowu wyciągnął się i wykrzyknął: „No! otóż i drugi.“

Służący, usłyszawszy to, tak się przeraził, że upuścił talérze i wybiegł, jak oparzony.

Przyszła kolej na trzeciego. Ten chodził krokiem lęklwym, nie śmiał spojrzeć na wieśniaka, nie wiedział, co ma z sobą zrobić, czekał końca obiadu. Po skończeniu jedzenia, pastérz wstał i zawołał: „No! więc i trzeci.“

Nie domówił jeszcze tych słów, gdy służący padł przed nim na kolana, wyznając wszystko. Jego spółnicy, czekający pode drzwiami, wbiegli do pokoju, zaklinając go z płaczem, przysięgali, że wszystko oddadzą, byle tylko ich nie gubił.

Wieśniak nie wiedział, co się z nim dzieje, jeszcze się bardziej zmieszał, niż oni. Nie spodziewał się wcale tak nadzwyczajnego obrotu rzeczy, natychmiast jednak przyszedł do siebie.

— Ach! łotry, zbrodniarze, myśleliście, że się złe ukryje; że moja mądrość i sztuka nie przyniosą żadnego skutku. Dalej! oddajcie szkatułkę.

W jednej chwili szkatułka była w pokoju. On z tryumfującą miną zaniósł ją pani G*, opowiedział, że wykrył właściwemi sobie sposobami trzech winowajców i znaczną za to otrzymał nagrodę.

Któż rzeczywiście skłonił służących do przyznania się? Obawa, niepewność, sumienie.

Gdy wieśniak zawołał po pierwszym obiedzie: „Otóż i pierwszy,“ myślał po prostu o tém, że zjadł pierwszy wyborowy obiad i że nic a nic nie przedsięwziął dla dojścia sprawcy kradzieży. Toż samo powtórzyło się przy drugim i trzecim. Zbiegiem okoliczności, posługujący mu winowajcy wzięli to do siebie i przyznali się do wszystkiego.

Sumienie jest to towarzysz nieodstępny, który nie zostawia nam chwili pokoju, jeżeli dopuścimy się jakiego wykroczenia. Dręczy ono nas, prześladowuje, bezustanne czyni wyrzuty, dopóki prędzej czy później nie nastąpi zadosyćuczynienie. Nigdy złe się nie ukryje.

3. K o l ę d a.

Żaden dzień nie jest tak powszechnie pożądany i oczekiwany, jak dzień Nowego-Roku; o żadnym tyle nie mówią, na żaden tyle przygotowań nie robią. Każdy za nim wzdycha, każdy datuje od niego rozpoczęcie różnych zamysłów i projektów swoich; zgoła, wszyscy na ten dzień się cieszą. Starzy mają nadzieję, że lepiej będzie w tym roku, niż w przeszłym; młodzież się raduje gdyż z Nowym-Rokiem zaczną się zapusty, a dzieci skaczą z ukontentowania, bo myślą sobie, iż może jaką kolędę dostaną.

Ludwik, syn majątnych rodziców, blisko Kurowa osiadłych, oddawna Nowego-Roku wyglądał. Był jednakiem,

dostawał często podarki od ojca i matki, a szczególniej kolędę zawsze miéwał sutą i dwa miesiące naprzód cieszył się na nią.

Wszystkiego na świecie doczekać się można; w Listopadzie zdawało się Ludwikowi, że Nowy-Rok nigdy nie przyjdzie; nadszedł przecie, a Ludwik, uradowany, wstał rano, żeby najpierwój rodzicom zmiany roku powinszować i dowiedzieć się o kolędzie. Życzył jój sobie dlatego tak żywo, iż już od niejakiego czasu uwijało mu się po głowie, że dostanie konika, a oddawna niczego nie pragnął tak gorąco. Wiedział dobrze, iż jeden mieszczanin z Kurowa miał ślicznego na zbyciu; był gniady, mały, składny, z odmianą na czole. Ile razy widział go Ludwik, tyle razy wzdychał i objawiał życzenie, żeby kiedyś mógł być jego; nie tańł się z tém przed rodzicami i, idąc do nich, ciągle myślał o koniku. Kiedy dochodził, otworzyły się drzwi do ich pokoju; uściskał ojca i matkę i powinszował im serdecznie: nie wiérsem, nie na piśmie, ale słowami, jakie mu serce podało. Otrzymał od obojga pochwałę przeszłorocznego postępowania i zachęcenie, ażeby ciągle równie dobrze się sprawował i jednakową im był pociechą. Napęłniły się łzami oczy Ludwika i tak mu było miłe rodziców ukontentowanie, że i o koniku zapomniał. Przypomniała mu go wnet matka: odsłoniła chustkę białą, leżącą na stole, i Ludwik zobaczył prześliczne siodełko i uzdeczkę Warszawskiej roboty, niebieski czaprak i małą szpicrózgę. Krzyknął z zadziwienia, rzucił się na szyję matce, a gdy usłyszał te słowa ojca: „Dziś jeszcze będziesz miał konika,“ zaczął skakać z radości i całować rodziców. Pobiegł do swego nauczyciela i wołał na niego zdaleka: „Będę miał konika, będę miał konika!“ Kogo tylko napotkał, każdemu z ukontentowaniem powtarzał: „Będę miał konika!“

Zjadł jak najprędzej śniadanie, wrócił do pokoju rodziców, żeby im podziękować raz jeszcze, wypytać się o koni-

ka i przypatrzeć się darom matki. Wysunął i stołek na środek pokoju, okrył go czaprakiem, położył na wierzchu siodło, założył uzdeczkę za poręcz, włożył kapelusz na głowę, wziął szpicróżgę i cugle w rękę, a kłaskając ustami, skakał na stołku i wystawiał sobie, że na koniku jedzie.

Przerwano mu wkrótce tę jego zabawę. We wsi, gdzie mieszkali rodzice Ludwika, nie było kościoła; musieli jeździć na nabożeństwo do Kurowa. Chłopczyną z radością wsiał do sanek, bo mu matka powiedziała, że zaraz prosto z kościoła pójdzie ojciec do mieszczanina i kupi konika.

Mróż był tęgi, ale niebo pogodne i czyste. Wszystkie domy, drzewa, stawy, okryte były białą powłoką, a śnieg, odbijając promienie słoneczne, lśnił się tysiącznemi kolorami. Chociaż sanki Ludwika sunęły prędko po ujeżdżonej drodze, podróż zdawała mu się tak długą, że kilka razy chciał wysiąść, przekonany będąc, iż prędzej piechotą dobieży.

Dalszy ciąg.

Zajechali nareszcie przed kościół w chwili kiedy wielka msza wychodziła. Strapił się cokolwiek Ludwik, gdy przed Ofiarowaniem przerwał kapłan nabożeństwo, a drugi ksiądz ukazał się na ambonie. Byłby chciał jak najrychlej konika mieć w rękę, kazanie spóźniało jego szczęście; ale Ludwik, skoro tylko chciał szczerze, umiał pokonać samego siebie; wiedział dobrze, z jakim uszanowaniem trzeba się zachować w kościele, słuchał więc pilnie nauki, zajął się nią zupełnie i najmniejsze słówko nie uszło jego uwagi.

Kapłan, nauczający lud przytomny, był ów znany Kurowski pleban, powszechnie wielbiony Grzegorz Piramowicz. Światły, uczony, cnotliwy, godzien był służyć temu Bogu, którego w prawém nosił sercu, godzien był tłuma-
czyć święte przepisy Jego. Zwiędzał pańskie pałace, szpé-

rał w księgach, kręślił gładkiem piórem piękne myśli swoje, uczęszczał do lepiarek kmiotków, lubiony był od wielkich, szanowany od uczonych, ubóstwiany od nieszczęśliwych! Nie piastując nigdy wysokich urzędów, pozyskał wielkie znaczenie: imię jego zostało zapisane w rzędzie cnotliwych i uczonych mężów.

Właśnie w zeszłym dopiero roku, wśród żniw, okropny pożar do największego ubóstwa przywiódł niemal wszystkich mieszkańców Kurowa; przeszło tysiąc ludzi w dwóch godzinach zostało bez dachu, bez pożywienia. Piramowicz, czuły na nieszczęście ludu, którego był pasterzem, ujmował sobie, żeby wesprzeć owieczki swoje; dokładały się także dzielnie, słynące tak słusznie z dobroczynności, sąsiedzkie domy, ale przecież nie wystarczały dochody na ogromny wydatek i połowa pogorzalców bez własnego mieszkania srogą zimę przepędzać musiała.

Korzystając z liczego zgromadzenia ludu w dzień Nowego-Roku, pleban Kurowski miał naukę o prawdziwym sposobie czynienia dobrze. Mowa jego, tak czysta, słodka i prosta, jak dusza, rozrzewniła przytomnych i niechybnie trafiła do serca. „Wiem, że biedni jesteście,“ rzekł, obracając się do wieśniaków, przybyłych z okolic, „ale przecież żaden z was nie jest biedniejszym od wdowy z Ewangelii, a ona ostatni szeląg w karbonę ubogich włożyła. Każdy z was może dać jakąś pomoc nieszczęśliwym pogorzalcem, a wiercie mi, dzieciutki moje, jeden grosz ubogiego, na wsparcie brata dany, więcej ma ceny w oczach Boga, niż kupy złota, ręką bogaczy sypane. Jałmużny nasze, im więcej ofiar kosztują, tém więcej mają wartości. Łatwo udzielać drugim, kiedy sami we wszystko obfitujemy, ale pozbawić się żądanej, miłej i potrzebnej rzeczy, żeby łzy otrząść nędzy, to prawdziwa zasługa, to prawdziwa jałmużna.“

Ludwikowi serce bić mocno zaczęło na te ostatnie słowa cnotliwego plebana; nie mógł rozpoznać myśli swoich;

cisnęły się tłumem do głowy jego; dziwnego doznawał wzruszenia. Skończyło się nabożeństwo, wyszli z kościoła, a on jeszcze przyjść do siebie nie mógł.

„Wiesz, Ludwiku,” rzekł mu ojciec, wsiadając do sanek, „żał mi cię, nie będziesz miał dzisiaj konika. Posyłałem służącego; powiedział mi, że mieszczanin pojechał w sąsiedztwo na odpust i nie wróci, aż w wieczór. Ale, jeśli chcesz, to możesz tu jutro rano do niego z nauczycielem przyjechać.“

Odetchnął Ludwik na te słowa ojca i, z wielkiem zdziwieniem rodziców, prawie z radością wsiadł do sanek. Jadąc przez miasteczko, spostrzegł z jednej strony nowo postawione domy, a z drugiej gołe kominy, gruzy, okopcone belki, ślady pozostałe okropnego pożaru. Patrzył się na nie długo ze smutkiem i, przez całą drogę, aż do końca tego dnia mocno był zamyślony.

Dalszy ciąg.

Nazajutrz wstał, skoro świtać zaczęło; wziął ciepły płaszcz swój, czapeczkę niebieską z sobolami i wyjechał z nauczycielem do Kurowa. Kiedy już wjechali do miasta, woźnica chciał na bok zwrócić i udać się, jak miał rozkaz, do domu mieszczanina. Wstrzymał go Ludwik, a wzięwszy nauczyciela za rękę, prosił żeby do plebanii jechać kazał. Nauczyciel zapytał się, jakaby téj odmiany była przyczyna? Ludwik odpowiedział drżącym i nieśmiałym głosem, że już mu się zupełnie odechciało konika i że pieniądze, przeznaczone od ojca na to kupno, chciałby dać, jeśliby to można zrobić, księdzu Piramowiczowi dla biednych pogrzelców. Uściskał chłopczykę rozrzewniony nauczyciel, zapewnił go, iż ojciec gniewać się o to nie będzie, i zajęchali przed plebaniją.

Zastali szanownego kapłana otoczonym starcami, kobietami, dziećmi i słabemi. Ten przyszedł do niego po

wsparcie, ta po radę, ci po naukę, tamci po lekarstwo; wszyscy żądali pomocy. Zobaczywszy przybyłych gości, przywitał ich uprzejmie i prosił, żeby poszli na chwilę do jego gabinetu. Nie mieli czasu przypatrzeć się licznemu księgozbiorowi, zastanowić się nad nieustanną czynnością serca i umysłu cnotliwego i światłego plebana, gdyż nie dał im długo na siebie czekać; wkrótce nadszedł i zapytał się mile, coby ich tak rano do niego sprowadzić mogło? Ludwik spuszczone miał oczy i nie śmiał nic mówić. Nauczyciel jego imieniem ofiarował pieniądze.

Rozrzewniło plebana dobre serce Ludwika. „Synu mój,” rzekł mu, „szczęśliwy jesteś, że w tak młodym wieku możesz i umiesz dawać! Nie zawstydzisz społeczeństwa. Kraj nasz liczy wielu dobroczynnych ludzi; bierz ciągle z nich przykład, wstępuj zawsze w ich ślady, wspieraj, gdzie możesz, cierpiącą ludzkość; jój głos nie odbijał się nigdy napróżno o ucho pocziwego! Zaledwie przemówił o potrzebie parafijan moich, zaczęły mię dochodzić ze wszęch stron znaczne ofiary pieniężne; już mi w téj chwili nie wiele brak na wystawienie reszty mieszkań biednym pogorzelncom; rozpocznie się ta robota, da Bóg doczekać, na wiosnę. Kiedy wówczas przejeżdżać będziesz koło świeżo wystawionych domostw; kiedy ujrzysz radość mieszkańców, usłyszysz ich błogosławieństwa, pomyśl sobie: „I jam się do tego przyłożył i mnie to oni błogosławią.”

Tu Ludwik nie mógł wytrzymać i zawołał ze łzami: „Już mi nic nie żal konika!”

„Jakiego konika?” zapytał się Piramowicz.

Ludwik się zmięszał, zapłonił, nie mógł nic odpowiedzieć. Widząc to, nauczyciel opowiedział z wewnętrzną rozkoszą, jaką po wczorajszym kazaniu uczeń jego umyślił uczynić ofiarę.

Uściskał go czulej jeszcze szanowny pleban. „Zrozumiałeś zupełnie,” rzekł mu, „moję naukę. Jałmużna twoja

jest prawdziwa, boś się dla niej miłego pozbawił daru; majątnym jesteś, zatem i twój datek znaczny, ale wierz mi, gdybyś, w uboższym stanie zrodzony, dostał był od rodziców fraszkę, parę złotych wartującą, i przyniósł mi ją z takim sercem w ofierze, z równą byłbym ją przyjął rozkoszą, równieby ona miłą była Bogu.“ Szanowny kapłan otarł w téj chwili łzy, płynące po licach jego, a Ludwik, ucałowawszy jego rękę, odjechał uradowany.

Dalszy ciąg.

Już z mniejszym spoglądał smutkiem na opalone kominy i okopcone belki, bo już w dzieciennéj i żywój wyobraźni swojej widział, jak za pieniądze, przeznaczone na konika, powstają na ich miejscu nowe budowy. Tam, gdzie dawniej wznosił się domek, spostrzegł kilkoro dzieci biednych pogorzalców; roztrzasały śnieg patyczkami; w popiołach i gruzach szukały zapewne zgubionych w pożarze lalek, zabawek, gałganków. „Będziecie i wy niedługo własne miały schronienie,“ pomyślał sobie; „odkupią wam rodzice utracone fraszki!“

Mając całą myśl zajętą pogorzelcami i tém, że uczynkiem swoim przyczynił się do ich wsparcia, przebywał po lśknistój drodze pola Kurowskie i rychlój, niż się spodziewał, stanął przed rodzicielskim domem. Pobiegł zaraz do matki. Wyglądała go już dawno oknem i szła zdziwiona naprzeciw niemu spytać się, dla czego nie przyprowadził ze sobą konika?

„Już nie będę miał konika,“ rzekł jój Ludwik, tuląc się na jój łono, „ale wspomógł biednych pogorzalców!“

Wzruszenie nie dozwoliło mu więcéj mówić i raz jeszcze nauczyciel wyręczyć go musiał. Przycisnęła syna do serca swojego uszczęśliwiona matka; nadszedł w téj chwili ojciec i stał się uczestnikiem jój radości.

„A z siodłem i uzdeczką co się stanie?“ zapytała się matka.

„Dam wszystko, jeżeli pozwolisz,“ odpowiedział Ludwik, „księdzu Piramowiczowi; on powiada, żeby i drobniejsze przyjął fraszki, bo najmniejszy datek może być jałmużną.“

Ludwik, tak dobrze rok zacząwszy, szczęśliwy był przez cały jego przeciąg; szczęśliwym był i później, bo zawsze toż samo serce zachował. Zaraz w następującą Niedzielę złożył w ręce plebana Kurowskiego podarunek matki. Z takimże uczuciem, jak i pierwszy, przyjęty został. Od tego czasu odwiedzał często Ludwik szanownego Piramowicza, uczył się od niego cnót wszelkich, a kiedy śmierć wydarła tego męża krajowi, przyjaciółom, uczonym, parafijanom i nieszczęśliwym, wraz z całym ludem sąsiedzkim lżył łą rzewne nad grobem jego.

Klem. z Tań. Hoffmanowa.

D. ANEKDOTY.

1. Roztropny chłopiek.

Pewnego razu skradziono gospodarzowi konia ze stajni. Biedny kmiotek udał się do sąsiedniego miasteczka, gdzie miał być targ na konie, myśląc, że albo znajdzie swoją zgubę, albo kupi innego. Przeglądając stojące na targowisku konie, krzyknął z radości, poznawszy własnego. Pobiegł też zaraz ku niemu, schwycił za uzdeczkę i zawołał na głos do ludzi:

— Oto jest mój koń, którego mi przed kilkoma dniami skradziono.

— Mylicie się, gospodarzu, — rzekł na to handlarz, który sprzedawał tego konia: — ta szkapina, już rok, jak należy do mnie, i są świadkowie, że kupiłem ją na łońskim jarmarku; może ona podobną jest do waszego konia, ale to nie wasza.

Gdy to handlarz mówił, kmiotek zakrył prędko oba oczy koniowi i rzekł:

— No! kiedy ty tak dawno tego konia masz u siebie, to powiedzże mi, na które oko on jest ślepy?

Handlarz, który istotnie był złodziejem i nie miał czasu dobrze konia obejrzeć, zmieszał się na to zagadnięcie, lecz, nadrabiając miną, rzekł na los szczęścia, że koń na lewe oko nie widzi.

— Aha! zawołał kmiotek, odsłaniając rękę, — kłamiesz, bo koń dobrze widzi na lewe oko.

— No — podchwycił handlarz, — co to znaczy? ja się omyliłem: chciałem powiedzieć, że on na prawe oko jest ślepy; przecież dobrze znam mego konia.

Natenczas kmiotek odkrył i drugie oko konia i rzekł do otaczających go chłopków:

— Patrzajcie gospodarze, oto jest dowód, że ten handlarz jest kłamca i złodziej, bo koń na oba oczy dobrze widzi; dlatego zaś zadawałem mu te pytania, aby łatwiej sam się wydał, że konia ukradł.

Wszyscy przytomni zaczęli się śmiać z tego dowcipnego figla i chwalić roztropnego chłopka, poczem zaprowadzili handlarza do władzy, która go uwięzić kazała. Konia zwrócono właścicielowi, winowajca zaś poniósł zasłużoną karę.

Takto prawda, jak oliwa, zawsze wyjdzie na wierzch, a fałsz i kłamstwo, jak szydło w worku, nigdy się długo nie utai.

Floryjan Czermiński. 1858 r.

2. Przytomna odpowiedź.

Wiadomo, że dawniej używano w szkołach gramatyki księdza pijara Kopczyńskiego, obejmującej prawidła zarazem Polskiego i Łacińskiego języka; jeden nawet profesor wykładał oba te przedmioty. Sławny uczony Tadeusz

Czacki*), będąc, jako wizytator generalny szkół, na egzaminie w Ż***, zapytał jednego ucznia z klasy pierwszej:

„Ile jest form przypadkowania?“

Przytomny młodzieniaszek śmiało i bez namysłu odrzekł, ale nie odpowiedzią, tylko drugim pytaniem:

„W jakiej mowie, w Polskiej, czy w Łacińskiej?“

Ucieszony taką odpowiedzią, założyciel szkoły Krzemienieckiej rzekł:

„Dobrze, dobrze; masz rozwagę, będziesz miał i rozum; dosyć; widzę, że umiesz. Rodzice i kraj będą mieć z ciebie wielki pożytek.“

Słowa znakomitego męża ziściły się w przyszłości; z tego malca wyrósł mąż uczony.

Hipolit Skimborowicz. 1862 r.

3. Przytomność umysłu.

Karol Vernet, sławny rysownik Francuzki, od dzieciństwa okazywał wielką do rysunku zdolność. Dopiero miał sześć lat, kiedy już po wielu domach zapraszano go po to jedynie, żeby widzieć, jak rysuje z pamięci na prędcie. Ojciec jego, także malarz, zaprowadził go raz do księcia Conti. Ten wziął go na kolana, dał mu tablicę i szyfer i prosił, żeby mu zrobił konia. Chłopczyk wyrysował natychmiast jak najkształtniejszego konia, ale w zapale swym nie uważał, że tablica—mała i że zabrakło mu miejsca na nogi i kopyta końskie.

„Cóż to będzie?“ zapytał książę, „chybiłeś, mój mały malarzu.“

„Bynajmniej,“ odpowiedział chłopczyk, nie tracąc miny i rysując czymprędzej rzekę; „mój koń w wodzie stoi i dlatego nóg mu nie widać.“

*) Urodził się w roku 1765. umarł w roku 1813; założył szkołę wyższą w Krzemieńcu; posąg jego, dłuta Sosnowskiego, znajduje się w kościele PP. Wizytek w Warszawie.

4. Zamek Tumen.

Jan Stefan Wydźga, kaznodzieja, żyjący w XVII wieku, później wyniesiony na arcybiskupstwo Gnieźnieńskie, a wreszcie na prymasa królestwa, znany był powszechnie ze swego rzadkiego dowcipu i pociesznych żarcików.

Raz na dworze przedstawiono mu paniczyka, który świeżo powrócił z zagranicy. Wydźga winszuje mu szczęśliwego przybycia z obcych krajów, a poznawszy wnet, że to jest młodzieniaszek płochego rozumu, a wielce zarozumiały, zapytuje się go, zkąd powraca?

— Byłem, — odpowiada, — w Hiszpanii, we Włoszech, Francyi, Niemczech i Belgii.

— A w zamku *Tumen*, we Włoszech, czy się było? — zapyta prymas.

— Byłem i przyznać mu to trzeba, że bardzo jest obronny.

— Cóż to tam za rzeka pod nim płynie?... Zdaje mi się, że *Tiris*, — niby natracając, rzecze prymas.

— Tak, tak, ale mi cale było z pamięci wypadło; rzeka to bardzo głęboka, po której nawet okręty pływają.

Uśmiechnął się żartobliwy arcybiskup i rzekł:

— Hm! to zamek *Tumen*, a rzeka *Tiris* się zowie! A gdyby się te słowa w jedno złożyły, coby znaczyły?*)

Spostrzegł dopiero paniczyk, na jaką go wędkę schwytał Wydźga, i ze wstydem opuścił zamek Łowicki.

5. O b ł ą k a n y.

Angielski poeta Lee**) dostał, w skutek ciężkiej choroby, pomieszania zmysłów. Oddano go więc do zakładu obłąkanych, jednakże, dla słabych oznak choroby, pozwolono mu tam chodzić według woli i chęci.

*) *Tu mentiris*, co znaczy: ty kłamiesz. **) Wymawia się Li.

Razu jednego odwiedził go przyjaciel. Lee zaczął go niezwłocznie oprowadzać po wszystkich niemal miejscach. Pomędzy innemi, weszli na wieżę, z której otwierał się wspaniały widok na sąsiednie okolice. Następnie stanęli na galeryi, znajdującój się na szczycie téj wieży.

— Przyjacielu! — zawołał Lee, ciągnąc za sobą gwałtownie towarzysza, — patrz, co za obraz wspaniały. Wiész co, uściśnijmy się serdecznie i skoczmy na dół, gdyż śmierć taka otworzy nam podwoje sławy i da nam nieśmiertelność.

— Ho! — odrzekł przyjaciel, — na to się lada głupiec zdobędzie, ale zejźmy na dół i spróbujmy ztamtąd wskoczyć na górę, a przekonasz się, że ta sława stokroć większą będzie. Tylko pójdźmy czymprędzej, by nas w tém kto nie uprzedził.

Owa nadzwyczajność pomysłu tak ujęła biédnego poetę, że usłuchał przyjaciela, przestał go ciągnąć za sobą i sam zeszedł. Tym sposobem i sobie i jemu życie uratował.

1865 r.

6. Troskliwość zbyteczna.

(Józio B* jest chłopczyk bardzo dowcipny, ale jeszcze mały; z téj przyczyny nie zna wartości nauki i nie bardzo chętnie się uczy. Odmieni się z wiekiem, bo któreż dziecko dowcipne nie zmiarkuje łatwo, że nauka koniecznie potrzebna; ale tymczasem woli jeszcze bawić się, niż uczyć. Tak raz dziadunio zasadził go nad książką i kazał mu się uczyć, sam zaś wyszedł; wraca w pół godziny i zastaje Józia z kijem na środku pokoju.

— Co ty robisz, chłopcze? — zawołał.

— Dziaduniu, — odpowiedział Józio, — mysz tu przebiegła dopióro, chciałbym ją zabić.

— Co tobie do myszy, książki pilnuj.

— Ale, bo ja wiem, że myszy lubią jeść książki, i o moje bardzo się zląkłem.)

7. Mądre głupstwo.

Ezop Frygijczyk urodził się niewolnikiem, a co najgorsza, człowiekiem nadzwyczajnie od natury upośledzonym: głowę miał spiczastą, nos płaski, szyję grubą i krótką, usta wielkie, cerę czarną i wynędzniałą, przód ciała wystający, z tyłu garb ogromny. Mimo tak potwornej postaci ciała, miał *Ezop* dowcip bystry, pojęcie szybkie i przenikliwe, przytomność wielką.

Pierwszy pan *Ezopa*, chcąc się pozbyć takiego brzydaka, sprzedał go za trzy szelagi pewnemu kupcowi, który, zapłaciwszy tę fraszkę, rzekł: nic nie wydałem, nic też nie kupiłem. W kilka dni potem, nowy pan *Ezopa* kazał swym niewolnikom gotować się w daleką podróż. Ułożyli więc paki i podzielili się ciężarami, jakie dźwigać mieli. *Ezop* prosił, aby mu, jako nowoprzybyłemu i, prócz tego, mniej zdatnemu do dźwigania, najlżejszy dali ciężar. Odpowiedzieli mu uprzejmie: „Całkiem cię od téj usługi uwalniamy.“ On zaś na to: „Nie byłoby słuszném, gdybym się od pracy wyłączał.“ Pozwolili mu tedy wybrać sobie pakę, wedle upodobania. Obejrzawszy wszystkie, *Ezop* wziął kosz z chlebem, który dwóch niewolników nieść miało. Wszyscy zaczęli śmiać się, mówiąc: „Prosił o najlżejszą pakę, a wybrał najcięższą,“ i, z ogromnym śmiechem, włożyli mu kosz na plecy.—*Ezop* ugiął się pod koszem, a kupiec chwalił jego gorliwość.

Skoro przyszedł na popas, *Ezop* odebrał rozkaz podzielenia chleba między towarzyszków; a gdy to uczynił, kosz swój do połowy wypróżnił. Na wieczór znowu rozdano chleb między niewolników, a gdy, w skutek tego, *Ezop*, mając kosz prawie próżny, żwawym posuwał się krokiem, dopiero towarzysze jego, stękający pod ciężarem swych tłumoków, poznali mądrą myśl, ukrytą w głupim, napozór, jego żądaniu.)

8. Igraszka słów mimowolna.

Mały jeden chłopczyk pierwszy raz był w kościele w Dzień Zaduszny. Usłyszawszy w końcu kazania te słowa księdza: „Za duszę Pawła, za duszę Marcina i t. d.,“ powiedział przełęczniony do matki: „Mamo! idźmy prędko do domu, bo on nas tu wszystkich zadusi.“

Klem. z Tań. Hoffmanowa.

9. Pastuch.

Pewien zamożny włościanin tak przez pijaństwo podupadł, iż musiał iść za pastucha w téj saméj wsi. Pewnego razu spotkawszy go dawny przyjaciel, co nie jedną kwaterkę z nim wychylił, zapytał się go:

„Cóż to, Jakóbie, czyście zostali pastuchem?“

„Nie,“ odpowiedział pierwszy, „tak źle nie jest; ja tylko pilnuję, żeby trzoda szkody nie robiła.“

Floryjan Czerwiński. 1858 r.

E. KOMEDYJKA.

Obchód urodzin.

(MATKA.—CIOTKA.—MARYNIA.—KRYŚIA.—KOSTUŚ.—ADAŚ.)

(*Scena na wsi, w ogrodzie.*)

SCENA I.

MARYNIA, KRYŚIA.

(Teatr wyobraża piękne miejsce w ogrodzie, opasane drzewami; zdobią je kwiaty w doniczkach i kanapki.)

KRYŚIA. (do Maryni, stojącej smutnie pod drzewem.) Otóż stało się, jak mówiłam; nadszedł dzień urodzin mamy, a myśmy nic nie wymyśliły. Gadałyśmy o nich od Nowego-Ro-

ku; miały być komedye, balety, obrazy, widowiska, i skończyło się na niczém.

MARYNIA. Gdzie tam na niczém! skończyło się na tragedyi. Doprawdy, że ja dziś w nocy prawie nic nie spałam; budziłam się co chwila, wstałam przede dniem i tak się martwię, że też mamie żadnej niespódzianej przyjemności nie sprawimy.

KRYSIA. Dobrze wam tak, czemuście mię nie słuchali? Już cztery tygodnie, jak mówiłam: grajmy „Sielankę“ Tańskiego, albo „Powrót Posła;“ już Adaś był za mną, aleś ty z Kostusiem nie chciała.

MARYNIA. Jakże, kiedy nam brakowało strojów, teatru i osób.

KRYSIA. Wielkie rzeczy; można sobie było poradzić, a wreszcie mniejszą sztukę wybrać, albo dać: „Co kto lubi;“ to także bardzo ładne. Radziłam, żeby wziąć scenę z Barbary, scenę z Krakowiaków, scenę z Jadwigi; ty masz piękny głos, Kostuś tak ślicznie wiérse mówi i byłoby!

MARYNIA. O! zapewne! w twojej głowie wszystko się zmieści; ale czyż podobieństwo, żeby na wsi, we cztery osoby, bez muzyki, dekoracyj, ubiorów, można z takiém widowiskiem wystąpić.

KRYSIA. Już co się tyczy osób, to bardzo cię przepraszam, ale mamy ich więcej, niż cztery, bo i ciocia byłaby chętnie do nas należała; ona tak nas kocha.

MARYNIA. Jakże chcesz, dopiero wczoraj przyjechała; nie było już czasu.

KRYSIA. Gdzie tam czasu! nie było zgody, a gdzie nie ma zgody, tam nic dobrego być nie może...

SCENA II.

TEŻ SAME, KOSTUŚ, ADAŚ.

ADAŚ. (który, wchodząc, usłyszał słowa siostry, mówi za nią poważnie). Gdzie nie ma zgody, tam nic dobrego być nie może! Praw-

dziwie! sentencyja wyborna i prawdziwa. Nigdy się nie spodziewała, żeby z ust takiego trzpiota wyjść mogła.

KRYSIA. Ani wątpię, bo w waszém mniemaniu tylko wy, chłopcy, możecie mieć rozum i coś do rzeczy powiedzieć. Ja się nie uczę łacińskich sentencyj, ale za to sama stwarzam polskie. Ciekawam, w czém większa sztuka?

KOSTUŚ. Jak wy dzisiaj sprzeczać się możecie i mówić o czém innem, kiedy my w takim jesteście kłopotcie?

MARYNIA. Zwyczajnie pustki w głowie, ale ja wiem dobrze, że oni w sercu zarówno z nami cierpią.

ADAŚ. Bo i prawda. Dziś urodziny mamy; te zaś tylko raz na rok bywają; mieliśmy więc cały rok do namysłu, taką długą zimę i nicesmy nie wymyślili; a przecież zawsze dawniej bywał jakiś koncept.

KRYSIA. A co najgorsza, żadnego roku nie było tak wiele projektów i szeptów. Mama przekonana, że my z przesliczną komedią wystąpimy, a tu nic! O! będzie miała prawdziwe zdziwienie. (Śmieje się i Adaś toż samo.)

MARYNIA. Przynajmniej się nie śmiejcie, bo mnie do prawdy płakać się chce. Wam jeszcze nic, ale ja, najstarsza...

KOSTUŚ. Prawda, że to wielka bięda! najbardziej, że wiem zawczasu, jak to mamie przykro będzie... Ach! gdyby jeszcze można co wymyślić!

KRYSIA. Trzebaby do tego kogoś, prędzej myślącego od ciebie, mój bracie, bo ja nieraz widzę, jak ty godzinę nad jednym wierszem myślisz. Ktoby nam mógł w momencie coś poradzić, to ciocia, tylko nie wiem, czy już wstała? Zobaczę. (Chce wychodzić, spotyka się z ciocią). Ach! otóż i ona.

SCENA III.

Ciż SAMI, CIOTKA.

DZIECI. (biegnąc ku niej i całując ją). Ach! ciociu, kochana ciociu! wymyśl nam co dla mamy.

CIOTKA. Czegóż chcecie?

KRYSIA. Jakiéj komedyi na prędcę.

CIOTKA. Komedyi? to już trochę zapóźno. Szkoda, żeście do mnie nie napisały, byłabym wam przysłała jaką z Warszawy. Ale dzisiaj, w sam dzień urodzin?

KRYSIA. To nic nie szkodzi! My się jeszcze nauczymy. Moja ciociu, co wiejskiego! ja mam taki ładny różowy gorsecik, byłyby ubiory.

ADAŚ. A jabym pożyczył sukmany od ogrodniczka, jużem jój raz przymierzał, — wyborna, i byłbym pasterzem.

KOSTUŚ. Ej! wstydzilibyście się takie baśnie klęcić! Cóż wy chcecie? żeby ciocia wymyśliła, napisała komedycję, my jój się nauczyli i to wszystko dzisiaj? Oj! dzieci! dzieci!

MARYNIA. Żeby to przynajmniej można choć małą przyjemność mamie sprawić! Żeby, wstawszy, miała jakie miłe żdziwienie! Żeby wiedziała, żeśmy o niej, o jój urodzinach pamiętali. Moja ciociu, pomyśl trochę!

CIOTKA. Oto wiécie, co zrobić!

DZIECI. (Otaczając ją.) Ach? co? co? mów, kochana ciociu.

CIOTKA. Moja siostra bardzo to miejsce lubi, co rano tu przychodzi; przyniescie dary, które jój ofiarować macie; ja was między temi drzewami ustawię. Mam wieńce z kwiatów, przyozdobią się wasze ubiory; ona tu przyjdzie, zadziwi się, powiećcie jój powinszowania i będzie miała zabawa na prędcę.

DZIECI (skacząc, klaszcząc w ręce i ściskając ciotkę). O! ślicznie! ślicznie! dziękujemy cioci!

MARYNIA. Ale zabierzmy się zaraz do tego. Ja idę po mój podarek.

INNE DZIECI. I my to samo.

CIOTKA. (do Kostusia). Mój Kostusiu, ty ze mną zostań, pomożesz mi trochę; pójdiesz potem po swój podarek.

(Krzążają się oboje, ustawiają doniczki, ciotka przynosi wieńce z kwiatów).

KOSTUŚ. (ustawiając). Ach! dziękuję ci, kochana ciociu, żeś nam tę myśl podała. Pewny jestem, że mama będzie kontenta. Ale jakie powinszowanie jój powiedzieć? Ja dosyć myślę i bardzo wiele czuję, lecz, kiedy mam najwięcej myśli w głowie i uczucia w sercu, wtenczas słów mi nie dostaje.

CIOTKA. Wielu osobom podobnie się zdarza, i ja, przewidując ten nowy wasz kłopot, napisałam dla każdego z was po cztery wierszyki; są one stosowne do darów, które ofiarować macie; będzie czas do nauczzenia się ich na pamięć, bo gdym z domu wychodziła, mama jeszcze spała.

KOSTUŚ. Kochana ciociu, dawaj! dawaj! biegnę wołać siostr i brata, a przez drogę sam się moich nauczę.

(Ciotka daje mu karteczkę, a on wybiega).

SCENA IV.

CIOTKA (sama).

CIOTKA. Domyśliłam się jeszcze wczoraj kłopotu tych biędnych dzieci i jakże mi miło, że im tę radość sprawiła. Nic dziwnego, iż chciałyby matce dzień urodzin uprzyjemnić. Ach! któreż to dziecię, dobrą matkę mające, podobnego dnia nie błogosławi? któreżby go upięknąć nie pragnęło? Szkoda tylko, że zdutniejszego doradcy nie mają. Ale spodziewam się, że i tę drobnostkę przyjmie ona mile. Matce tak mało potrzeba, żeby z dzieci zadowolnioną była.

SCENA V.

CIOTKA, KRYSIA, MARYNIA, ADAŚ.

(Marynia niesie pęk kwiatów, Krysia—kosz cukrów i przysmaczków, Adaś—płaszka w klatce).

DZIECI. (wszystkie razem). Ciociu! ciociu! Kostuś nam powiedział o wiérzszach; dawaj je, prosimy! oto masz nasze dary.

(Ciotka odbiera od każdego, co przyniósł, i daje karteczki. Dzieci rozechodzą się po całym teatrze; Marynia siada, Krysia chodzi, Adaś opiera się o drzewo i nczą się głośno; Ciotka jeszcze ustawia; wtém Kostuś powraca z koszem jabłek i mówi):

Oto mój dar, i moje wiersze już umiem.

DZIECI. I my umiemy.

CIOTKA. Co? już?

KRYZIA. O już! takie łatwe; a wreszcie mamy je napisane, będzie można sobie przypomnieć.

MARYNIA. (do ciotki). Ciociu! zacznij nas ustawiać.

KOSTUŚ. O! zacznij! bo mi kredencierz powiedział, że mama już się obudziła.

DZIECI. Ach! śpieszmyż się.

(Ciotka ustawia dzieci: dwie dziewczynki, ubrane w białe sukienki, połączone wieńcami z kwiatów, stoją na wyniesieniu, jedna wyżej, druga niżej. wśród kwiatów i krzewów. Adaś tuż przy nich, prawą ręką oparty o drzewo, lewą wskazuje klatkę, stojącą na ziemi; Kostuś z drugiego boku, klęcząc na jednym kolanie, w obydwóch rękach kosz z jabłkami trzyma. Ciotka, ustawivszy ich, oddala się i przypatruje, a spojrzawszy w bok, spostrzega zbliżającą się matkę. „Mama idzie!” woła i wybiega. Wraca wnet z siostrą na scenę, a dzieci stoją spokojnie na miejscach swoich).

SCENA VI i OSTATNIA.

Wszyscy.

MATKA. Cóż ja widzę? cóż się to znaczy?

MARYNIA.

Obchodząc dzień tak szczęśliwy,
Zebrały się twoje dziatki;
Rzuć na nie wzrok swój życzliwy,
Przyjmij od córki te kwiatki.

KRYZIA.

Niechaj całe twoje życie
Wolne będzie od goryczy;
Niechaj każde twoje dziecię
Doda mu wdzięku, słodyczy.

ADAŚ.

Jak ja ptaszka, tak ty zdrowie
Ułów sobie na wiek długi,
I niech ci kiedyś kraj powie:
„Mają twe syny zasługi!”

KOSTUŚ.

Po długich zabiegach, pracy,
Jabłoń owoc mi wydała.
I my także będziemy tacy,
I z nas czeka ciebie chwała.

(Powiedziawszy wiersze, dzieci podnoszą się z miejsc swoich, biegną ku matce, oddają dary, rzucają się na szyję; ona kolejno je i siostrę ściska, kolejno im dziękuje i... zasłona spada).

Klem. z Tań. Hoffmanowa.

POEZYJE.

I. POEZYJE LIRYCZNE.

1. Do Boga.

O! Przedwieczny, Wiekuisty,	Czyli radość nam zabłyśnie,
Niech się wola Twoja dzieje;	Czyli smutek nas uciśnie,
Jako słońca promień czysty,	Będziem wołać w każdej dobie
Niechaj chwała Twa jaśnieje.	Wielki Boże! chwała Tobie.

Antoni Górecki.

2. Modlitwa.

Stwórcu! myśmy Twestworzenia;	Dasz użytek, daj go w mierze:
Chwałę Twoją świętą głosim.	To jest najszczęśliwszym stanem.
Czém jesteśmy? Twe zdarzenia.	Twoje—dawać; nasze—prosić;
Pozwoliłeś prosić: prosim.	Twoje—kazać; nasze—służyć.
Łaska Twoja daje, bierze;	Dasz ubóstwo, daj je znosić;
Dasz, czy wewezmiesz, zawsześ Panem.	Dasz obfitość, daj jej użyć.

Ignacy Krasicki.

3. Pieśń poranna.

Kiedy ranne wstają zorze,	A człowiek, który bez miary
Tobie ziemia, Tobie morze,	Obsypany Twemi dary,
Tobie śpiewa żywioł wszelki:	Coś go stworzył i ocalił,
„Bądź pochwalon Boże wielki!”	A czemużby Cię nie chwalił?

CZEŚĆ WSTĘPNA.

Ledwie oczy przetrzeć zdołam, Wnet do mego Pana wołam, Do mego Boga na niebie, I szukam go wkoło siebie.	Wielu snem śmierci upadli, Co się wczoraj spać pokładli; My się jeszcze obudzili, Byśmy Cię, Boże, chwalili.
---	---

Frańciszek Karpiński.

4. Modlitwa podczas pracy w polu.

Boże! z Twoich rąk żyjemy, Choć swojemi pracujemy. Z Ciebie plenność miewa rola; My zbieramy z Twego pola. Wszystko Cię, mój Boże, chwali, Aleśmy i to poznali,	Że najmiłszą Ci się zdała Pracującą ręką chwala. Ty, co rządysz ziemią, niebem, Opatrz dzieci swoje chlebem; Ty nam daj urodzaj złoty; My Ci dajem trud i poty.
--	--

Frańciszek Karpiński.

5. Do chłopczyka w dzień urodzin.

Co rok z rana, bardzo wcześnie, W dzień twojego urodzenia, Gdy spoczywasz jeszcze we śnie, Anioł skrzydłem cię ocienia. Anioł, w dzień twój pożądaný, Niewidzialny jest przy łóżku, I przez dar, od Boga dany, Przegląda się w twém serduszkú. Nie napróżno anioł stoi I twe serce we śnie bada,	Bo on z każdej myśli twojéj Niebu sprawę wiecznie składa. Co dobrego przez rok cały Uczyniłes ty dla cnoty, Niewidzialny anioł mały Zapisuje w księdze złotéj. Lecz, gdy serce twe odsłoni I złe myśli tam spotyka, Sam nad tobą łzę uroni I przed tobą we śnie znika.
---	---

Teofil Nowosielski.

6. Pastuszek.

Hejże dana, moja dana! Śpiewam wesół już od rana, Krzyżyk znacę na swém czole I z bydełkiem ruszam w pole.	Gospodyní chleba dała, Obiad przysłać obiecała, A jak minie miesiąc drugi, Da talarka za zasługi.
---	--

Oj! mój Jezu, talar biały....
 To mi to skarb! toż kram cały
 Kupić można na jarmarku,
 Wszystkim przynieść coś w podarku.
 Więc: matusi chustkę krasną,
 Basi śliczną wstążkę jasną;
 Kaźmiérzowi pas z kółkami
 I buciki z podkówkami;
 Sobie czapkę znów czerwoną,
 Baraneczkiem obwiedzioną,
 Z pawiem piórkiem ponad uchem,
 Kupić także pragnę duchem.

Lecz najpiérwéj to w kramiku
 Chcę poszukać obraziku
 Matki Boskiej, z gwiazd w koronie,
 Z dzieciąteczkiem swém na łonie.
 I wybiorę drzewo w lesie,
 Co najmiłszy zapach niesie,
 Na niém korę nożem zgładzę,
 Jak w ołtarzyk obraz wsadzę
 I ustroję w śliczne kwiatki,

W maki, róże i bławatki,
 I paciorki na szyjeczce
 Przypnę świętój panienczce,
 A dziecinie koszuleczkę
 Zwiążę niby na wstążeczkę.
 Więc, kto w stronę tę pogoni,
 To Maryi się pokłoni,
 A ja rano i wieczorkiem
 Przyjdę uczcić Ją paciorkiem
 I z fujarką przy niéj siędę,
 Śliczne piosnki śpiewać będę,
 Żeby jéj wesoło, miło,
 Jak w kościołku jakim, było.
 Oj! już wtedy w żadnéj porze
 Nawet wilka się nie strwożę;
 Będę pewny, że od szkody
 Bronić raczy mojej trzody
 Śliczna owa, jak lilija,
 Z dzieciąteczkiem swém Maryja,
 I to sprawi, że pastuszka
 Czysta zawsze będzie duszka.

Józefa Kamocka. 1865.

7. Do sikorki.

Oj! sikoro, sikoreczko,
 Nie ściel gniazdka, kochaneczko,
 Nie ściel blisko nade drogą,
 Bo ci gniazdko popsuć mogą.
 Uściel lepij tam w gęstwinie,
 Tam w gęstwinie, na leszczynie,
 Gdzie się listek nie zachwieje,
 Nikt się gniazdka nie spodzieje.

* * *

Oj! sikoro, sikoreczko,
 Nie wierz temu, kochaneczko,
 Bo i w gąszczach, po orzeszki,
 Pastuszkowie depcą ścieżki.

Oj! sikoro, sikoreczko,
 Ściel gniazdeczko, kochaneczko,
 Lepiej w korze, na jaworze,
 Gdzie go dostać nikt nie może.

* * *

Oj! sikoro, sikoreczko,
 Nie wierz temu, kochaneczko,
 Jak ten jawór zetną kiedy,
 Cóż z gniazdeczkiem będzie wtedy?
 Oj! sikoro, sikoreczko,
 Więc na sośnie ściel gniazdeczko;
 Sosna zawsze zielenieje,
 Wiatr gniazdeczka nie rozwieje.

*

* * *

Oj! sikoro, sikoreczko,	My i płotek zapleciami,
Nie ściel gniazdka tak daleczko;	My i kotka wypłoszemy,
W naszym sadku na jabłoni,	Jeno, miła sikoreczko,
Tam się gniazdko lepiej schroni.	W naszym sadku ściel gniazdeczko.

Piosnka ludowa. 1862 r.

8. Skowronek.

Skowroneczek leci,
Gwiazdeczka mu świeci,
Świeci mu i zorze....

Ah! Wszchemocny Boże!

Lata nad polami,
Dzwoni piosneczkami;
Na ich dźwięk kwiateczki
Podnoszą główeczki.

Podnoszą w podziwie,
Pytają pieściwie:

„Któż w tę ranku chwilę
Śpiewa nam tak mile?”

O! skowronku mały,
Jakżeś doskonały!

Cała okolica
Tobą się zachwyca.

Rozweselasz ranek,
Przyrody kochanek;
Gdy cię człowiek słucha,
W niebo wznosi ducha.

Mały służko Boży!
Wzleć ku niebu hoży

Z lubemi piosnkami
I z memi myślami.

Jabym zawsze chciała,
Bym, jak ty, śpiewała,
W serca niewinności
O Bożej miłości,

I o Bożym świecie
Marzyła jak dziecko,
Co tak piękny, tkliwy
I, jak ty, pieściwy.

Gdzież to, ma ptaszyno,
Lecisz nad doliną,
Niknąc w mgły rąbeczku?
Bądź zdrow, skowroneczku.

Do jutra, kochanie!
Różowe świtanie
Gdy błysnie na niebie,
Przyjdę znów do ciebie.

Przylecę z pośpiechem,
Z radości uśmiechem;
Co wspólnie umiemy,
Razem zanucimy.

Anna L. 1854 r.

9. Domek.

Ptaszek gniazdko wije;
Zwierz się w jamy kryje;

Ja, biedny człowieczek,
Zbuduję domeczek.

Sosny wybujały,
 A jam jeszcze mały;
 Jak jeno urosnę,
 Zetnę w boru sosnę,
 Narznę z niej deseczek,
 Uklecę domeczek,
 Mały, malusieńki,
 Cały nowiusieńki.
 Dam w nim okieneczka
 Od wschodu słoneczka,

Żeby nas budziło,
 Jak będzie wschodziło.
 Dam w domu i drzwiczki
 Prosto od uliczki,
 Żeby i ubogi
 Miał wnijsie od drogi.
 A prosto z okienka
 Będzie Boża-Męka,
 Żeby Bóg łaskawy
 Patrzył w nasze sprawy.
 Piosnka ludowa. 1862 r.

10. Sięrota.

Wzeszła gwiazdka nad kościół-
 Pod kościołkiem rosa. [kiem,
 I sięrotka na grób matki
 Co noc przyszła bosa.
 Na kalinach śpiące ptaszki
 Kwileniem budziła,
 Tłukła główkę, włosy rwała,
 Długo nie pożyła.
 Między bluszczem i barwinkiem,
 Ostem i pokrzywą,
 Kopacz znalazł na tym grobie
 Sięrotkę nieżywą.
 Po trzech dniach ją pochowali
 W dołku pod kościołem,

Ale, szkoda, pochowali
 Nie przy matce społem.
 Grób matczynin przy kościółku
 Był po stronie jednéj,
 A po drugiej za kościołem
 Grób sięrotki biednéj.
 Tam na grobie, na matczynym,
 Lipka wyrastała,
 A sięrotce zkaćciś brzoźka
 Sama się zasiała.
 I choć matka ze sięrotką
 Nie leżały społem,
 Wszelako się lipa z brzoźką
 Zrosły nad kościołem.
 Dumka ludowa. 1862 r.

II. POEZYJE EPICZNE.

A). BAJKI.

1. S ł o ŋ c e.

„Słońce! zaprzestań świecić; zginę w trudach, w pocie,”

Wołał osieł przy robocie.

„O! dzięki ci za ciepło,” rzekł waż rozciągniony.

A sowa: „Że też niema przed słońcem ochrony;

Co za obrzydłe światło! co też się to dzieje!

Ja do reszty ociemnieję.”

Polna zaś myszka rzecze: „Bogu, Bogu dzięki,

Za słoneczko z Jego ręki;

I cieszy swym blaskiem i krzepi nadzieją;

Przy cieple i świetle ziarneczka dojrzeją.”

Słońce słyszało wszystko i szło coraz dalej,

Nie dbając, czyli je tam kto gani, czy chwali.

Stanisław Jachowicz.

2. Dąb i agrest.

Dąb, dumny w swoją wielkość, piękny, okazały,

Rzuciwszy z góry okiem na agreścik mały,

Rzecze tonem pogardy: „Ach! jak to nieznośnie,

Że ta licha krzaczyna tak blisko mnie rośnie.”

Na to krzewina temi odpowie mu słowy:

„Pozorem wartość mierzyć—sposób wcale nowy.

Nim mię twoja wyniosłość o mój wzrost obwini,

Rozważ, kogo z nas owoc szlachetniejszym czyni:

Z mojego krzaka człowiek słodki pokarm bierze;

Ty nikczemnym owocem podłe karmisz zwierzę.”

Stanisław Jachowicz.

3. K o t e k.

Kotek, wychowany karnie,
 Nie robił szkody nikomu,
 Zwiedzał piwnice, spiżarnie,
 I myszy wytępniał w domu;
 Nawet w sypialnym pokoju jejmości
 Wszystkich natrętnych powyjadał gości.
 „A! grzeczny, kochany kotek,
 Trzeba mu dziś dać łakotek:
 Naści wróbelka, kotku pocziwy,
 Zjedz go, bo to ptak szkodliwy.“
 Zjadł, i tak mu dobrze łakotek smakował,
 Że, gdy strawił wróbelka, kanarka skosztował.

1864 r.

4. Dwie beczki.

Raz dwie beczki przewożono:
 Jedną winem napełnioną,
 Drugą pustą. Pierwsza cicho
 Na posłaniu swém leżała;
 Druga, jakby jakie lichy,
 Wierciła się i skakała.
 Gdy wóz, na nierównym bruku,
 Mocniej się potrzęsnał czasem,
 Pusta beczka huku, puku,
 Zagłuszała go hałasem,
 Tak, iż ludzie z każdej strony
 Wóz zdaleka omijali;
 Siaki taki, przestraszony,
 Myślał że się miasto wali.
 Aż, gdy obie przewoźnicy
 Mieli wtaczać do piwnicy,
 Lud z ciekawą dostrzegł miną,
 Że w spokojnej było wino,

A w téj, co wrzask niosła wielki,
Nawet wody ni kropelki.

Tak samo z ludźmi, młodzi przyjaciele:
Nie wiele czyni, kto rozprawia wiele;
Rozumu same nie dowiodą słowa;
Mniej zawsze krzyku tam, gdzie światła głowa.
Kto słuszne prawo do rozumu rości,
Temu nie obce poczucie skromności.

1864 r.

5. Chłopczyk ukarany.

Piął się chłopczyk na drzewo, co nad rzeką stało,
Bo mu cudzych gruszeczek dostać się zachciało;
Ale na takich sprawkach każdy źle wychodzi:
Cudza własność jest świętą; tknąć się jój nie godzi.
I nasz chłopczyk to poznał, ale już po szkodzie:
Spadł; i gruszek nie dostał i skapał się w wodzie.

Stanisław Jachowicz.

6. Kot i myszka.

Onego czasu pewna myszka mała,
Wyszedłszy sobie pod nocy zasłoną,
Nieszczęsnym trafem kota napotkała
I już miała być zjedzoną;
A więc krzyczy niesłychanie:
„Stój, stój, dlaboga, zatrzymaj się, panie!
Czyś ty nie jest owym kotem,
Co się Łapi-myszką zowie?”

„Tak jest,” kot rzecze, „lecz zkądże wiesz o tem?”

A ta mu na to odpowie:
„Przypomnij sobie, jak dziś tydzień trzeci
Wpadłeś tam w jakieś zastawione sieci,
Jakoś płakał i narzekał,
I już pewnej śmierci czekał,

Gdy cię mysz jedna, już wiekiem pochyła,
 Z téj niedoli wybawiła.
 Widzę ja, panie, że jój pamięć tkliwa
 Dotąd cię jeszcze rozczuła;
 Otóż to, otóż ta mysz litościwa
 Była to moja matula.
 Zmarła, lecz tyś jój, przy śmiertelnych śmieciach,
 Przysięgł tę litość odplacić na dzieciach.
 Dałeś słowo kocie.“

„Ah! tak jest,“ rzecze z łzami, „przysięgłem w istocie
 Nie tylko sam was oszczędzać,
 Ale i drugie koty gryźć, odpędzać,
 Wszelkie odpychać napaście;
 Lecz powiedz mi, moja miła,
 Ileż twa matka dziątek zostawiła?“

Myszka mu na to: „Dwanaście.“

„Dwanaście!“ kot zawoła, „o! lube istoty!
 Biedne myszeczki! niewinne sióroty!
 Jakże im przykro być musi bez matki!
 Wszystkie przybieram za me własne dziatki.
 Zwołaj je, zwołaj, niechaj je zobaczę
 I z tą przybraną poznam się rodziną.“

Biegnie mysz nasza i z radości skacze;
 Pędzi, jak gdyby z najlepszą nowiną;
 Woła na wszystkie siostrzyczki, braciszki.

Lecą głupie myszki—

Gdy wtém kot, zdrajca, nagle na nie wpada
 I, zamiast jednej, cały tuzin zjada. 

Frańciszek Morawski.

7. Kwoka i kureczka.

Troskliwa matka, kwoczka czubata,
 Wodząc wylęgle niedawno pisklęta,
 Spostrzegła raz jastrzębia, jak z górnych stref świata
 Zasadzał się na zdobycz; więc, strachem przejęta,

Woła: „Dzieci!
Jastrząb' leci.

Przezorności matki wiercie
I pod me skrzydła prędko się zbiercie.“
— „Alboż to jastrząb? rzecz ród malutki;
„ To jakiś punkcik w obłokach;
Mama już w wieku i wzrok ma przykrótki....“

— „Dzieci! schrońcie się, przebóg!“ Gdzie tam! dzieci w skokach,
Żartując z obaw, biegną w różne strony.
Aż tu ów punkcik przybrał postać groźną;
Kurczątko w nogi, ale już zapóźno:
Przed drapieżnemi nie mogły ujsć szpony. •

W czulej matki przestrobach, młodziuchne dziewczęta,
Pomnijcie zawsze na owe pisklęta.

1864 r.

8. Ojciec łakomy, syn rozrzutny.

Zawsze się zbytek kończy doświadczeniem smutném:
Płakał ojciec łakomy nad synem rozrzutnym;
Umarli obaj z głodu; każdy z nich zasłużył:
Syn, że nadto używał, ojciec, że nie użył.

Ignacy Krasicki.

9. Osieł i wół.

Osieł, podczas upału szukając ochłody,
Postrzegł, iż pastérz bydło prowadził do wody;
Zbudował się z takowej dobroci człowieka,
A gdy przyczyn postępku tego nie docieka,
Rzekł mu wół: „Cudzy przykład niechaj cię nauczysz:
Siebie on, nie nas, kocha; żeby zarznął, tuczy.“

Ignacy Krasicki.

10. Talar i czerwony złoty.

Talar, zwierchnią postacią swoją okazały,
 Gardził czerwonym złotym dla tego, że mały.
 Gdy przyszło do zmienienia, nie patrzono miary;
 Złoty pieniądz, choć mały, wart był trzy talary.

Ignacy Krasicki.

11. Wino i woda.

Przymawiało jednego czasu wino wodzie:
 „Ja panom, a ty chłopom jesteś ku wygodzie.“
 — „Nie piłoby cię państwo,“ rzecze woda skromnie,
 „Gdyby nie chłop dał na cię, co chodzi pić do mnie.“

Ignacy Krasicki.

12. Paweł i Gaweł.

Paweł i Gaweł w jednym stali domu:
 Paweł na górze, a Gaweł na dole;
 Paweł, spokojny, nie wadził nikomu;
 Gaweł najdziksze wymyślał swawole.
 Ciągłe polował po swoim pokoju:
 To pies, to zając, między stoły, stołki,
 Gonił, uciekał, wywracał koziołki;
 Strzelał i trąbił i krzyczał do znoju.
 Znosił to Paweł, nareszcie nie może;
 Schodzi do Gawła i prosi w pokorze:
 „Zmiłuj się Wacpan, poluj ciemno i nieco,
 Bo mi na górze szyby z okien lecą.“
 A na to Gaweł: „Wolność, Tomku,
 W swoim domku.“

Cóż było mówić? Paweł ani pisał,
 Wrócił do siebie i czapkę nacisnął.
 Nazajutrz Gaweł jeszcze smaczno chrapie,
 A tu z powały coś mu na nos kapie.

Zerwał się z łóżka i pędzi na górę,
 Stuk! puk! zamknięto; spogląda przez dziurę
 I widzi... cóż tam? Cały pokój w wodzie,
 A Paweł z wędką siedzi na komodzie.
 „Co Wacpan robisz?“—„Ryby sobie łowię.“
 —„Ależ, Mospanie, mnie kapie po głowie.“
 A Paweł na to: „Wolność, Tomku,
 W swoim domku.“

Z téjto powiastki morał w tym sposobie:
 Jak ty komu, tak on tobie.

Aleksander Fredro.

13. Pan i pies.

Pies szczekał na złodzieja, całą noc się trudził;
 Obili go nazajutrz, że pana obudził.
 Spał smaczno drugiej nocy, złodzieja nie czekał;
 Ten dom okradł; psa obili za to, że nie szczekał.

Ignacy Krasicki.

14. Furman i motyl.

Ugrzązł wóz, ani ruszyć już się nie mógł w błocie;
 Ustał furman, ustały i konie w robocie.
 Motyl, który na wozie siedział wtenczas prawie,
 Sądząc, że był ciężarem w takowej przeprawie,
 Pomyślał sobie: „Litość nie jest złym nałogiem;“
 Zleciał i rzekł do chłopca: „Jedźże z Panem Bogiem.“

Ignacy Krasicki.

15. Żółw' i mysz.

Że zamknięty w skorupie niewygodnie siedział,
 Żałowała mysz żółwia; żółw' jój odpowiedział:
 „Miej ty sobie pałace, ja—mój domek ciasny;
 Prawda, nie jest wspaniały,—szczupły, ale własny.“

Ignacy Krasicki.

16. Mądry i głupi.

Pytał głupi mądrego, na co rozum zda się.

Mądry milczał. Gdy coraz bardziej naprzykrza się,

Rzekł mu: „Na to się przyda, według mego zdania,

Żeby nie odpowiadać na głupie pytania.“

Ignacy Krasicki.

17. Strzelec.

Strzelił strzelec do jastrzębia,

Co ścigał jego gołębia,

Lecz, że źle mierzył, źle nabił,

Chybił jastrzębia;

Co gorzej, swego gołębia

Nieborak zabił.

W téj bajce ta jest nauka:

Strzelić—łatwo, trafić—sztuka.

Ludwik Kropiński.

18. Kruk i lis.

Kruk, na drzewie siedząc sobie,

Kawał sera trzymał w dziobie.

Lis, zapachem przynęcony,

Zrobił niskie trzy ukłony

I do niego rzekł niechący:

„Jakżeś, panie, zajmujący!

Wysiliła się natura:

Jaka postać! jakie pióra!

Jeśli tylko choć o włossek

Masz piękniejszy od piór głossek,

Wtedy rękę ci honorem,

Że jak bór ten stoi borem,

Z twą postacią i oczyma

Piękniejszego ptaka nie ma.“

Kruk, nie myśląc, że to zdrada,

Z radości się nie posiada;

Chce zachwycić lisa śpiewem,

Siedzącego tuż pod drzewem,

I szeroko dziób roztwiera.

Wtém wypada kawał séra.

Lis natychmiast za sér chwyta.

„Mości panie z nami kwita,“

Rzeczce wtedy lis do kruka;

„To dla ciebie jest nauka;

Chociaż droga, ale szczerza,

Warta przecież kawał séra.“

19. Osiek i flet.

Na błoni, świeżo skoszonym,

Osiełek z uchem zwieszonym,

Pasąc się trawy ostatkiem,

Znalazł fletrowers przypadkiem.

Zdziwion, ogląda i słucha,
Zważa, na coby się przydał,
I póty wacha i dmucha,
Aż flet przypadkiem głos wydał.

„Ho! ho!” zawoła radosny,
„Niechajże w swojej krytyce
Człowiek, co tak jest zazdrosny,
Przygania osłów muzyce!

Ten głos i granie to rzewne,
Co nos mój wydał tak czysto,

Przekona wszystkich zapewne,
Żem pierwszym w świecie artystą.“

W tym osłe widzimy młodzików,
Którym, gdy kilka wierszyków
Przypadkiem złożyć się uda,
Już sądzą, że piszą cuda.

Lecz, im są skorsi nadziei,
Tem łatwiej miną się z metą:
Ten, co przypadkiem wiersz skleci,
Dlatego nie jest poetą.

Julijan Ursyn Niemcewicz.

20. Osieł i ciełe.

„Jaki téż to osieł ze mnie!”
Tak się raz ciełe łajało,
Że się przelękło daremnie
I, jak głupie, uciekało.
Ale, gdy się tak rozwodzi,
Jakieś osłátko nadchodzi.

Idzie, idzie zadumane,
Łbem się uderza o ścianę
I mówi, myśląc nie wiele:
„Jakie téż to ze mnie ciełe!”

Tak i ludzie z siebie szydzą
I w swych błędach drugich widzą.

Frańciszek Morawski.

21. Kolaska.

Nie z potrzeby, ale z mody,
Leciał pędem panicz młody;
Konie z biegu się pieniły,
On je ćwiczył, co miał siły.
„Umykajcie,” wołał, „z drogi!”
Groził kijmi i batogi;
I ten w oczach jego zgrzeszył,
Kto na stronę nie pośpieszył;
Już to wielką świadczył łaskę,
Gdy skierował swą kolaskę;
O włos dziada nie przejechał
I z przekazem się uśmiechał.

Pędzi dalej; jam rzekł: „Cicho!
Będzie jemu kiedyś лихо;
A nie wyjdzie i miesiąca,
On tu wszystkich poroztrąca.“

Ale, gdy tak zawsze leci
Z strachem starców, bab i dzieci,
Kędyś tam na Nowym-Świecie
Zawadził o kamień przecie.
Pękły osie u karocy
I wyleciał, jakby z procy,
I od modnej téj swawoli
Jeszcze go bok dotąd boli.

Kajetan Węgiński.

22. Skąpy.

Chciał się skąpy obwiesić, że talara stracił;
 Żeby jednak za powrót dwóch groszy nie płacił,
 Ukradł go pokryjomu. Postrzegli sąsiedzi.
 Kiedy więc, osądzony na śmierć, w jamie siedzi,
 Rzekł, gdy jedni żałują, a drudzy go cieszą:
 „To szczęście, że mię przecież bez kosztu powieszają.“

Ignacy Krasicki.

23. Dwa pługi.

Raz na podwórzu stanęły dwa pługi:
 Jeden długo spoczywał; z pracy wrócił drugi.
 „Przyjacielu,“ rzekł pierwszy, „nie rozumiem wcale,
 Czemu ja tak przyćmiony, ty błyszczysz wspaniale;
 Wszak z jednegośmy kruszcu, przecież nie jednacy;
 Zkądżeś ty nabył blasku?“ — „Czy chcesz wiedzieć? Z pracy.“

Stanisław Jachowicz.

24. Dwa pługi.

Ukuł kował w swój kuźni dwa wyborne pługi,
 Obadwa wykończone, jak jeden, tak drugi;
 W obu było żelazo dobre, jednakowe,
 Jednakowo też lśniły oba pługi nowe.
 Chłop kupił jeden z pługów, wziął go do orania,
 Drugi kupił na zapas i wziął do schowania.
 Pług pierwszy skibę krajał i na chleb pracował,
 Pług drugi, stojąc w śpichrzu, gdzieś w kącie próżnował.
 W rok potem jakaż korzyść dla obu wypadła?
 Pierwszy błyszczał, jak srebro, a drugi rdza zjadła.

Teofil Nowosielski.

25. Wół i rolnik.

Pasterz, pilnując trzody, przygrywał na flecie;
 Pszczółka, pracą zajęta, siedziała na kwiecie;
 Pajaczek białą przędzę rozścielał po ziemi;
 Wół śmiał się z ich zatrudnień i pogardzał nimi.
 Na to rolnik, co umiał cenić wartość pracy:
 „Ty jesteś pracowitym, oni nie—próżniacy;
 Każdy swój powinności dopełnia, jak może,
 Tak dobra pilna pszczółka, jak wół, który orze.“

Stanisław Jachowicz.

26. Dwa zające.

Długą chartów gonitwą strudzone niezmiernie,
 Dwa zające przed śmiercią schroniły się w ciernie.
 Zrazu cicho siedziały; lecz po krótkiej dobie,
 Zaczął się młodszy kręcić i wyrzekać sobie,
 Że jeszcze w takim piekle w swém życiu nie siedział.
 „Nie przesadzaj, młodziku,“ starszy odpowiedział.
 „Lepiej zawsze pod cierniem, niżeli w pogoni;
 Prawda, że trochę kole, ale życia broni.“

Frańciszek Morawski.

27. Sknéra.

Sknéra, sług się pozbywszy, przez sknérstwo bez miary,
 Został się sam przy skrzyni, przy bramie—pies stary;
 Wierny, bo na łańcuchu, zażarty, bo głodny,
 Był straszny dla hultajów, dla pana dogodny;
 Lecz, gdy pan zawsze pościł, jak i teraz pości,
 A pies już nie dostawał ni chleba, ni kości,
 Wychudł, nareszcie skonał jednego wieczora,
 A z nim razem i sługa i straży podpora.
 Wtedy to nasz pan kutwa, tając śmierć brytana,
 Właził w wieczór do budy i czekał do rana;

Lecz, choć dobrze udawał brysia nieboszczyka,
Łotr jakiś, z lepszym węchem, do domu się wmyka;
A gdy sknéra, aż chrzypnie, tak wyje i szczeka,
Złodziej z jego pieniędzmi szczęśliwie ucieka.

Aloizy Żółkowski.

28. Osieł i lew.

Śmiał się osieł z niedźwiedzi,
Że na lutni brzdąkały.
„Niechaj waszeć nie bredzi,
Rzekł lew wyrozumiały;
„Niech raczej wprzód nam dowiedzie,
Że lepiej gra, niż niedźwiedzie.“

29. Skarb ukryty.

(Umiérając, pan winnicy Rzekł do synów w tajemnicy: „Moje dzieci ukochane, Zanim z wami się rozstanę, Tajemnicę wam wyjawię: Skarb po sobie wam zostawię. Mam w winnicy skarb ukryty; Każdy więc z was, pracowity, Niechaj kopie wciąż z ochotą, A wykopie z ziemi złoto....“ — „A gdzie, ojcie ukochany, Skarb twój w ziemi zakopany?“ Wszyscy razem, jakby w zmowie, Odezwali się synowie.  — „Kopcie tylko pracowicie, Rzekł i skończył starzec życie. Ledwo starca pochowano, Do motyki się zabrano; Wciąż synowie, bez pomocy, CZĘŚĆ WSTĘPNA.	Kopią we dnie, kopią w nocy; Choć strudzeni, nie ustają, Bo się skarbu spodziewają. Tak, wytrwali i cierpliwi, Pracują coraz gorliwiej; Lecz skarbu, comiałgrunt wydać, Jak nie widać, tak nie widać. Jednakże, w pracy wytrwali, Wnet winnicę rozkopali; Prawie każdą grudkę ziemi Przesiéváli dłońmi swemi; Ale, chociaż się spocili, Nigdzie skarbu nie odkryli. Tu się każdy wreszcie zgodził, Że ich ojciec próżno zwodził. Tymczasem piękna, radosna, Nastąpiła znowu wiosna; A winnica, oku miła, Trzykroć pięknieją obrodziła
--	--

I obfity plon wydała,	Że skarb z ziemi wygrzebali;
Bo uprawę lepszą miała.	Że im ojciec prawdę prawił,
Tak młodzieńcy w czas poznali,	Iż w winnicy skarb zostawił.

30. Kotek, piesek, myszka i ptaszek.

Kotek z ostremi pazury,
 Piesek, sprzecznej z nim natury,
 Lękliwa myszka i ptaszek nieśmiały
 Razem się z sobą chowały.
 Prześliczna zgoda była między niemi:
 Nieraz się kotek z pieskiem położył na ziemi,
 A myszka sobie wesoło
 Biegała w około,
 Ptaszek w górę podlatywał
 I swobodnie wyśpiéwywał.
 Nawet kiedy jeść im dano,
 Poróżnienia nie widziano.
 Rzadka w świecie zgoda taka:
 Kot ustąpił dla myszy, a piesek dla ptaka.
 Powiećcie że to bajka? Mylne wasze zdanie;
 Tych cudów dokazuje dobre wychowanie.
 Pamiętajcież dzieci o tém:
 Kiedy pies się zgodził z kotem,
 Jakże to będzie nieładnie,
 Skoro niezgoda między was się wkradnie.

Stanisław Jachowicz.

31. Pieniądz fałszywy.

Pieniądz fałszywy długo ludzi zwodził,
 Razem z dwudziestozłotowemi chodził;
 Ztąd nabrał pychy bez miary,
 Za nic miał wszystkie talary;
 Mijał z pogardą, nie wyrzekłszy słówka,
 Gdy go pocziwa witała złotówka.

Wtém raz się jakiéms zdarzeniem
 Spotkał z probierczym kamieniem;
 Jedno potarcie, wnet się rzecz odkryła,
 Że pod pozłotą miedź była.

32. Kruk i lis.

Kruk miał w dziobie sér ogromny.
 Lis, niby skromny,
 Przyszedł do niego i rzekł: „Miły bracie!
 Nie mogę się nacieszyć, kiedy patrzę na cię.
 Cóż to za oczy!
 Ich blask aż mroczy.
 Czyż można dostać
 Takową postać?
 A pióra jakie!
 Lśniące, jednakie!
 Ach! jeśli nie jestem w błędzie,
 Pewnie i głos śliczny będzie!“
 Więc kruk w kantaty; skorodziób rozdziawił,
 Sér wypadł, lis go porwał i kruka zostawił.
 Zawsze bywa zwiedzionym,
 Kto lubi być chwalonym.

33. Wróbel.

Wróbel pstry, iż był jeden pomiędzy szaremi,
 Ledwo się dotykał ziemi,
 Tak był zhardział, rozumiał bowiem, iż nad niego
 Piękniejszego
 Natura wydać nie zdoła,
 Nietylko wróbla, ale i sokoła.
 Gdy więc wszystkiemi gardził, rzekł mu jeden z szpaków:
 Kto jest pierwszym wśród wróbli, nie jest pierwszym z ptaków.
 *

34. Chciwość osła.

Osiółkowi w żłoby dano:	Chwyci owies, żal mu siana;
W jeden—owies, w drugi—siano.	Chwyci siano, owsa szkoda.
Uchem strzyże, głową kręci:	I tak stoi aż do rana,
I to pachnie, i to nęci.	A od rana do wieczora,
Od którego teraz zacznie,	Aż nareszcie przyszła pora,
Aby sobie podjąć smacznie?	Że ośliń, w pośród jadła,
Trudny wybór, trudna zgoda:	Z głodu padła.

Alexander Fredro.

35. Kmiotek i wiewiórka.

Pewien kmiotek w zimnej porze,	Ulituj się nad niebogą!
Rąbiąc na coś drzewo w borze,	To zebrałam w czoła pocie,
Znalazł miejsce, gdzie wiewiórka	Cochcesz wydrzeć, byś jak fraszkę
Miała skarb i w mrozy przechów;	Dał swym dzieciom na igraszkę.
Domem jej była w pniu dziurka,	Im to dobra nie przysporzy,
Skarbem—dwa garnce orzechów.	A mnie biedną, niezadługo
Radość się w kmiotku roznieca;	Z twój przyczyny głód zamorzy;
Topór w drzewo; torba z pleca;	Weź połowę, zostaw drugą!“
Już orzechy brzęczą w ręku.	—„Nie, nie wezmę ni orzeszka,“
Aż na blizkim siedząc sęku,	Dobry kmiotek odpowiada;
Rzekła doń gospośia z trwogą:	Kto sam doznał, co jest bięda,
—„Mój ty królu! mój klejnocie!	Czuć litości nie omieszka.“

Józef Massalski.

36. Przepiórka.

Kiedy młody nie słucha, co mu starszy radzi,
Zawsze się zdradzi.

Wyszła z gniazda przepiórka, tak mówiąc do młodzi:
„Niechaj, póki nie wrócę, żadne nie wychodzi;
Bo nie wiecie, dzieci,
Że zdradny człek, sieci

Obstawwszy do koła,
 Czatuje,
 A ukryty, na wabiu głos nasz naśladuje,
 Na zgubę woła.“
 Odbiegła; a że długo nie widać jój było,
 Dzieciom się sprzykrzyło;
 Wtém głos przepiórki
 Słyszą z za górki;
 Sądząc, że ich umyślnie pani matka zwodzi,
 Aby siedziały,
 Nie figlowały,
 Jedno za drugim wolno z gniazdka wychodzi;
 Biegną śmielój za głosem, ale, wpadłszy w siatki,
 Daremnie się trzepocząc, wzywały swój matki.
Karol Tetmajer.

37. Paweł i Jan.

Pytał się Paweł: „Powiedz mi, mój Janie,
 Co ty jadasz na śniadanie?“
 Jan mu na to: „Jak czasem; na co człeka stanie;
 Jednakże lubię odmianę;
 Czasem mléko, chléb z masłem, albo piwo grzane.“
 „A ja,“ rzekł z chlubą Paweł, „taką mam już wprawę,
 Że codziennie pijam kawę
 I to jeszcze nie jedną: dwie, trzy filiżanki;
 Do tego grzanki,
 Albo ze świeżém masłem bułeczki mątowe.“
 Tu przerywają mowę.

Wkrótce potem widziano Pawła nieboraczka,
 Jak same suche bułki wydobywał z fraczka.
 Dalój, dalój, cóż się stało?
 Gdy się grosze wysypało,
 I na bułki już nie stało.

Ach! jakże znieść mu było przykro taką zmianę!

Jan miał zawsze chléb, mléko, albo piwo grzane.
Stanisław Jachowicz.

38. Lis i osieł.

Lis stary, wielki oszust, sławny swém rzemiosłem,
 Że nie miał przyjaciela narzekał przed osłem.
 „Sameś sobie w tém winien,” rzekł mu osieł na to,
 „Jakaś sobie zgotował obchódz się zapłata.
 Głupi ten, co wnijść w przyjaźń z łotrem się ośmiela,
 Umić być przyjacielem, znajdziesz przyjaciela.”

Ignacy Krasicki.

39. Woły krnąbrne.

Mile—złego początki, lecz koniec—żałosny.
 Nie chciały w jarzmie chodzić woły podczas wiosny;
 W jesieni nie zwoziły zboża do stodoły;
 W zimie chleba nie stało: zjadł gospodarz woły.

Ignacy Krasicki.

40. Ż y d e k.

Szła ulicą dziecina, biedna, wynędzniała,
 Oczki rączką zasłaniała.
 Spostrzegła to przez okno dobroczynna pani
 I chleba posyła dla niój;
 Cieszy się już zawczasu myślą pięknej cnoty,
 Bo cóż milój, jak ulżyć cierpieniom sieroty?
 Wkrótce powraca z chlebem służąca zdyszana;
 „Ach!” rzecze, „pani kochana,
 To żydyiak, a któż widział wspomagać żydyiaka?”
 Dobrą panią uwaga oburzyła taka.
 „Ale biedny,” odpowie; „wesprzeć go potrzeba;
 Idź, natychmiast mu zanieś ten kawałek chleba;
 On bliźni; cóż to znaczy w wyznaniu różnica?
 Wszak słońce jednakowo nam wszystkim przyświeca.”

Stanisław Jachowicz.

41. Mysz i kot.

Mysz, dlatego, że niegdyś całą książkę zjadła,
 Rozumiała, iż wszystkie rozumy posiadała.
 Rzekła więc towarzyszkom: „Nędzę waszą skrócę;
 Spuście się tylko na mnie; ja kota nawrócę.“
 Posłano więc po kota. Kot, zawsze gotowy,
 Nie uchybił minuty, stanął do rozmowy.
 Zaczęła mysz przemowę. Kot jój pilnie słuchał,
 Wzdychał, płakał. Ta, widząc, iż się udobruchał,
 Jeszcze bardziej wpadała w kaznodziejski zapal;
 Wysunęła się z dziury, a wtém.... kot ją złapał.

42. Piotr i Jan.

„Jedź wolno, nie pędź koni,“ wołał Piotr do Jana,
 „Bo tu błoto i droga nieutorowana.“
 Nie chciał słuchać Jan skory, ciągle konie biedził,
 Aby Piotra w przybyciu na miejsce wyprzedził;
 Piotr jednak, że swych koni sił nie nadużywał,
 Wcześniej stanął na miejscu, po trudach spoczywał,
 A Jan, zmęczony konie, w smutku i kłopotcie,
 Pieszko wrócił do domu, bo wóz ugrzązł w błocie.

Tak bywa, gdy kto czego nad siły wymaga:
 Dobry pośpiech, lecz przy nim rozum i rozwaga.

A. Z. 1853 r.

43. Dudek, czyżyk i słowik.

Dudek czubały z czyżykiem
 Gdy raz się zesłi z słowikiem,
 Dudek, ze stroju dumna ptaszyna,
 Tak do czyżyka mówić zaczyna:

„Ten szary słowik z swemi piórkami,
 Jak widzę, brata się z nami;
 Musi to ptaszek być ladajaki,

Ulećmy od niego w krzaki.“

Na to słowiczek, ptaszę rozumne,
 Spojrzał z litością na ptaki dumne,
 Siadł na gałązce obok strumienia,
 I jał rozwodzić rzewliwe pienia.
 Tkliwy głos jego, z głębi przenika
 Zarówno dudka jak i czyżyka;
 Z żalem do niego zbliżyć się radzi....

Zgoda dobremu nigdy nie wadzi,
 Chętnie więc słowik do niej się skłania,
 Lecz im tę skrytą prawdę odsłania,
 Że się niczyja wartość nie mierzy
 Ani z pozoru, ani z odzieży.

T. Rodziszewski 1857 r.

44. Myszka, kotek i kogut.

Coby to była za szkoda!

O mało nie zginęła jedna myszka młoda,
 Szczera, prosta, niewinna; przypadek ją zbawił.
 To, co ona swój matce, ja wam będę prawil:
 „Rzuciwszy naszych kryjówek głębiny,
 Dopadłam jednej zielonej równiny,
 Dyrdając, jako szczurek, kiedy sadło śledzi;
 Patrzę, aliści dwoje zwierząt siedzi:
 Jeden z nich, trochę dalej, z milczeniem przystojném
 Łagodny i uniżony;
 Drugi zaś zdał mi się być burdą niespokojnym:
 W żółtym bucie z ostrogą chodził napuszony,
 Ogon zadarł do góry
 I lśnięcemi błyskotał pióry;
 Głos przeraźliwy, na łbie mięsa kawał,
 Jak gdyby kto powykrawał;
 Ręce miał, któremi się sam po bokach śmigał,
 Albo na powietrze dźwigał.

Ja, lubo z łaski Boskiej dysyć jestem śmiała,
 Ażem mu srodze nakłęła,
 Bo mię z strachu drzączka wzięła,
 Jak wziął tłuc z tartasem obrzydły krzykała;
 Uciekłam tedy do jamy.
 Bez niego byłabym się z zwierzątkiem poznała,
 Co kozuszek z ogonkiem ma tak, jak my mamy.
 Minka jego nie nadęta,
 I, choć ma bystre ślepięta,
 Dziwnie mi się z skromnego wejrzenia podobał;
 Jak nasze, taką samą robotą ma uszka,
 Coś go w nie ukąsiło, bo się łapką skrobał;
 Szłam go poiskać, lecz mi zabronił ten drugi
 Tój przyjacielskiej usługi,
 Kiedy nagłego narobił łoskotu,
 Krzyknąwszy na mnie z gniewem: Kto to tu? kto to tu?“
 — „Stój,“ rzecze matka, „córkó moja luba!
 Aż mrowie przechodzi po mnie;
 Wieszli, jak się ten zowie, co tak siedział skromnie?
 Kot, bestyja, rodzaju naszego zguba.
 Ten drugi był to kogut; groźba jego pusta,
 I przyjdą może te czasy,
 Że z jego ciała będziem jeść frykasy,
 A zaś kot może nas schrusta.
 Strzeż się tego skromnisia, proszę cię jedynie,
 I tę zdrową maksymę w swój pamięci zapisz:
 Nie sądź nikogo po minie,
 Bo się w sądzie poszkapisz.“

Stanisław Trembecki.

45. Wilk i baranek.

Wilk i baranek zdjęci pragnieniem,
 Stanęli jakoś nad jednym strumieniem.
 Wilk żłopał u góry wyżej,
 Baran z daleka pił niżej.
 Wilk, szczerząc zęby na jagnię młode,
 „Baranie,“ mówi, „mącisz mi wodę.“

Baran, na takie zląklszy się zdanie,
 Z pokorą rzecze: „Wielmożny panie!
 Nie mogę tobie mąć téj wody,
 Co z pod nóg twoich do mych ust płynie.“
 — „A to ty,“ fuknął, „pogański synie,
 Beczałeś na mnie z swojej zagrody,
 Już przeszło temu, jeśli nie więcej,

Osiem miesięcy.“

A baran na to: „Lecz pan widzi przecie,
 Że jeszcze wtedy nie byłem na świecie.“
 — „To brat twój,“ rzecze; „musi być nie inac.“
 — „Alem ja tylko jedynak.“
 — „Czy ty, czy brat twój, czy tam kto inny,
 Cały wasz naród dla mnie złoczynny.

Darmo! nie ujdiesz śmierci.“

Zgrzytnął i rozdarł na ćwierci.

Franciszek Dyjonizy Książnin.

46. Owieczka.

„Nie oddalaj się kochanko, od trzody,“
 Mówiła stara owca do owieczki młodej;
 „Zobaczysz, porwą cię wilki,
 Na to dosyć jednej chwili.“
 Młoda mruknęła sobie: „Co tam mama plecie!
 A wilków nie ma na świecie;
 Nie dziś żyję, żadnego jeszcze nie widziała;
 U starszych, aby burzyć, to na tém rzecz cała.“

Tak sobie rozumując, została się w tyle;
 Goni po krzakach motyle,
 To liść z drzewa, to trawkę skubnie wśród parowu,
 To się zatrzyma, to podskoczy znowu;
 Wtém nagle strasznie zawoła:

„Ach! ratuj mię, mamuniu, bo wilki do koła!
 Mamuniu dobrodziejkó, mamuniu kochana!“
 Biegną co tchu pasterze, krzyczą na brytana,
 Lecz za późno: owieczka już oddała ducha.
 Tak to bywa, dziateczki, kto starszych nie słucha.

Antoni Górecki. 1859 r.

47. Żółw' i zając.

Chyży, wysmukły i zwrotny zając
 Napotkał żółwia, jakoś przebiegając.
 „Jak się masz moja ty skorupo,“ rzecze,
 „Gdzie to się waszmość tak pomału wlecze?
 Mój Boże cóżto za układ natury!...
 Mnie w biegu i sam wiatr nie dopędzi,
 Żółw' na godzinę, w swym chodzie ponury,
 Ledwo upełźnie trzy piędzi.“

„Hola!“ żółw' rzecze, „mój ty wiatronogi,
 Umiem ja chodzić i odbywać drogi;
 Mogę i ciebie ubiedz do celu.“

Rozśmiał się zając: „Ha! mój przyjacielu,
 Jeśli jest wola, ot, cel téj ochocie
 Niech będzie przy owym płocie.“

To rzekł i, rączę posunawszy skoki,
 Stał w pół drogi; obejrzy się, a tam
 Żółw' ledwo ruszył trzy kroki.

„I na cóż,“ rzecze, „ja wiatry zamiętam?
 Nim on dopełźnie, tak sobie suwając,
 Sto razy wyśpi się zając.“
 Tu swoje słuchy przymusnął,
 Legnął pod miedzą i usnął.

Żółw', gdy powoli krok za krokiem niesie,
 Stawa na koniec w zamierzonym kresie.

Ocknie się zając: w czas właśnie!
 Darmo się rzucił do prędkiego lotu,
 Bo ten, co idąc, w pół drogi nie zaśnie,
 „A kto z nas,“ mówi, „pierwszy u płotu?“

Frańciszek Dyjonizy Książnin.

48. Gil i słowik.

Pan gil, z słowikiem wszedłszy w przymierze,
W znajome lasy gdzieś tam wędrował;

Pierwszy miał cudne nad podziw pierze,
A drugi głosem wszystkich celował.

Ledwo co weszli do boru oba,
I spojrzeć nie chce nikt na słowika;

Wszyscy na gila: „To mi osoba!
A ten być nie wart za pacholika.“

Lecz kiedy słowik zaśpiewał czysto,
I wszyscy dali dank *) jego pieniu,

Zgąsleś, jak klecha przed organistą,
Mój panie gilu, w krasnym odzieniu.

Małoż jest takich gilów na świecie,
Których bez zasług odyma pycha!

Wielcy z pozoru tylko, a przecie
Habit, jak mówią, nie czyni mnicha.

Adam Naruszewicz.

49. Lis i kozieł.

Już był lis w ogródku, już witał się z gąską,
Kiedy, skok robiąc, wpadł w beczkę wkopaną,
Gdzie wodę zbierano.

Ani pomyśleć o wyskoczeniu!
Chociaż wody nie było i nawet nie grzązko,

Studnia na półczwarta łokcia,

Za wysokie progi

Na lisie nogi.

Zrąb tak gładki, że nigdzie nie wścibić paznokcia;
Postaw się teraz w tego lisa położeniu!

*) Dać dank, wyrażenie dawne, znaczyło: przyznać nagrodę, lub pierwszeństwo.

Inny zwierz pewno załamałby łapy
 I bił się w chrapy,
 Wołając gromu, ażeby go dobił.
 Nasz lis takich głupstw nie robił;
 Wie, że rozpaczać jestto przydawać złe do zła;
 Zawsze maca wkoło zębem,
 A patrzy w górę. Jakoż wkrótce ujrzał kozła,
 Stojącego tuż nad zrębem
 I patrzącego z ciekawością w studnię.
 Lis wnet spuścił pysk na dno, udając, że pije,
 Cmoka mocno, głośno chłepce
 I tak sam do siebie szepce:
 „O! to mi woda! Takićj nie piłem, jak żyję!
 Smak lodu, a czysta cudnie!
 Chce mi się całemu splukać,
 Ale szkoda mi jój zbrukać,
 Szkoda,
 Bo co téż to za woda!“
 Kozieł, który tam właśnie przyszedł wody szukać,
 „Ej!“ krzyknął z góry, „ej! ty ryży kudła,
 Wara od źródła.“
 I hop w dół. Lis mu na kark, a z karku na rogi,
 A z rogów na drąg i w nogi.

Adam Mickiewicz. 1832 r.

50. Małpa i jej dzieci.

Dwóch synów małpa wodziła,
 Razem matka i macocha,
 Jednego bardzo lubiła,
 Lecz drugiego ani trocha.
 Dla faworyta wszystkie jój starania:
 Byle deszcz mały, albo chmurka lada,
 Ona już nad nim przepada,
 Tuli do łona i zewsząd ochrania,
 Żeby wśród wilgotnój doby
 Nie dostał kaszlu, lub innój choroby.
 Lecz skoro ustał czas chłodny
 I zawiął zefir łagodny,
 Nie lękając się zasadzki,
 Schodzi z drzewa dla przechadzki,

Trzymając synka na ręku.
 Był to syn starszy, zbyt dziecina luba,
 Małpiego rodu nadzieja i chluba.
 Matka, nań patrząc wzrokiem pełnym wdzięku,
 Cudo w nim świata widziała,
 Ściskała i całowała;
 Lecz, gdy go pieści, drugi syn, wzgardzony,
 Własnym siłom zostawiony,
 Dlatego może od brata zręczniejszy,
 Przytomniejszy i silniejszy,
 Sam za matką szedł dość śmiało.
 Gdy tak po lesie troje się błąkało,
 Wilk żarłoczny z boku wpada.
 Strach okropny. Matka, blada,
 Nie wie, co robić; widok srogi ją zdumiewa;
 Trzeba koniecznie było dopaść drzewa,
 Lecz z dzieckiem w ręku nie mogła.
 Nakoniec całość życia własnego przemogła:
 Rzuca synka na ziemię, gałęzi się chwyta,
 A wilk pożarł faworyta.
 Inny los młodszego syna,
 Co mókł na deszczu, na słońcu się palił:
 Temu nie była potrzebną drabina,
 Sam wskoczył na dąb i życie ocalił.

Julijan Ursyn Niemcewicz.

51. Myszka narada.

Gdzieś tam w norach, wśród zaciszy,
 Wielką naradę odbywały myszy,
 Jak się ustrzedz kota, który
 Postrachem był okolicy.
 Musiały głodne siedzieć w swój ciemnicy;
 Ani wyjść na świat; wnet każda złapana.
 Co tu robić? Narady. Różne miano mowy;
 Nareszcie jedna mysz, z mądrości znana,

Temi ozwała się słowy:

„Najlepszy sposób, bracia moi mili,
 Kiedy kot drzémie, dopatrzeć téj chwili

I dzwonek do ogona przywiązać szpagatem;
 To już spokojność, czy zimą, czy latem.
 Jak się tylko kot ruszy, znajdziem zawsze porę,
 Usłyszawszy dzwonienie, wnet schować się w norę.“
 — „Brawo! wybornie!“ wszystkie zawołały;
 „To mądra rada.“ Ot i rzecz skończona;
 Wtém tylko został sęk cały,
 Kto ten przywiąże dzwonek do ogona.

Jeden szczur mówi: „Czy mi lichy każe
 Leżeć samemu w łapy kota?“
 Drugi powiada: „O! ja się odważę,
 Lecz nie potrafię; nie moja robota.“
 Ten mówi—starą matkę, ten ma dziatwę małą,
 Tamten prawi rzeczy inne.
 Słowem, że każdy wynalazł przyczynę
 I na projekcie wszystko się zostało.

Zwykle, gdzie dobro powszechne na celu,
 Wszystkie narady taką idą drogą:
 Projekt podawać to znajdzie się wielu,
 Lecz wykonywać to niema nikogo.

Antoni Górecki. 1834 r.

52. Dwie myszki.

Myszka Lizetka, po dworskim pobycie,
 Chciała zobaczyć, jakie na wsi życie.
 Wyszła raz w pole i do swój siostrzanki
 Wstąpi na chwilę, do myszki Gryzanki.
 — „A! zdrowaś?“ — „Zdrowam.“ — „Cóż więcéj?“
 Skoczy gospoia czymprędzój,
 Cokolwiek mogła znaleźć z leguminy,
 Dobędzie z tajnego lochu
 Pszeniczki, owsa i grochu
 I nadgryzionój skibkę słoniny;
 Bo uważając, że ledwie co z letka
 Przytknie do wargi panna Lizetka,
 Chciała przynajmniej z potraw różności
 Przypodobać się jójmości.

Tu dworka, stan swój szacując drogo,
 Tonem litości wyższego świata,
 „Żal mi cię,“ rzecze, „moja niebogo,
 Żeś tu zamknęła swe lata.
 Mogąc mieć dolę przyjemną,
 Na cóż się w dzikiéj téj grocie
 Głuchéj poświęcać samocie?
 Porzuć te nudy! pójdź ze mną;
 Co to żyć, obaczysz przecie.
 Ślepy los jakiś—na świecie,
 A koniec końców—dół w ziemi;
 Na cóż te posty i znoje?
 Nie łudź się mary przyszłemi
 Co dziś użyjesz, to twoje.“

Ujął Gryzankę morał tak letki;
 Z czyich ust jeszcze? Z mownéj Lizetki.
 Rzuca wieś. Idą. Mimo kotów czaty,
 Wkradły się chyłkiem obie w dom bogaty.
 Zadziwiał kmiotkę blask srebra i złota,
 Co go nie znała jéj wiéjska prostota.
 Cóż, gdy zwietrzyła pasztety,
 Cukry i ciasta i wety!

Lizetka, w takim ją stanie
 Na Perskim sadząc dywanie:
 „A znacie wy to wieśniaczki?
 Używaj teraz!“ Tu same przysmaczki
 Przynosi do niéj, a, jak każe moda,
 Sama wprzód liźnie, toż gościowi poda.
 Gryzanka moja, wśród hojnéj rozkoszy,
 Na miękkich siedzi jedwabiach paradnie;
 Wtem.... kosz na ziemię upadnie,
 Łoskot z dywanu biesiadnice płoszy;
 Poczęły zmykać, a gdy tuż zza ściany
 Zaszczekną jeszcze ogromne brytany,
 Z srogiego popłochu, ledwie
 Do szpary trafią obiedwie,
 „Niestety,“ krzycząc, „niestety!“

Ucichło. Tu dworka nasza
 Na resztę uczty zaprasza.
 „Jeszcze,” mówiła, „są wety.”
 Ale wieśniaczka, rzucając drużynę:
 „O! bywaj zdrowa i z tym pysznym gmachem!
 Wolę w spokoju groch mój i słoninę,
 Niż twoje wety ze strachem.”
 Franciszek Dyjonizy Książnin.

53. Osieł i pies.

„Jeśli chcesz, ośle, by pies kochał ciebie,
 Kochajże ty psa,” słowa są Lokmana*).
 Rozumiał je nasz osieł, boć już nie był źrebę,
 Ale z nich drwił. Ta lekkość jak była skarana,
 Opowiem dla was, bydląt potomnych, nauki.

Ten osieł, nosząc, jak zazwyczaj, juki,
 Szedł w ślad za panem, a za nim z tyłu,
 Mając nad jukami i nad osłem dozór,
 Ledwie widny w kłębach pyłu,
 Biegł pies, wywiesiwszy ozór.

Szli tak aż do południa. Pan na skwar narzekał,
 Siadł pod drzewem i zasnął. Tegoć osieł czekał:
 Obejrzał się; naprzód darń przy drodze siekał,
 Potém podstrzygać zaczął czubek miedzy,

Nakonec przez rów hasa
 I widzi się na łące, jakoś mimo wiedzy.
 Nie znalazłci tam przysmaków:
 Chwastowiska, ni bodziaków,
 Lecz koniczyny do pasa.

„Będę się miał z pyszna, tylko ty, człowiecze,
 Zmłuj się, śpij!” tak westchnął i siecze, a siecze.

Psu oskoma i pokusa:
 „Mój osłosiu! od rana jestem na czczo; mdli mię;

*) Lokman był to głośny autor bajek Arabski, jak Ezop był Greeki.
 CZĘŚĆ WSTĘPNA.

Ty masz wędzonkę w jukach, aż ztąd czuć po dymie;
 Pozwól, że dam jój całusa.
 Wiesz, jak zrobim? Ja stanę na łapy dębkiem,
 A ty przykleknij na jedno kolano.“

Ale nasz osieł, jakby do muru gadano,
 Siecze, a żuje, milcząc. Aż wreszcie półgębkiem,
 Wypchanym koniczyną: „Co się tu wałęsasz!
 Poszedłbyś, psie, do nogi! Jak jegomość wstanie,
 Da ci się śniadanie.“

Odpowiedzi nie czekał i obuszczył znowu
 Tak zarwał trawy, że aż wygryzł w ziemi dołek,
 Klnąc psa, że mu przeszkadza. Wtém nagle zza rowu
 Błysnął ku niemu parą krwawych świec wilkołek,
 Biorąc go na cel i na tuj.

Wtedy do psa: „Bracie! *bron!* *ciu!* *ciu!* na tu! *ratuj!*“
 A pies: „Ja nie twój *ratuj*, ani twój pan *broniec*;
 Nie wrzeszcz i łaki nie tratuj;
 Czekaj, aż jegomość wstanie
 Na waści obronienie i poratowanie.“

W téjże chwili wilk osła dorznął, ot! i koniec.

Adam Mickiewicz.

54. Chłop i żmija.

W pamiętnikach bestyjograficznych *) Ezopa
 Jest wzmianka o uczynku miłosiernym chłopca
 I o pewnego węża postępku łajdackiem.

Chłop wyszedł zimnym rankiem po chróśniak do sadu,
 Aż tu pod bramą wąż mu pada do nóg plackiem;
 Przeziębły, wpółskostniały, przysypany szronem,
 Już zdychał, już ostatni raz kiwnął ogonem.

Chłop zlitował się nad tą mizeryją **) gadu,
 Wziął go za ogon, niesie nazad w chatę,

*) Opisujących zwierzęta. **) Nad nieszczęśliwym losem.

Kładzie go na przypiecku,
 Podścięła mu kożuszek, jak własnemu dziecku,
 (Nie wiedząc, jaką weźmie od gościa zapłatę),
 Póty dmucha, póty chucha,
 Aż w nieboszczyku dobudził się ducha.

Nieboszczyk wąż, gdy ożył, tak się wnet nasrożył:
 Rozkręcił się, do góry wyprężył się, syknął
 I całym sobą w chłopa się wycela,
 W swojego dobrodzieja, w swego zbawiciela
 I wskrzesiciela.

„A to co się ma znaczyć?“ zdziwiony chłop krzyknął,
 „To ty, w nagrodę dobrego czynu,
 Jeszcze chcesz mię ukąsić? A ty żmii-synu!“

I wnet, porwawszy dubasa,
 Tnie węza raz pod ucho, drugi raz wpół pasa.
 Odleciał ogon w jeden, a pysk w drugi kątek:
 Rozpadło się żmiisko na troje żmijątek;

Darmo drgają
 I biegają,
 Ogon za szyją, za ogonem szyja;
 Już nie zmartwychwstanie żmija.

Przytrafia się to często, że dobry człek jaki
 Niewdzięcznika przygarnie,
 Ale trafia się częściej, że niewdzięcznik taki
 Przepada marnie.

Adam Mickiewicz.

55. Bocian i liszka.

Jako druh dobry do swojej drużyny*),
 Bocian do liszki**) przyszedł w nawiedziny.

*) Do przyjaciółki. **) Do lisz.

A że to jeszcze było dobrze z rana,
 Zaprosi liszka grzecznego bociana,
 Aby, na dowód swój łaski,
 Lekkie śniadanie raczył zjeść pospołu.
 Postawi przed nim rzadkiego rosołu
 Półmisek płaski.
 Gość imie grażyć swoim długim dziobem,
 Ale nie takim on jada sposobem,
 Jak tu częstują: próżno tylko depce,
 Tymczasem wszystko sama imość zchłepce.
 Figiel ten skromnie zagodzi:
 Podziękowawszy za cześć, odchodzi.

W kilka dni potém, napotyka liszkę:
 Prosi na obiad wdzięczną towarzyszkę.
 „I owszem,“ rzecze mu ona,
 „Chętnie z mojami jadam przyjaciół.“
 Gdy się godzina zbliża naznaczona,
 Posunie krok swój wesoły.
 Chwali bociana, cieszy się, że zdrowy,
 A węchem czuje, że obiad gotowy.
 Dobry nad wszystko apetyt porywa,
 A na tém liszce, słyszałem, nie zbywa.
 Stawi gospodarz przed tą korteżanką
 Gąsior wysoki z siekanką.
 Sam tedy naprzód, jako wyga stary,
 Do wąskiej szyi szyję długą ścibi;
 Lecz mordka liszki była inszej miary:
 Co się pokwapi, to chybi.
 Gdy wkoło skacze i liże i skrobie,
 Długonos wszystko tymczasem wyzobie.
 Za taką uczcią, dla się niewygodną,
 Liszka nawzajem dobrze była głodną.
 Więc, zawstydzona, do domu pokłuszy,
 Zwinawszy ogon i spuściwszy uszy.
 Tu bocian: „Umie żartować kochanka!
 A co lepszego: rosół, czy siekanka?“

Frańciszek Dyjonizy Kniaźnin.

56. Żołądz i dynia.

Pewien chłop, Marek z imienia,
 Patrzył się pełen zdziwienia
 Na dynię, której tak cienka łodyga
 Tak ogromny owoc dźwiga.

„Widném jest,” rzecze, „że Stwórca pobłądził;
 Ja byłbym rzecz tę inaczej urządził,
 Tak naprzykład porządkował:
 Byłbym tam, w owój gęstwinie,
 Po wszystkich dębach porozwieszał dynie,
 Owoc do drzewa stosował;
 Tę zaś żołądz, lichą, drobną,
 Tak do dębu niepodobną,
 Podły pokarm świni,
 Byłbym dał dyni.

Szkoda, mój Marku, żeś tam w dawne lata
 Nie był przy stworzeniu świata,
 Nie jedną radę byłoby się dało
 I pewno lepiej, niżli teraz, działało.
 Gubię się w wielkim myśli moich tłumie;
 Zasnąć nie można przy takim rozumie.“

Kiedy tymczasem pod dębem usiada,
 Kiwa się, chrapie.... a wtém żołądz spada
 Z jego dębu właśnie,
 I tak srodze i okrutnie
 Prosto w nos go utnie,
 Że aż z bólu wrzaśnie.

„Cóż to jest!” rzecze,
 „Krew mi z nosa ciecze!
 Małeńka żołądz, a tak mi dojadła!
 Cóżby to było, gdyby dynia spadła?

Żle coś mówiłem: próżna to otucha
 Poprawiać Stwórcę nawet w lichéj dyni.
 Wié Bóg, co robi, a najlepiej czyni,
 Że głupich Marków nie słucha.“

Frąciszek Morawski.

57. Lew i mysz.

Onego czasu lew drzynał;
 Umilkła puszcza i wiatr się zatrzymał;
 Rozigrały się, wśród spokojnéj ciszy,
 Jedna za drugą biegające myszy.
 Aż tu pęd jedną uniesie
 Na króla zwierząt. Ocknie się
 I płochą skoczkę porywa.
 Myszka moja, ledwie żywa,
 Zguby swój czeka ze drżeniem;
 Ale on, rzeczą nie sądząc wspaniałą
 Mścić się nad drobném stworzeniem,
 Wypuścił całą.

W kilka dni potém, idąc po nocy,
 Sam w nastawione sidła zapadnie;
 Z tych się nie mogąc wydobyć snadnie,
 Rykiem jął żądać pomocy.
 Aż tu mysz owa przyleci.
 „Nie bój się, królu!“ powiada,
 „Ja cię wywikłam z tych sieci.“

Ustódze takiéj tu wdzięczność jéj rada.
 Te, w których stopy monarsze uwięzły,
 Zdradne przegryzła węzły.
 Tak lwa całego puszczy oddała
 Jedną mysz małą.

Frąciszek Dyjonizy Kniaźnin.

58. Jałmużna.

Noc była ciemna, wieja, ślizgawica.
 Szedł jakiś młodzian, porządnie ubrany,
 Wtém, jakby na złość, gdzie wązka ulica,
 Stoi staruszek, okryty łachmany,
 I żebrze.

„Wstydz się; czyż to żebrać pora?
 Któż to jałmużny prosi wśród wieczora?”

— „Panie, po licu mojem spójrz wybladłem,
 Daj mi grosz jaki, jeszcze dziś nie jadłem.”

— „Ej! daj mi pokój, nic nie mam, nie mogę.”
 Ofuknął młodzian i szedł w dalszą drogę.
 Idzie i myśli: „Oj! znam was, filuci,
 Miejscy próżniacy, ze wstydu wyzuci!
 Wziął lichą odzież, by tém litość wzbudzić,
 I ~~lęzłem~~ gwałtem, żeby co wyłudzić.”
 Lecz potem myśli: „Można w gniewie zbłądzić;
 Nie trzeba nigdy źle o bliźnim sądzić;
 A może biedny, może ma i dzieci?
 Zajdę, gdzie w bramie téj ogień się świeci,
 Dam mu co...” Zaszedł, lecz coś szuka długo;
 „Nie mam nic drobnych, dam mu razą drugą;
 Słabość jest zbytnią uwieść się szczodrota,
 Nie tak to łatwo nabywa się złoto.”
 Idzie, znów myśli: „Choćbym dał dukata,
 Nie wielka dla mnie byłaby to strata;
 Wszak mam ich kilka, a bez méj pomocy,
 Może staruszek i zamrze téj nocy;
 Lecz gdzież się wracać, spóźnię się na wiska...
 Ale biednego tego głód przyciska....
 Wróć się.” Wrócił. Ledwie dał trzy kroki,
 Ucichło, księżyc błysnął przez obłoki.
 Bieży młodzieniec, dziwi się téj zmianie,
 Bieży, gdzie stoi staruszek przy ścianie.
 Dał mu dukata. „Ten, co rządzi w niebie,
 Oby dla ciebie był téż litościwy,

Oby cię wspierał, gdy będziesz w potrzebie.“
Westchnął i zniknął staruszek sędziwy.

Żdziwiony młodzian patrzy dokoła,
Lecz nic nie widać pośród nocnej ciszy,
„Któż jesteś, starcze!“ przelekły, zawoła;
Wtém jeszcze taki w powietrzu głos słyszy:
„Co dasz ubogim, synu mój, nie zginie,
Oddam ci w sądu straszliwej godzinie;
Uważać każdy krok twój dobroczynny
Do mnie należy; lecz jest anioł inny:
Zbięra, co trwonisz, rozrzucasz daremnie,
Pomnij, by więcej nie zebrał ode mnie.“

Antoni Górecki.

59. Gołębnik.

W starym się gołębniku gołębie gnieździły;
Choć niekształtny i szczupły, był im jednak miły,
Bo tam je karmiły matki,
Tam się rodziły ich dziatki.
Właścicielowi przyszło coś do głowy,
Wystawić gołębnik nowy.
Gustownie go wybudował,
Z wiérzchu i wewnątrz nawet pomalował;
Nasypał ziarna do téj budowy wspaniałej;
Gołębie do starego jednak uciekały.
Właściciel kazał stary gołębnik rozrzucić;
Zaczęły się bardzo smuć,
Lecz na zwaliskach jeszcze się gnieździły,
Bo im ten kącik był miły.
To wzrusza ich pana, zebrał dawne szczątki
I, dla lubój im pamiątki,
W tém samém miejscu i takiej budowy,
Ze starego zrobił nowy,
Bo poznał, że i w ptakach są uczucia tkliwe,
I że nie wszędzie mogą być szczęśliwe. ^{1/}

Stanisław Jachowicz.

60. Pies i pszczoły.

„Jestto cnota nad cnotami
 Trzymać język za zębami,
 Stare powiada przysłowie;
 Wszyscy jednakże smakujem w obmowie:
 O cudzych grzechach rozmowa tak słodka!

Raz pewien wyżeł przebiegły i śmiały,
 Wielki bajarz, wielki plotka,
 Przytem lizus doskonały,
 Proszony, czy nieproszony,
 Latał na wszystkie strony,
 Wiedział wszystkie wady, sprzeczki,
 Wszystkich skrytości dociekał,
 Słowem, u wszystkich ogryzał kosteczkę,
 A potem wszystkich oszczeakał,
 Zwaśnił, zniechęcił i skłócił;
 Cały porządek przewrócił.

Wtém raz szczególna ciekawość go wzięła,
 Jakaś pokusa go bodzie
 Zajrzeć do ula, który stał w ogrodzie.
 Naprzód ostrożnie bierze się do dzieła:
 Obchodzi, wacha, skrada się, przymyka;
 Ale zaledwie nos wtyka,
 Cała pszczół gromada
 Z straszliwym brzękiem wypada;
 Wyżeł w nogi, lecz te, w złości,
 Tak go cięły bez litości,
 To po brzuchu,
 To po uchu,
 To po pysku, to po grzbiecie,
 Że już nie wiedział o świecie.
 Wtém mu jedna w nozdrze wpadła,
 I tém mu dojadła;
 Szarpie się, rzuca i wyje,
 Nosem ziemię ryje,

Jęczy, na wszystkie strony
 Wykręca się i wywija,
 Wreszcie leci, jak szalony,
 I łeb o kamień rozbija.
 I dobrze mu tak było. Kto nadto ciekawy,
 Kto nos swój niepotrzebnie w cudze wtyka spra
 A wszystkich czerni szkaradnie,
 Prędzaj lub później w taką łapkę wpadnie,
 Że będzie wzgardą i pośmiechem świata.
 Taka to wścibskich zapłata.

Frańciszek Moraw

61. Drabinka.

„Na cóż to, mamó, ta długa drabinka
 Stoi u tego kościoła?“
 Tak urocza jój dziewczynka
 W ciekawości swój zawoła.
 A matka na to: „Nie wiem, moje dziecię;
 Lecz wiem, że każdy na świecie
 Po drabinie życia bieży!
 Po niej w górę piąć się trzeba,
 I od nas tylko zależy,
 Aby ją oprzeć o nieba.“

Frańciszek Morawski.

62. Mrówka i pszczoła.

W jesiennój porze, gdy straszna nawała
 Całe zniszczyła mrowisko
 I, jak wieść niesie, dwa tysiące blisko
 Mrowiego ludu załała,
 Jedna z nich, biedna, płynąc przez czas długi
 Na drobnój słomce, jakby Noe drugi,
 Gdzieś się tam na brzeg wywlokła,
 A szczęsnym pszczołkę napotkawszy losem,

Zziębła, drżąca, głodna, zmokła,
 Takim zapłakała głosem:
 „Posil mię, posil, pszczółko dobra, tkliwa!
 Patrz, jak jestem nieszczęśliwa,
 Nie mam i jutra czém dożyć;
 Nikt na litości nie traci,
 Niebo ją stokroć odpłaci;
 A i ty możesz zubożéć.
 Wesprą cię wówczas, jak ty mnie w téj dobie,
 Bo, jak ty drugim, tak i drudzy tobie.“

— „Wymowną jesteś!“ pszczółka jój odpowie,
 „Lecz kiedy taka boleść cię przenika,
 Przypomnij sobie owego konika,
 Co także w pięknej wymowie
 Twój się litości domagał;
 Wszak o ziarnko tylko błagał,
 A ty, nietylko żeś mu nic nie dała,
 Jeszcześ mu skakać kazała.“

Mrówka się łzami w swym zalewa wstydzie,
 Zwraca się, milczy i umierać idzie;
 Kiedy z natury swój pocziwa pszczoła,
 Tak ją odwoła:
 „Wróć, wróć, nie chciałam z twojój sztydzić biedy,
 Przybliż się, zasil w potrzebie,
 Lecz jeśli znowu z bogacisz się kiedy,
 A nędzarz przyjdzie do ciebie,
 O! niechże prośbą nie błaga daremną;
 Nie gardź tą niebios przestrogą;
 Pomnij, że i ty płakałaś przede mną,
 I, jak on, byłaś ubogą.“

Frańciszek Morawski.

63. Zając i niedźwiedź.

Nietylko ludzi łączy zapał święty:
 I między zwierzęty

Bywa przyjaźń gorąca.
 Dziwnym trafem, niedźwiedź bury,
 Nadzwyczaj czuły z natury,
 Tak się przyzwyczaił mocno do zająca,
 Zając do niego nawzajem,
 Że ich przyjaźni nazywano wzorem:
 Był to Polluks z Kastorem*).
 Cóż, kiedy Polluks strasznym był mazgajem!
 Ilekroć z swoim zapałem wyjedzie,
 Ilekroć swoje uczucia niedźwiedzie
 W zajęcze serce chciał przelewać tkliwie,
 Zawsze go osapał,
 Odrapał,
 Zawsze nasz zając skrzeczał przeraźliwie.

Lecz nie tu koniec jego smutnej doli,
 Bo, gdy raz, w cieniu topoli,
 O wspólnym rozmawiali losie,
 A, o marnościach świata rozmyślając,
 Zdrzémał się zając,
 I mucha siadła mu na nosie,
 Niedźwiedź, każdej pory
 Do przysługi skory,
 Nagle się porywa,
 Straszliwie zaczął się dąsać:
 „Tak mi mojego przyjaciela kąsać!
 Oj! czekaj gadzino złośliwa,
 Nie wiesz, czem to pachnie.“
 Jak się odsadzi, jak machnie,
 Tak ją dobrze zagrabił,
 Że razem muchę i zająca zabił.

Każdy, kto w przyjaźń nierozważną wchodzi,
 Nudy i biedę pewno sobie kupi;
 Mądry przeciwnik często mniej zaszkodzi,
 Niżli przyjaciel serdeczny, a głupi.

Franciszek Morawski.

*) Kastor i Polluks—bliźnięta, bohaterowie z mitologii Grek.

64. Konik polny i mrówka.

Konik mny, co swój cały Wpośród lata czas prześpiewał, Tak byna zimę zgłodniały, Że tylk wiatr nim powiewał. Żeby t. odrobina jaka Znuchy lub robaka. Nic zgoła! A wiećdzie, płacze, woła, Do skętnój mrówki kołace: „Pożyc ach! pożycz,” powiada, „Kilka iarnek dla sąsiada; Jakem onik, tak zapłacę, By tylk Sierpień zawitał,	Prowizyję i kapitał.“ Mrówka na to: „Opatrz Boże! Ja nikomu nie pożyczam; Do wad moich to policzam, Nawet i najmniejszych może, Ale już mię nie poprawisz. Raczej odpowiedz mi na to: Cóżes robił całe lato, Że się dziś żebraniem bawisz?“ „Tak w dziennój, jak w nocnej dobie, Wciąż śpiewałem bez ustanku.“ — „Śpiewałeś? dobrze, kochanku, Teraz skakaj sobie.“
---	--

Franciszek Morawski.

65. Zajączek.

Jż pora miła Wiosny wschodziła; Nade gałązki Sły na zawiązki; Tawki bujały. Zjączek mały Ceszył się wiosną, Mrucze jednak na trawki, Że tak prędko rosną, Bo, dl: takięj odmiany,	I sam widzieć nie mógł I nie był widziany. Gdy je więc wydeptywał, Po łące igrając, Rzekł stary zając: „Zetną trawkę, ty wzrośniesz I, gdy czas się zmieni, Na to, co w wiosnie pragniesz, Zapłaczesz w jesieni.“
---	--

66. K o t.

Żaden kot w świecie nie słynął z dobroci,
 Lecz wszystkie przeszedł w złości pewien Matys bury,

Jakiś rzeźnik, Atylla, jakiś Herod koci,
 Istny bicz boży na szczury.
 Wszystko się przed nim na pół mili kryło;
 W najgłębszej drżano zaciszy;
 I jakby nie dość na szczurach mu było,
 Uwziął się jeszcze świat wyludnić z myszy.
 Nigdy o takim łotrze nie słyszały
 W żadnym mysim dziejopisie;
 Co tylko łapek, sideł, trucizn znały,
 Niczém było przy Matysie.

Raz więc wśród nocy, gdy mu głód dopiekał,
 I już oddawna próżno czyhał, czekał,
 (Myszki się kryły w swych dziurach),
 Zaczął zdechłego udawać przed nimi:
 Gdzieś się tam w górze, na wiszących sznurach,
 Zawiesił łapy tylnemi.

Myszy zaledwie dają oczom wiarę,
 Myślą, że musiał kogoś tam podrapać,
 Jakieś kurczátko, lub téż sérek złapać,
 I że wreszcie przebrał miarę;
 Przyszła kréska
 Na Matyska

I oto dynda za karę.
 Cieszą się wzajem i mówią do siebie:
 „Będziemyż skakać na kocim pogrzebie!”
 Wietrzą więc naprzód, wyścibiają główki
 I znów się w swoje chowają kryjówki;
 To znów wysuną, to postąpią trochę,
 To nakoniec, śmiałe, płocze,
 Drobnemi sypią kroki
 I nuż hulanka i skoki.

Kiedy wtém inne rozpoczną się susy:
 Nasz wisielec zmartwychwstaje,
 Na głupią rzuca się zgraję
 I spaseł dusi nygusy.

Frańciszek Morawski.

67. Talar i bankocetel.

„Czy prawdaż, żeśmy bracia?“ takimi raz słowy
 wiał się do srebrnego pieniędzy papierowy;
 „Talar i ty talar.“—„Przebacz,“ srebrny rzecze,
 „Zupełnie braterstwu naszemu zaprzeczę;
 „Jaka wartość istotna, twoja pożyczana:
 „Jaki zrodził czysty kruszec, tyś powstał z gałgana.“

Frańciszek Morawski.

68. Franuś i echo.

Wolny Franuś, znudziwszy się w szkole,
 pierwszy raz w życiu wymknął się w pole
 Nigdy nie z swego korzystając czasu,
 Siedział i śpiewał po nad brzegiem lasu.
 Gdy wtém nagle stanął zadumany;
 „Cóż nie może, co mu się to zdarza;
 „Czy wyraźnie jakiś głos mu znany,

Co piosnkę jego powtarza.

„Cóż to jest?“ woła. „Cóż to?“ głos odpowie.
 „Czy tu kto skryty?“—„Skryty“ się odzywa.

Nie więc walka i głośna i żywa;

Kłóć się słowo po słowie.

Co tylko Franuś zagada,

Jużci echo odpowiada;

Im Franuś krzyknie donośniej,

Tym i echo głośniej.

Przez godzinę śmieszny spór prowadzi,
 A się, rzuca i sam z sobą wadzi.

Cież, co zyskał, że się, głupi, kłócił?

Ha nie przegadał i z chrypką powrócił.

Frańciszek Morawski.

69. Ptaszek i rybka.

„Szczęśliwa—rybka!“ tak ptaszek rzecze;
 „Kto jój co zrobi, gdy w głąb' uciecze;
 Bez troski, strachu, w ciągłej swobodzie,
 Igra po wodzie!

Mnie takiem szczęściem niebo nie obdziela:
 Jastrząb' goni, człowiek strzela;
 Przykrożto, przykro dla biednej ptaszyny
 Zawsze w tej ciągłej żyć wojnie,
 I jednej nawet lichój odrobiny
 Nie móżd zjeść spokojnie!“

Ależ i rybka w tej samej dobie,
 Gdzieś tam w swój głębi, tak mówi sobie:
 „Szczęśliwy ptaszek! jakże bezpieczny,
 Gdy się wzbije w kraj słoneczny!
 Nucąc ziemi, niebu i wiosnie,
 Buja radośnie.

Buja, gdy rybka drży w ciągłej obawie:
 Tu ją straszy sieć zdradliwa,
 Tam szczupak goni po stawie,
 I to się życiem nazywa!
 Boże! coś wszystko tak mądrze ułożył,
 Czemuś mię ptaszkiem nie stworzył!“

Takim i człowiek żali się głosem
 W swych skargach nudnych i długich;
 Widzi on szczęście, lecz, dziwnym losem,
 Nigdy u siebie, zawsze u drugich.)

Frańciszek Morałowski.

70. Przyjaciele.

Zajaczek jeden młody,
 Korzystając ze swobody,

Paś się trawką, ziółkami, w polu i ogrodzie,
 Z każdym w zgodzie.
 A że był bardzo grzeczny, rozkoszny i miły,
 Bardzo go tam zwierzęta lubiły;
 I on téż, używając wszystkiego z weselem,
 Wszystkich był przyjacielem.

Raz, gdy wyszedł w świtaniu i bujał po łące,
 Słyszcy przerażające
 Głosy trąb, psów szczekania, trzask wielki po lesie;
 Stanął.... słucha.... dziwuje się....
 A gdy się coraz zbliżał ów hałas, wrzask srogi,
 Zając w nogi;
 Spojrzy się poza siebie, aż dwa psy i strzelce.

Strwożon wielce,
 Przecież wypadł na drogę, od psów się oddalił;
 Spotkał konia; prosi go, iżby się użalił:
 „Weź mię na grzbiet i unieś.“ Koń na to: „Nie mogę,
 Ale od innych pewną będziesz miał załogę.“

Jakoż wół się nadarzył. „Ratuj przyjacielu!“
 Wół na to: „Takich, jak ja, zapewne nie wielu
 Znajdziesz, ale poczekaj i ukryj się w trawie,
 Bo tam na mnie czekają; niedługo zabawię,
 A tymczasem masz 'koźła, co ci dopomoże.“

Koźle: „Żal mi cię, nieboże,
 Ale ci grzbietu nie dam; twardy, nie dogodzi;
 Oto wełnista owca niedaleko chodzi,
 Będzie ci miękko siedzieć“.... Owca rzecze:
 „Ja nie przeczę,
 Ale, choć cię uniosę pomiędzy manowce,
 Psy dogonią i zjedzą zająca i owcę;
 Udać się do cielęcia, które się tu pasie.“

„Jak ja ciebie mam wziąć na się?
 Kiedy starsi nie wzięli,“ cielę na to rzekło,
 I uciekło.

Gdy więc wszystkie sposoby ratunku upadły,
 Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły.
 Ignacy Krasicki.

71. Lew i zwierzęta.

Gdy się wszystkie zwierzęta u lwa znajdowały,
 Był dyskurs, jaki przymiot w zwierzu doskonały?
 Słoń roztropność zachwalał, żubr mienił powagę,
 Wielbłądy—wstrzemięźliwość, lamparty—odwagę,
 Niedźwiedź—moc znamienitą, koń—ozdobną postać,
 Wilk—staranie przemyślne, jak zdobyczy dostać,
 Sarna—kształtną subtelność, jelen—piękne rogi,
 Rys—odzienie wytworne, zając—ręce nogi,
 Pies—wierność, liszka—umysł w fortele obfity,
 Baran—łagodność, osieł—żywot pracowity.

Rzekł lew, gdy się go wszyscy o zdanie pytali:
 „Według mnie ten najlepszy, co się najmniej chwali.“
 Ignacy Krasicki.

72. Chłop i ciele.

Nie sztuka zabić, dobrze zabić sztuka;
 Z bajki nauka.

Szedł chłop na jarmark, ciągnąc ciele na powrozie.
 W lesie w wąwozie

W nocy burza napadła, a gdy wiatry świszczą,
 W ciemności postrzegł wilka po oczach, co błyszczą,
 Więc do pałki: jął machać, nie myślawszy wiele,
 Zamiast wilka, co uciekł, zabił swoje ciele.

Trafia się i nie w lesie, panowie doktorzy!
 Pałka—lek, wilk—choroba, a cieleta—chorzy.
 Ignacy Krasicki.

73. Z a j ą c.

Wiosną na łące
 Młodziuchną trawę skubały zające.

Jeden z nich śmielszej postaci
 Nadmie wąsy, kręci głowę,
 I swoich braci

Taką zagaja przemową:
 „Pókiż wieść będziem tułacze życie
 W ciągłych bojaźniach i trwogach?
 Mamyż się ciągle budzić o świecie
 I zawsze czuwać na nogach?
 Już czas jest od tych strachów się zbawić!
 Potrzeba mężnie psom czoło stawić!
 Ja was do boju powiodę;
 Dam z siebie przykład odwagi, męstwa,
 Całemu światu dowiodę,
 Że zając zdolny jest do zwycięstwa.“

Wtém krzyk myśliwych i trąb odgłosy
 Odbiły łąki, gaje, niebiosy...
 Nasz mówca, ów zuch nad zuchy,
 Zadrżał cały, stulił słuchy;
 Myśleć już nie było czasu,
 Sam pierwszy drapnął do lasu.

Najczęściej tchórz w przechwałkach jest wielkim junakiem,
 Lecz, gdy przyjdzie do rzeczy, schowa się za krzakiem.

74. Czapla, ryby i rak.

Czapla stara, jak to bywa,
 Trochę ślepa, trochę krzywa,
 Gdy już ryb łowić nie mogła,
 Na taki się koncept wzmogła.
 Rzekła rybom: „Wy nie wiecie,
 A tu o was idzie przecie.“
 Więc wiedzieć chciały,
 Czego się obawiać miały.

„Wczora
 Z wieczora
 Wysłuchałam, jak rybacy
 Rozmawiali: wiele pracy
 Łowić wędką lub węcierzem;

Spuśćmy staw, wszystkie zabierzem;

Nie będą mieć otuchy,
Skoro staw będzie suchy.“

Ryby w płacz, a czapla na to:

„Boleję nad waszą stratą,
Lecz można złemu zaradzić
I gdzieindziej was osadzić;
Jest tu drugi staw blisko,
Tam obierzcie siedlisko:
Chociaż pierwszy wysuszą,
Z drugiego was nie ruszą.“

— „Więc nas przenieś,“ rzekły ryby.

Wzdragą się czapla niby;

Dała się na koniec użyć,

Zaczęła służyć:

Brała jedną po drugiej w pysk, niby nieść mając,

I tak pomału zjadając.

Zachciało się na koniec skosztować i raki.

Jeden z nich, widząc, iż go czapla niesie w krzaki,

Postrzegł zdradę, o zemstę zaraz się pokusił;

Tak dobrze za kark ujął, iż czaplę udusił.

Padła nieżywa;

Tak zdrajcom bywa.

Ignacy Krasicki.

75. Zając i żaba.

Szarak, co nieraz bywał w kłopotach i trwogach,

Nie tracił serca, póki czuł się rączy;

Teraz podupadł na nogach,

Poczuł, że źle się z nim skończy;

Więc jęknął z głębi serca: „Ach! niemasz pod słońcem

Lichszego powołania, jak zostać zającem!

Co mię w dzień pies, lis, konik, kania

I wrona,

Nawet ona

Jak chce, tak gania.

A w noc, gdy drzemię, oko się nie zmruża,

Bo lada komar bzyknie przez siatki pajęczę,

Wnet drży me serce zajęcze,
 Tchórząc tchórzliwiej od tchórza.
 Zbrzydło mi życie, co jest wiecznym niepokojem;
 Postanowiłem skończyć je dziś samobojem.
 Żegnaj więc, miedzo, lat mych wiośnianych kolébko,
 Wy, kochanki młodości, kapusto i rzepko,
 Pożegnalnemi łzami pozwólcie się skropić,
 Oznajmuję wszem w obec, że idę się topić.“

Tak z płaczem gdy do stawu zwraca skoki słabe,
 Po drodze stąpił na żabę;
 Ta mu, jak raca, drgnąwszy, z pod nóg szusła
 I z góry na łeb w staw pluśła.
 Więc zając rzekł do siebie: „Niech nikt nie narzeka,
 Że jest tchórzem, bo cały świat na tchórze stoi,
 Każdy ma swoją żabę, co przed nim ucieka,
 I swojego zająca, którego się boi.

Adam Mickiewicz.

B). INNE RODZAJE POEZJI EPICZNEJ.

1. S i é r o t a.

Już za górami słońce skonało;
 Jakażto wsparta na grobie,
 Oczy zakrywszy chusteczką białą,
 Płacze dziewica w żałobie?
 Czegóżto ona płacze tak rzewnie?
 Ach! z niespłonionych jój liców,
 Z łez nietajonych, zgaduję pewnie,
 Że to nad grobem rodziców.
 Płacz, płacz, dziewico; nie widzą świadki;
 Łzy tobie ulżą tęsknoty;
 Po stracie ojca, po stracie matki,
 W nich całe szczęście sieroty.

Antoni Edward Odyniec.

2. Walka myszy i szczurów z kotami.

Na lewém skrzydle wojska zagraniczne
Myszy i szczurów w dobrym szyku stoją.
Lśknią się rynsztunki, w rodzajach rozliczne,
Każdy—ozdobny wspaniałością swoją.
Z brzegów Sekwany—wymuskane, śliczne,
Nie tylko kotów, i lwów się nie boją.
Nim hasło bitwy wodzowie dać raczą,
One tymczasem płasają i skaczą.

Dunajskie szczury, harde i ponure,
W porządnym szyku stanęły, jak wryte.
Znad Tybru—trwożne, gdy chodzi o skórę,
Jednakże w zdrańcze podejścia obfite;
Zadnieprskie—twardą mając naturę,
Od Elby—srogim bojem znamienite,
Tamizy—dzikie i sławne w rozpustę,
Szwajcarskie—wierne, opasłe i tłuste.

Nie tak mnogością straszny, jak wyborem,
Mruczyślaw swoje animuje *) koty;
Wzywa do sławy i punktu honorem
Wzbudza poddanych do wojennej cnoty.
Gryzomir, wzajem tymże idąc torem,
Swym wojownikom dodaje ochoty.
Z obu stron skoro dano tylko hasło,
Kocie i mysie wojsko razem wrzasło.

Miauczących kotów przeraźliwa wrzawa;
Szczurów odważnych pisk słychać ochoczy.
Pobojowisko okrywa kurzawa,
Gęstym tumanem wojowników mroczy;
Wzmaga się coraz bitwa straszna, krwawa,
A potokami krwi ziemia się broczy;
Zamiast kunsztownej stali armatury**),
Broń stron obudwóch—zęby i pazury.

*) Zachęca. **) Broni.

Rominogrobis, szwagier Mruczysława,
 Wódz pierwszej straży mężnych wojowników,
 Przykładem swoim ochoty dodawa;
 Zagryzł rotmistrza i dwóch pułkowników;
 Wszystko się jego pazurom poddawa,
 I rocie, którą rządzi, dzikich żbików.
 Chociaż go mnóstwo myszy zewsząd ściska,
 Pełne już trupów są pobojowiska.

Gryzostaw, młodszy brat monarchów myszy,
 Co prawem skrzydłem wojska zawiadował,
 Przez adjutanta gdy o tém usłyszy,
 Co hetman dzikich kotów dokazował,
 Natychmiast szybkim krokiem idzie w ciszy,
 Aby kompanów w przygodzie ratował;
 Bierze tył żbikom; dognawszy ostatki,
 Straszne zaczyna z onych czynić jatki.

Miaukas, waleczny rotmistrz,—zagryziony,
 Tuż koło niego Dusimyszek leży;
 Nie wskórał Filuś, kotek wypieszczony,
 Z pstrocentkowanej udatny odzieży;
 Ani Myszogryz, połowem wslawiony;
 Bez wodzów reszta niedobitków bieży.
 Zwycięzca coraz gdy żwawiej naciéra,
 Wszystko ucieka, nic się nie opiera.

Usłyszał swoich głosy przeraźliwe,
 Rominogrobis nagle zadziwiony;
 Kiedy zaś hufce zobaczył pierzchliwe,
 Nową natychmiast złością rozjuszony,
 Ku tamtej stronie pazury straszliwe
 Zwraca, a świeżym łupem rozłakniony,
 Tém większą jeszcze zajadłość wywiera;
 Szarpie w kawalce, na sztuki rozdziera.

Po stosach trupów z obu stron pobitych,
 Śpieszą ku sobie wielcy adwersarze;*)
 Mniejszych—szczur, przecież w dziełach znamienitych

*) Przeciwniey, to jest Rominogrobis, dowódca kotów — i Gryzostaw, wódz szczurów i myszy.

Godzien z walecznym kotem by był w parze;
 Nowy laur przydać do innych obfitych
 Kot myśli, szczura gdy zuchwałość skarże;
 Pierzchają z pułków rycerze zmieszani,
 Sami na placu zostali hetmani.

Jeden drugiego bystrém okiem mierzy,
 Widzi kot szczura niezmiernéj postaci,
 Wprzód się do zwykłych udaje pacierzy;
 Szczur, mniej nabożny, nic serca nie traci.
 Wtém tak go nagle z impetem uderzy,
 Iż ledwo życiem walki nie przypłaci;
 Kot, zagłuszony ciosem, ledwo lizie,
 Szczur go tymczasem jak gryzie tak gryzie.

Bólem nieznosnym zbyt srodze przejęty,
 Chce go przygarnąć, lecz chyżo odskoczył.
 Przypadnie z boku, urwał mu pół pięty;
 Kot z miejsca umknął i trochę wyboczył.
 Leci szczur obces, lecz znagła ujęty
 Pazurami za kark, tak aż się zamroczył...
 Gdy się raz jeszcze miotać żwawie kusił,
 Kot go za szyję porwał i udusił.

Bez wodza wojsko zostawszy, ucieka;
 Lecz kocia trzoda gonić go nie zdoła.
 Widzi rozsypkę Gryzomir zdaleka;
 Postać się niegdyś odmienią wesoła.
 A czując, że go los okropny czeka,
 Gdy nadaremnie łaje, prosi, woła,
 Przynajmniej żeby szli za jego śladem,
 Sam do ucieczki najpiérwszym przykładem.

Dzielnazto przecie rzecz, monarchów czyny!
 Skoro król uciekł, wszyscy za nim w nogi,
 Każdy do swojej pośpiesza krainy,
 A mniema, że tuż nieprzyjacieli srogi:
 Krajowe wojska i cudze drużyny,
 Każdy, unosząc życie,—wiatronogi.
 Szczęśliwy przecie, że im pora nocna
 Do téj podróży zdatna i pomocna.

Ignacy Krasicki.

3. Wychowaniec.

„Dokądśpieszysz tak, chłopczyku, „Za nie malin tych nie sprzedam
Co tam niesiesz w tym koszyku?“ I przemocą wydrzyć nie dam:

—„At! maliny
Z téj doliny
Uzbierane mam.“

Te maliny
Dar jedyny
Dobrodziéjkom mym.

—„Ach! maliny jeszcze świeże! Dziś w czas wolny je zbierałem,
Chęć mię wielka na nie bierze; Dobrodziéjkom zanieść miałem,

Daj z koszyka
Do koczyka,
Pieniędzy ci dam.“

Bo cóż, Boże,
Więcej może
Biędne serce dać!“

—„Proszę pani, ja nie mogę; Pojazd ruszył, a chłopczyzna
Niech Bóg da szczęśliwą drogę.“ Szedł z koszykiem do Łunina*)

—„Cóż chcesz, ile?
Mów, dam tyle;
Pełno w worku tym.“

Z malinami
I z myślami.
Warto zeń wzór brać!

Romuald Zienkiewicz.

4. Niewinny żarcik.

Siedział dziadunio, jak gołąbek siwy,
A wkoło wnuczki. Ich szczęściem szczęśliwy,
Stroił żarciki, aż odmłodził cały.
Z figielków dziadzi dziecińki się śmiały.

„Więcie co, dzieci? jeżeli zechcecie,
To dziś w namiocie wspaniałym będziecie:
Tam szklane ściany, kobierce zielone,
A w którąkolwiek obrócisz się stronę,
Mnóstwo śpiewaków wyuczonych śpiewa;
W środku namiotu rosną kwiatki, drzewa,
Wkoło—zwierciadła...“ Kazio, szpaczek wielki,
Rzekł: „O! to nowe dziadunia figielki.“
Ale Jadwisia i mówić nie dała,
Wierzy wszystkiemu, szybko się ubrała;

*) Nazwisko wioski.

„Więc chodźmy,“ rzecze, „do owych namiotów!“
 Już i braciszek jeden, drugi gotów.
 Wybrał się dziadzio.—Idą długą drogą
 I nigdzie dojrzyć namiotu nie mogą.
 Stanęli wreszcie na łączce zielonój,
 I długą przestrzeń widać z każdej strony.
 Tu owdzie drzewka i krzaczki wzrastały,
 A w krzaczkach ptaszki śpiewały.
 Tu kwiatki: każdy, jakby malowany.
 „Otóż to namiot, to są szklanne ściany,
 To są kobierce. Nie prawdaż? wspaniałe?
 A te potoki—zwierciadła niemałe.
 Takie to Pan Bóg dał ludziom namioty,
 Oby w nich same zamieszkały cnoty!
 Oby w nich działki na cześć Boga rosły,
 Potém rodzicom pociechę przyniosły.“

5. C h l é b.

(Każmierz panował, ze szczepu Piasta
 Ostatni potomek męzki,
 Gdy padła klęska na wioski, miasta,
 Nad wszystkie straszniejsza klęski.

Bo ziemia, latem zwędzona parném,
 Z długiego słabła pragnienia,
 Nie wypłaciła jesieni ziarnem
 Wziętego z wiosną nasienia.

Pierwszym to było w kraju przykładem,
 Że Polak, co z łaski nieba
 Chlebem się dzielił z swoim sąsiadem,
 Dzisiaj umierał bez chleba.

W onymto roku powszechnój nędzy,
 Gdy z głodu naród umierał,
 Był panek; żdzierstwem wiele pieniędzy
 I ziarna wiele nazbierał.

I, choć zamożny z łońskiego*) zbioru,
 W kmicę siermięgę się przebrał,
 Do Oliwskiego chodził klasztoru,
 Nędzę udawał i żebrał.

Razu jednego, gdy wracał z miasta,
 Chléb niosąc w zawoju szaty,
 Z dzieciątkiem w ręku stara niewiasta
 Z przydróżnej wybiega chaty.

I woła: „Ratuj! jam z głodu chora,
 Pan Bóg ci będzie odpłatą,
 Ty wracasz z miasta, niesiesz z klasztoru
 Chleba bochenek pod szatą;

Podziel się chlebem, posil niebogę,
 Jeżeli serce masz człeka;
 Ja stara jestem, ranną mam nogę;
 Droga do miasta—daleka.“

„Babo!“ rzekł panek, „daj pokój święty
 I nie zatrzymuj mię w drodze;“
 I znów, litością niby przejęty,
 Dadał: „Zawiodłaś się srodze:

Nie chléb ja niosę, lecz kamień prosty;
 U nas bo kamień jest rzadki,
 A mam na rzece budować mosty,
 Co płynie wedle méj chatki.“

Na to niewiasta: „Człeku! tyś skłamał,
 Bo chléb ty niesiesz, nie kamień;
 Lecz chléb, któregoś ze mną nie zламаł,
 Boże! w kamienie ci zamień.“

Ledwie co rzekła, panek postrzega,
 Że chleba bochen ocieżał;
 Ciężarem swoim ramię przylega;
 Na twardy kamień bo stężał.

*) Przeszłorocznego.

Otruchłał, czołem na ziemię padł,
 Inne prowadził już życie:
 Za wszystkie chleby, co głodnym skradł,
 Odplacił głodnym obficie.

Dotąd w Oliwie w klasztorным ganku,
 Wisi ten kamień na ścianie;
 I głośna—powieść o skąym panku
 I chléba w kamień przemianie.
 Adam Gorczyński.

6. L a t o.

Bławatki, kąkole zbiełały od słońca,
 Gdzieniegdzie się tylko niebieszcza,
 A polne koniki we zbożu bez końca
 Zwyczajną piosenkę szeleszcza.

Małeńka przepiórka już woła z pod prosa:
 „Pójdźcie żać! pójdźcie żać!“ Co żywiéj!
 Bo jeśli w pogodę nie puści się kosa,
 To potém się słota sprzeciwi.

❧ Bóg zapłać przepiórko, twój głosik kochany
 Wesóło przypada mi w ucho;
 Pójdź koso z komory, pójdź sierpnie ze ściany,
 Bo w chacie wieśniaka już krucho.

Pociescie się, dzieci; chléb będzie, chléb nowy,
 Nasz chlébek kochany, dar Boży;
 Matuchna upiecze i na stół dębowy,
 Jak słońce, bochenek położy.

Wychodzim na kośbę wesółą gromadką;
 Chłopaki, dziewczęta, jak róże;
 O! chwałaż Ci, Boże, za nowe, za latko;
 Hej! chłopcy, dziewczęta, a nuże!

Brzęk brzęku, brzęk brzęku, pośpiesznie, a chyłkiem;
 Śmiech słyhać; spłoszyli zajaca,
 I oto się biela nad rannym posiłkiem
 Pod gruszą, co chroni od słońca.

A niebo tak równe, jakby je wygładził,
 A słońce tak jasne, choć małe,
 A w łąkach tak kwiecia, jak gdyby nasadził;
 Czerwone, niebieskie i białe.

Teofil Lenartowicz.

7. W i o s n a.

Zniknęły już śniegi, spłynęły już lody,
 I rzeka porusza się gładko;
 Jaskółki, szczebiocąc, wybiegły z pod wody,
 Całe ich unosi się stadko.

I kręcą się, wiją, to niżej, to wyżej,
 Nad czystą, jak kryształ rzeczułką;
 A coraz to szybciej, a coraz to chyżej,
 A w kółko, a w kółko, a w kółko.

Na brzegu zielonym, na bujnej na trawce,
 Dwie krówki się pasą, baranek,
 A pastuch przygrywa na długiej ligawce,
 I słońko przygrzewa w poranek.

Przelotny wiaterek to trawką zawichrzy,
 To w trzcinę, w tatarak się wkradnie,
 Zakłóci, zamąci, i cichszy, i cichszy,
 W zielonym gaiku przepadnie.

Ligawka przycichnie, to dzwonek z kościołka,
 Z za lasu, z daleka zadzwoni;
 A dzwonek zamilknie, to złota mi pszczołka
 Zabrzęczy na kwietnej na błoni;

A pszczołka przysiedzie na świeży sasanek,
 To piosnka dziewczęcia drży w wietrze.
 O! Boże mój drogi! w wiosenny poranek
 Jak wszystko i świeższe i lepsze!

Teofil Lenartowicz.

8. J e s i e ń.

(Jabłonka i grusza podpórek aż proszą,
Tak na nich i jabłek i gruszek;
Podpórki dziewczątka z podwórka przynoszą,
Gdzie struże dziadulo staruszek.

Gdy spojrzę na dziadka, jak z niemi się bawi,
Jak zawsze szczęśliwy jednak,
To cichą modlitwą żrenica się łzawi,
O! Boże, daj starość mi taką!

Na polu omgłoném, jak oko zasięga,
Skończone ostatnie roboty;
I cisza w około, a gąsiór gdzieś gęga,
I ziemia już tylko, a płoty.

Po drodze to wózek podróżny zadudni,
To bydlę się przemknie u rowu;
To żóraw' wysoki zaskrzypi u studni,
I spokój rozsiada się znowu.

Brat w małym ogródku motyką coś kopie,
Dziadulo wciąż struże i struże,
Dwie siostry przed chatą trą białe konopie,
A klekot odbija podwórze.

Teofil Lenartowicz.

9. O g r ó d.

(Drzewa owocne, zasadzone w rzędy,
Ocieniały szerokie pole. Spodem—grzędy:
Tu kapusta, sędziwe schylając łysiny,
Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny;
Tam, płacząc strąki w marchwi zielonój warłoczny,
Wysmukły bób obraca na nią tysiąc oczu;
Owdzie podnosi złotą kitę kukuruza;
Gdźmieniedzie otyłego widać brzuch harbuza,
Który od swój łodygi aż w daleką stronę
Wtoczył się, jak gość, między buraki czerwone.)

Grzędy—rozcięte miedzą; na każdym przykopie
 Stoją, jakby na straży, w szeregach. konopie,
 Cyprysy jarzyn;—ciche, proste i zielone;
 Ich liście i woń służą grzędom za obronę,
 Bo przez ich liście nie śmie przecisnąć się żmija,
 A ich woń gąsienice i owad zabija.

Daléj maków białawe górują badyle,
 Na nich, myślisz, iż rojem usiadły motyle,
 Trzepocąc skrzydełkami, na których się mieni,
 Z rozmaitością tęczy blask drogich kamieni;
 Tylą farb żywych, różnych, mak żrenicę mami.

W środku kwiatów, jak pełnia pomiędzy gwiazdami,
 Kragły słonecznik, licem wielkiém, gorejącém,
 Od wschodu do zachodu kręci się za słońcem.)

Pod płotem wązkie, długie, wypukłe pagórki
 Bez drzew, krzewów i kwiatów: ogród na ogórki.
 Pięknie wyrosły: liściem wielkim, rozłożystym,
 Okryły grzędy, jakby kobiercem fałdzistym.

Adam Mickiewicz.

10. Ptastwo domowe.

Zosia w porannym stroju i z głową odkrytą
 Stała, trzymając w ręku podniesione sito.
 Do nóg jój biegło ptastwo. Ztąd kury szurpate
 Toczą się kłębkami. Ztamtąd kogutki czubate,
 Wstrząsając koralowe na głowach szyszaki
 I wiosłując skrzydłami przez bruzdy i krzaki,
 Szeroko wyciągają ostrożaste pięty.
 Za niemi zwolna indyk sunie się odęty,
 Sarkając na gdyranie swój krzykliwój żony.
 Owdzie pawie, jak tratwy, długimi ogony
 Stérują się po łące, a gdzieniegdzie z góry
 Upada, jak kiść śniegu, gołąb' srebrnopióry.

W pośrodku zielonego okręgu murawy
 Ściska się okrąg ptastwa, krzykliwy, ruchawy,

Opasany gołębi sznurem, nakształt wstęgi
 Białej, środkiem pstrokaty w gwiazdy, w cętki, w pręgi.
 Tu dzioby bursztynowe, tam czubki z koralu
 Wznoszą się z gęstwi piérza, jak ryby z pod fali,
 Wysuwają się szyje i w ruchach łagodnych
 Chwieją się ciągle, nakształt tulipanów wodnych.

Tysiące oczu, jak gwiazd, błyskają ku Zosi;
 Ona, w środku, wysoko nad ptastwem się wznosi;
 Sama biała i w długą bieliznę ubrana
 Kręci się, jak bijąca wśród kwiatów fontana;
 Czerpie z sita i sypie na skrzydła i głowy
 Ręką, jak perły, białą, gęsty grad perłowy.

Adam Mickiewicz.



—

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001019962977



374793



1977-1978
1979-1980
1981-1982